





41

<http://rcin.org.pl>

2-111  

---

650

<http://rcin.org.pl>

LAT TEMU DWIEŚCIE.

---



191. wchł. 191. 191.

# LAT TEMU DWIEŚCIE.

K. KŁYSZEWSKI  
W WARSZAWIE

OPOWIEŚĆ

NA TLE DZIEJÓW KROACYI

T. T. JEŻA.

INSTITUT  
ADAM LITERACIACH PAN

Biblioteka



ul. Nowy Świat 72

00-100 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW.

Nakład Gebethnera i Spółki.

Warszawa. Gebethner i Wolff.

1887.



KRAKÓW.  
Czcionkami Drukarni Związkowej  
pod zarządem A. Szyjewskiego.  
1887.





## I

Lat dwieście z górą temu, licząc od roku, w którym żyjemy (1885), kraina, znana obecnie pod nazwą królestwa Kroacyi, nazywała się tak samo i tak samo stanowiła aneks korony węgierskiej. Pod względem formalnym, różnica pomiędzy tem, co jest, a tem co wówczas było, zachodzi nieznaczna. Węzeł prawno-polityczny ojczyznę Zwonimira spajał z ojczyzną św. Szczepana i czynił z niej część całości państwowej, szerzącej się od Karpat do Dunaju i do wybrzeży morza Adryatyckiego, a znajdującej się w dobie onej pod naciskiem inwazyi podwójnej: tureckiej i niemieckiej. Turcy zajmowali Węgier część znaczną i Sławonię całą; Buda, stolica państwa, w ich znajdowała się ręką; w Budzie, warowni tureckiej, rozkazywał basza i wznosiła się tam dżamia, w której prawowierni Ałłacha wielbili i prorokowi cześć składali, wierząc głęboko,

że świat podbijają. Niemcy kraje przez Turków zajęte odebrać i na rachunek własny podbić usiłowali. Ci i ci, po warowniach się głównie trzymając, obchodzili się z krajem jak zdobywcy. Tak było na Węgrzech, — tak w Kroacyi. Stan rzeczy tu i tam przedstawiał się jednakowo i, jeżeli zachodziła różnica jaka, to chyba we względzie zabarwienia. Na Węgrzech, w okolicach niektórych, ludność przekładała turków nad Niemców. W Kroacyi rzeczy nie szły tak daleko. Władaniu tureckiemu niechętnym się okazywał żywioł miejscowy, rycerski, złożony, jak w Polsce ze szlachty (*plemicze*) i z magnatów (*włastiele*). Szlachta i magnaci odpychali najazd ośmański, a zarazem z niedowierzaniem wielkim spoglądali na obronę, z jaką do nich szli Niemcy. Napaść i obrona, różniąc się według słownika, nie różniły się we względzie znaczenia politycznego i nie ustępowały jedna drugiej pod względem ciężaru, jaki na kraj spadał. Ciężar dociskał szczególnie ludowi, dociskał jednak i szlachcie, zagrożonej postradaniem stanowiska „narodu politycznego“ w razie jednym i drugim, to jest, czyby Turcy nad Niemcami, czy też Niemcy nad Turkami, górę wzięli. Nie kijem, to pałką. Na złe się zanosilo, tak czy owak. Niebezpieczeń-

stwo zagrażało jednakowo, tak' ze strony Konstantynopola, gdzie Jowisza gromowładnego rolę pełnił przy pomocy faworytów i faworyt Mahomet IV, jakoteż ze strony Wiednia, gdzie taż sama rola dostała się dozorowanemu i inspirowanemu przez jezuitów Leopoldowi I. Mahomet IV i Leopold I — sułtan i cesarz świecili na horyzoncie nakształt znaków onych niebieskich, według których przesąd plagi i klęski wróży. Pozostawała jeno przyświecająca w przyszłości nadzieja, która się wyrażała tak:

— Chybaby Boga na niebie nie było!...

Słowy temi ołpowiedział Gaspar Deszicz w sensie konkluzyi na rozmowę, jaka się u niego we dworze przy stole toczyła. Przy stole zasiadało plemiczów kilku. Jeden z nich, nazwiskiem Pawao Czolnicz, człek wzrostu mniej aniżeli miernego, suchy, jasnokościsty, trochę ospowaty, oczu żywych i bystrych, odpowiedział gospodarzowi domu:

— Przybywam wprost z Zagrzebia... mówiłem z banem....

— Ban, rzecz wiadoma, cesarski sługa, — odparł Deszicz. — Tak śpiewa, jak mu zagrają.... Już to nie to, co dawniej bywało.... Ostatnim u mnie banem był Petar Zrini... o!...

Wyrazy ostatnie starzec wymówił tonem uniesienia i uderzył pięścią o stół, aż stojące na stole naczynia, talerze i kubki, podskoczyły. Oko starca zpod brwi siwych groźnie patrzyło, policzki mu drgały, na czole zgromadziła się chmura gniewu.

— Co było... o... — zaczął Czolnicz tonem perswazyi. Co było, tego brać w rachunek nie należy....

— Nie należy brać w rachunek podesptania praw ludzkich i boskich?...—zawołał Deszicz.—Widzieć trzeba było, com ja widział w Beczu, na Nowem Mieście... O!... — ścisnął starzec pięście w kulaki i podniósł ręce obie do wysokości czoła. Od chwili tej powiedziałem sobie: Niech nas Bóg sędzi....

— Ależ... o rzeczach sędzić według słuszności potrzeba....

— Gdzież tu słuszność?...

— Nieboszczyk, oby mu Bóg królestwo niebieskie dał!.. przeciwko cesarzowi i królowi szedł!...

— Szedł on według prawa i sprawiedliwości.... — odparł starzec, akcentując wyrazy i nadając im ton uroczysty, — według prawa, które nakazywało, ażeby sędzony był na ziemi swojej.

według sprawiedliwości, która nie pozwalała poczytywać za winę tego, co było zasługą... Szedł on, — ciągnął dalej, — nie przeciwko cesarzowi i królowi, ale przeciwko nieprawości... Mamy przecie prawa nasze!... kto je gwałci, gwałcicielem jest...

— Prawda... — odezwało się głosów parę.

Deszcz głową pokiwał, wstał i z izby wyszedł.

Pozostali przy stole przez chwilę milczeli.

Wreszcie jeden z nich zapytał:

— Cóż tam słychać?

Zapytanie zwracało się do Czolnicza.

— Co?... — odrzekł. Kurucze trzymają się, Tekeli się trzyma, turcy się trzymają, ale policzone już dni ich... Sobieski zadał im cios śmiertelny... Pora, ażebyśmy pomyśleli o sobie...

Rozmowa ta byłaby niezrozumiałą, bez wykazania wypadków, do których się ona odnosiła. W roku 1683 zaszedł fakt ogromnej historycznej doniosłości: wyswobodzenie oblężonego i do ostateczności już przyprowadzonego przez wojska tureckie Wiednia. Zdarzenie to, przyjęte z uniesieniem w świecie chrześcijańskim, niekoniecznie uradowało ludy, zaliczające się do korony świętego Szczepana. Tak im było pod prawicą tego, którego czoło korona ta wieńczyła, słodko, że ich

zgoła tryumf chrześcijaństwa: nie cieszył. Woląłyby były tryumf oręża muzułmańskiego. Nie była to rzecz gustu, lecz następstwo gospodarki niemieckiej, prowadzonej przez o tyle niedołęznego, o ile okrutnego Leopolda I. Na Węgrzech Tekeli oręża nie składał; stronników jego zwano kuruczami, nawiązując sprawę, której bronił, do sprawy buntu chłopskiego, nad którą półtora wieku z górą przeminęło. W Kroacyi panowało zniechęcenie głębokie. Powód onego odnosił się do egzekucyi, dokonanej w roku 1671 nad obwinionymi o zdradę stanu dwoma ludźmi: Piotrem Zrinim i Franciszkiem Frankopanem, używającymi więźności ogromnej. Stracenie ich, po którem nastąpiło prześladowanie tych wszystkich, co o stosunki z nimi posądzanymi byli lub być mogli, wywarło w kraju wrażenie silne i pogębiające. Kroacya się w żałobę pogrążyła i zobowiązała do walki przeciwko nieprzyjaciołom krzyża. Nierzadko słyszeć się dawały głosy:

— Raczej turczyn, aniżeli niemiec....

Od turków atoli, którzy zajmowali Bośnię i Sławonię, kroaci się bronili; ale bronili się miękko, poprzestając jeno na odpieraniu napadów, bardzo rozbójniczych, aniżeli militarnych, dokonywanych przez nich na pograniczu. Wojna ta

miała charakter podjazdowy i tymczasowy niejako. Turcy granicę przekraczali i za łupem się zapędzali; kroaci na baczności się mieli, trzymając się reguły oddawania wet za wet. I oni ze strony swojej za turecką, przechodzącą od Sziszek (Sisak) ku północy, mimo ujścia rzeki Mur do Drawy, ku Komornu, granicę wyprawy czynili. Za napad — napad, za łup — łup. Wynikało ztąd obustronne kraju pustoszenie, które nie przybierało rozmiarów usiłowania podbójczego na szeroką skalę. Była to sztuka dla sztuki, — czynienie zadość humorowi rycerskiemu szlachty, do panowania niemieckiego zniechęconej, na kwestyą zmian panowania niemieckiego na tureckie mniej więcej zobojętniałej i żywiącej w głębi duszy ideę niezależności, którą jej nasunęła egzekucya dwóch popularnych magnatów, mianowicie zaś: Piotra Zriniego, wnuka bohaterskiego obrońcy Szigielu, piastującego wysoki urząd bana Kroacyi. W mniemaniu ogółu, był to ban narodowy ostatni. Mianowany od korony następcą jego wzbudzał nieufność powszechną. Pomiędzy tym politycznym samoistności kraju przedstawicielem, a ogółem szlacheckim, stanowiącym, tak samo jak w Polsce, naród polityczny, panowało nieporozumienie do usunięcia trudne. Spólny

mianownik, który łączył władzę z narodem, utonął we krwi Zriniego, zostawiając po sobie rozjątrzenie, podsycane i utrzymywane przez garnizony niemieckie, poczynające sobie w Kroacyi, jak w kraju podbitym. Takim było położenie w chwili rozmowy, toczącej się za stołem u Deszicza.

Gaspar Deszicz, człek stary, dawne pamiętał czasy. Młodość swoją w bojach spędził najprzód pod hetmaństwem Mikołaja Zrini, wojownika i poety, jednej z najpiękniejszych w dziejach postaci, następnie pod dowództwem Piotra. Byli to bracia rodzeni. Stryj ich, po którym oni dziedziczyli, gorliwy wyznania ewangelicznego i oświaty krzewiciel, należał do rodzaju panów hojnych, wynagradzać lubiących oddawane sobie przez ludzi usługi. Deszicz należał do liczby wynagrodzonych. Majątek, który na własność posiadał, wchodził niegdyś do składu olbrzymiej Zrinich fortuny, fortuny rozrzuconej szeroko nad brzegami Uny, nad Kupą, w Sławonii, w Kroacyi, Dalmacyi, na Węgrzech, we Włoszech nawet. Donacya, która się Desziczowi dostała, leżała na jednym z lewobrzeźnych rzeki Kupy dopływów, w równej prawie od Kupy do Sawy odległości, a w odległości niewielkiej od Sziszeku,



mieściny napół ufortyfikowanej, pozostającej w rękach tureckich i stanowiącej punkt strategiczny, z którego turcy panowali nad częścią zachodniej połowy Sławonii i kusić się mogli o opanowanie Kroacyi. Wieś zwała się Dubrawac; nosiła ona na sobie tę cechę, jaka w czasach owych wojennych znamionowała wszystkie w ogóle osady, zabudowywane w sposób, że się tak wyrazimy, maskowany. We wsi już będąc, domyślić się było trudno, że się jest śród mieszkań ludzkich. Chałupy wieśniaków na znacznej rozrzucone przestrzeni, kryły się poza załomami gruntu, przedstawiającego się pod postacią wąwozu górskiego, najeżonego skałami i okrytego lasem. Skały i leśne ostępy służyły ludności za schron na wypadek najścia tureckiego; dom zaś Deszicza, wznosząc się na wzgórzu, opalisadowany i w strzelnicę zaopatrzony, pełnił niejako funkcyą cytadeli, czuwającej nad osadą. Nie mógłby on wytrzymać oblężenia, ani nawet szturmu silnego; był atoli w stanie odpierać napaście kup zbrojnych, zapędzających się w głąb kraju, celem obłowienia się zdobyczą i nabrania niewolnika. Stanowił on rękojmię bezpieczeństwa dla mieszkańców wsi, rękojmię tem pewniejszą, że stary Deszicz potęgował ją osobistością swoją, otoczoną w okolicy

całej szacunkiem, którego racye odnosiły się do zdobiących ją przymiotów uczciwości, odwagi i znajomości rzeczy wojskowej. Przedstawiał on typ doświadczonego, w bojach osiwiałego żołnierza, a zarazem przejętego poczuciem praw i powinności swoich plemieza. Malowało się to na postaci jego wyniosłej, na otwartem, białemi wąsami przyozdobionem obliczu, w oczach, które łagodnie patrzyły; gdy jednak brwi zmarszczył, pioruny — zdawało się — ciskał. Gaspar Deszicz szanowanym był powszechnie i, luboć się, od chwili śmierci Zriniego, od spraw publicznych usunął, szacunku nie stracił. Sąsiedzi zgromadzali się u niego często, zawsze, gdy o sprawę publiczną chodziło i od niego skazówki brali. „Co Deszicz o tem myśli“, — powtarzało się nieodmiennie przy okazji każdej. Ten i ów konia dosiadał i do Dubrawaca śpieszył. W Dubrawacu na gości czekało przyjęcie uprzejme i słowo mądre, nieufnością do istniejącego rzeczy porządku nacechowane, lecz nadziei na przyszłość niepozabawiające, a to dla tego, że stary wojak sam nadziei nie tracił, opierając takową na zdaniu, w którym się jego zapatrywanie na rzeczy ogniskowało.

— Chybaby, — powiadał, — Boga na niebie

nie było.... Nasz Bóg czuwa nad nami.... Przemijali cesarze i królowie, przemijały dobre i złe czasy: naród nie przeminał... Poczekamy, doczekamy się: koniec końcem, Bóg nas rozsądzi....

Taką była doktryna, której hołdował i, oburzając się na terażniejszość, był o przyszłość spokojny.

Słowa Czolnicza irytowały go z tego głównie powodu, że znał źródło onych. Czolnicz przybywał z Zagrzebia, od bana, którym był Mikołaj Erdödy, zamianowany od korony. Deszcz nie przypuszczał, ażeby ztamtąd wyjść mogło co dobrego, tego bowiem był przekonania, że po śmierci Piotra Zriniego, żaden człowiek uczciwy nie przyjąłby stanowiska, z którego nieboszczyk strąconym został w sposób niegodziwy. Dla tego to, kiedy Czolnicz, człek wymowny i w prawie biegły, dowodzić się jął, starzec wyszedł, na czerdaku stanął, ręce w tył założył i rozglądać się począł po okolicy. Przed oczami jego rozwijał się krajobraz, jeden z najpiękniejszych pomiędzy temi, które natura z wciskających się pomiędzy Kupę a Sawę odskoków górskich tworzy. W dali, za Sawą, siniały załomy łańcucha gór Waradyńskich, a bliżej plątały się wąwozy, wykazując tu urwisko, tam ścianę skalistą, owdzie że-

bra przewijane bluszczem, przetykane krzewami, otulane mchami i wieńczone ciemną zielenią lasów bukowych, nadających widokom ton ogólny. Śród urwisk i kamieni, w dole głębokim pokazywała się miejscami woda, powierzchnią zwierciadlaną połyskująca. Drogi nigdzie widać nie było, z wyjątkiem tego jeno kawałka, co do wrót domu Deszcza dochodził i na kroków paręset przed wrotami zdawało się, jakby się w przepaść zapadał. Nadawało to miejscowości pozór nieprzystępny, dziki i odludny. Przeciwno odludności atoli świadczyły dymy, słaniające się śród rzucających się w oczy przedmiotów, a wychodzące jakby z otchłani. Dymy znamionowały obecność istot ludzkich; nie dawały się widzieć ciągle, gdy się jednak wznosiły, czy to kitami wprost do góry, czyli też kłębami mętnemi, wówczas niekiedy ożywiały, urozmaicały widok, niekiedy tworzyły rodzaj zasłony mglistej, owiewającej część raz tę, znów inną. Dodać do tego jeszcze należy różnobarwność, pochodzącą nie tylko od różnaitości kolorów, oblewających kamienie, ziemię, lasy i wody, ale także i od cieniowań się barw samych przez się i od cieniów, jakie na razie niebo do spółki ze słońcem naprowadzało. Chmury, obłoki, słońce, nadawały

im ton raz posepny, znów radośny, uśmiechnięty, świetlany.

Miał więc na co Gaspar Deszicz patrzeć, gdyby się w pięknościach natury rozpatrywać chciał. Widoki te atoli spowszedniały mu. Patrzył na nie od lat tylu! Wodził więc po nich okiem obojętnie i byłby, jak się zdaje, obojętność do końca zachował, gdyby na lewo, za płotem, ogród od podwórza oddzielającym, za szpalerem krzewów, pod tworzącym namiot liściasty platanem, nie zoczył czegoś, co go żywo zajęło. Osłonił sobie starzec dłonią od słońca oczy i przypatrywał się przez chwilę. Po obliczu jego przesunął się uśmiech rzewny i radośny na poły. Po chwili z czerdaka zeszedł, wzdłuż domu się przesunął i, do ogrodu się dostawszy, skradać się poza krzewami począł. Rzekłbyś, że na polowaniu do płochliwej podchodzi zwierzyny, schylił się bowiem, dech w sobie powstrzymywał i stąpał na palcach, pilnie pod stopy patrząc, ażeby ani listka, któryby zaszeleścił, ani gałązki, któraby się zła mała i trzask wydała, nie nadeptać. Mimo stóp jego przemykały jaszczurki. Starzec się zatrzymał i nisko przysiadł, nie chcąc jaszczurek płoszyć. Po chwilce posunął się dalej i posuwał się wciąż ostrożnie, aż się do platanu dostał. Przy drze-

wie dopiero wyprostował się; zajął jednak za niem pozycją, jaką zajmują ludzie, szukając za drzewami ukrycia: lewem ramieniem się do pnia przytulił, ramię zaś prawe podawał zlekka naprzd i szyję wyciągał, nachylając głowę tak, ażeby na stronę przeciwną zajrzeć było można. Polował, — na zwierzynę czatował — co? Za drzewem, w rzeczy samej, znajdowała się istota w razach pewnych miano „zwierzyny“ nosząca, gdy się o niej w znaczeniu przenośnem mówi i gdy się ją odnosi do stosunków innych, aniżeli te, jakie w domu starego Deszicza panowały. Zwierzyną ona byłaby mogła dla carewicza, królewicza, wojewodzica, właścielicza jakiego, dla sultana albo paszy na przysmaki łakomego, nigdy atoli dla starca, takiego jak Deszicz, który się modlił rano i w wieczór i przestrzegał skrupulatnie przepisów, regulujących czystość żywota. Było to bowiem dziewczę, owiane temi urokami, jakie owiewają niekiedy dziewczęta, mogące powiadać o sobie, że dźwigają dwa niespełna krzyżyki na ramionach swoich.

Dwa niespełna krzyżyki! — a do tego, kształty postaci, jakby na tokarni odrobione, rysy oblicza, jakby wedle wyśnień poetycznych odwzorowane, oczy duże, ciemno-szafirowe, długimi

rzęsami ocienione, włosy ciemno-płowe, jedwabiste, ciężące głowie warkoczem grubym; na obliczu pogoda, w układzie wdzięk pełen spokoju, swobody i tej powagi dziewiczej, która się widzi, pojmuje, ale wypowiedzieć się nie da.

Dziewczyna z głową pochyloną nad robótką jakąś ręczną siedziała.

Starzec zza drzewa głowę wychylił, przez chwilę jej przez ramię zaglądał, jakby śledząc ruchu szydełka, co w rękach jej migotało; nagle zapytał:

— O czem ty myślisz?...

— Jao!... krzyknęła strwożona.

— Złękłaś się mnie?... ha?... odezwał się, zza drzewa wychodząc.

— Złękłam się nie ciebie, dziadku, — odparła, ale niespodzianki, jakąś mi sprawił...

— Nie spodziewałaś się mnie....

— Ani mi przez myśl przejść mogło, ażebyś opuścił gości....

— No, widzisz... opuściłem ich...

— Czemu?... — zapytała.

— Dla ciebie.... Zoczyłem cię zdaleka i zachciało mi się myśli twoich podsłuchać.... Stałem tam, — oczami wskazał, — za platanem i przykładałem do platanu ucho... Platan milczał....

— Nie miałby do powiedzenia wiele....

— Kto wie.... 'To jeno nieszczęście, że szeptania listków nie rozumiem....

— O, dziadku, żartujesz....

— Boga mi, nie rozumiem.... — odrzekł, obok wnuczki na ławeczce darniowej siedzenie zajmując.

— Żartujesz w tem, że powiadasz, jakby szeptanie liści do zrozumienia było.

— Coś one jednak mówić muszą.... Głos natury.... Głos ten ktoś rozumie....

— Chyba Bóg ..

— Ano... Dobrześ rzekła... Dziewczyna z ciebie roztropna.. Głosy natury chwalał Boga....

— Ale... — wtrąciło dziewczę.

— Co?... — zapytał.

— Że też nie słyszałam nadejścia twego....

— O! bom na palcach po cichutku się skradał....

— Chwyciła się pustota taka ciebie....

— Dodaj: starego.... Wiedz jednak, że młodszej, gdy na ciebie patrzę.... Szkoda tylko, że młodszenia tego nie będzie długo....

— Czemużby długo być nie miało?... — odparła, z wymówki akcentem.

— Czemu?... dla dwóch racyj: raz dla tego,



że registr dni moich ku końcowi się już zbliża, powtóre dla tego, żeś ty tym ptaszkiem, co z gniazda odlatuje i pora na odlot twój niedaleka.... Dziś, jutro, dziadka starego pożegnasz, zapłaczesz, łzy otrzesz i zapomnisz....

— Zapomnieć?... o tobie... ja?... — zawołała tonem oburzenia.

— To się tak mówi... Zapomnienie zapomnieniu nierówne.... Bywa jedno zupełne, inne niezupełne, zapomnienie jednak... Dziś dziadek twój, matka, brat dla ciebie wszystkim; ale nastanie pora, w której wszystkim będzie dla ciebie ktoś inny....

— Ach!... nie, chyba....

— Uhm!... — mruknął starzec i lekko dłońią machnął. Taki rzeczy porządek... i, szczerze ci powiedziawszy, pragnę, ażeby porządek ten, co rychlej, byle dobrze i z błogosławieństwem bożem, do mety doszedł....

— Pozbyć się mnie chcesz... co?...

— Nie to, ale to, że się ty niebawem może, chcąc nie chcąc, pozbawisz mnie.... Komu ośmdziesiątka w oczy zagląda...

— A!... — przerwała, — o czem innym, dziadku, mówmy....

— O czem innym?... No? .

— O gościach.... Nie jest w zwyczaju twoim gości odchodzić!...

— Prawda!... — odrzekł starzec.

— Odszedłeś jednak: czemuż to?... — zapytała tonem, w którym czuć się dawała nie prosta ciekawość, lecz przypomnienie obowiązku gospodarzowi domu.

— Potrzebowałem ochłonać nieco, lękałem się bowiem powiedzieć w zniecierpliwieniu więcej, jak należy....

— Dziadku!... dziadku!... — odezwało się dziewczę, patrząc z przymileniem w oczy starcowi, który się z siedzenia dźwigać jał i wstając, mówił:

— Przyjechał z Zagrzebia Czolnicz; w Zagrzebiu się nasłuchał i, co słyszał, powtarza..

— Powrócił sam?... — zapytała.

Gdy wyrazy te wymówiła, oblały się policzki jej szkarłatem. Zamilkła nagle, oczy spuściła i poczęła pilnie szydełkiem w szlarce, którą robiła, dłubać.

Starzec w chwili tej na wnuczkę nie patrzył, inaczej bowiem nie omieszkałby zapewne zapytać jej o powód, który rumieniec wywołał. Z siedzenia się nie bez wysiłku niejakiego dźwignął i odpowiedział:

— Ano.. nie pytałem go o to... Pojechał tam z *komszija* (sąsiadem) naszym młodym, może więc powrócili razem... Nie wiem, nie pytałem... Ij!... co mi tam...

Dziewczyna nie więcej nie mówiła; nie parzyła nawet za dziadkiem odchodzącym.

Starzec się wyprostował i szerszym aniżeli przyszedł krokiem z powrotem się do izby gościnnej udał. Przez podwórze przechodząc, upomnienie głośno przesłał pod adresem służebników, co z rękami założonemi pod stajnią stali.

— He!... próżniacy!... — zawołał.

W chwilę później, zajmując przy stole miejsce swoje, mówił, jakby na usprawiedliwienie nieobecności, która za długo trochę trwała:

— Z tą służbą zgryzoty same.... Nic się nie robi, gdy człek sam nie dopilnuje... Kłopot i tyle.... No i cóż, nie pijecie sąsiedzi?... — dodał, do gości mowę zwracając. — Widzę dzban pełny i puhary nie wypróżnione.... Pijmy, weselmy się, kiedy na świecie nie wesoło....

— Ot—odezwał się jeden z gości, oczami na Czolnicza wskazując, — według tego, co *komszija* opowiada, mogłoby inaczej być....

— Inaczej?... — podchwycił Deszicz. — Zapewne, czas nie stoi, godzina do godziny nie po-

dobna... *Tempora mutantur et nos in illis...*  
Rzecz to wiadoma....

Czolnicz na to :

— Rzecz w tem , ażeby zmiana nie wypadła na niekorzyść naszą....

— Będzie, co Bóg da... — odparł, powtarzając wyrazy, które od chwili najścia tureckiego, nadługo w znaczeniu przysłowia w ustach ludów południowo-słowiańskich brzmiały, znamionując politykę rezygnacyi, której się atoli ludy te, mianowicie zaś ludy porody serbskiej, zgoła nie trzymały.

— No, tak... — odparł Czolnicz. — Bez Boga nic... Sam Bóg wszakże dał ludziom rozum i wolę nie na to, ażeby się wyłącznie na zmiłowanie boże spuszczać.... „Pracuj człowiecze, a ja ci dopomogę“...

— Ani słowa... — odrzekł starzec. Pracuj, ale bacz, ażeby ci za twoją pracę pocziwą łba nie ucięto....

— To już się powtórzyć nie może....

— Czemu?...

— Posłuchaj mnie, *komszijo* i uważaj, jeno dobrze.... Niema pomiędzy nami drugiego Zri-niego....

— Toż to właśnie nieszczęście!... — zawołał starzec

— Nieszczęście, to prawda, wielka prawda... Ale nieobecność Zriniego to sprawia, że ucinać łąba niema już komu, a to dla tego, że Zrini był Zrinim, znanym i szanowanym nie tylko w Kroacyi, nie tylko w Węgrzech całych, ale szeroko na świecie... Do niego król francuski, król polski, doża z Mletu, sułtan, ojciec święty posły ślali... Nie byłoż tak, że król polski zapowiedział mu, iż na niego w Krakowie z koronacją swoją czeka?...\*). *Ergo*, był to człowiek wielki; co tam, w Bieczu, zawadzał, co komuś na drodze inaczej aniżeli Tekeli stawał, co był słońcem obok słońca... Takiego już w krainie naszej niema....

— I dla tego są niemcy... — wtrącił Deszicz.

— Ij!... czy to ich teraz tak wiele?... A i ci co są, są dla tego, żeśmy ręce opuścili... Potrzebni oni gdzieindziej... Gdybyśmy my przeto podawnemu poczynać zechcieli, wówczas i tę trochę szwabów wyciągnęłoby do obozów zadunajskich, my zaś pozostalibyśmy w domu wła-

---

\*) Piotr Zrini zapraszany był na koronację Michała Korybuta.

snym sami gospodarzami tak, jak tego nieboszczyk Zrini chciał....

Deszicz ramionami ścisnął i westchnął.

— Czyż to nie jasne?... — zapytał Czolnicz.

Starzec nie odpowiadał; inni na niego spoglądali, jakby na opinią jego czekali. Milczenie chwilę sporą trwało, wreszcie je gospodarz domu przerwał:

— *Tempora mutantur et nos in illis...* Kto lat temu dziesiątek mężem dojrzałym i rzeźkim był, tego dziś starość pochyliła; kto był młodzieńcem, ten dojrzał, a na młodzieńców dzieci powyrastały.... Zwracaj się, *komszijo* Czolniczu, do tych ostatnich i do tamtych, ale nie do mnie... Niech mężowie dojrzali radzą, niech młodzieńce za nimi idą; ja zaś... cóż ja?...

— Cóż ty?... Oto, co o tobie ban powiedział: gdyby się stary Deszicz ruszył, to za nim ruszyłaby się okolica sisacka cała, a za sisacką poszłaby jaska, ozalijska, nadkupie całe.... Ze starych pozostał on jeden: na nim waga....

Gdyby Czolnicz wyrazów powyższych nie był osłonił powagą bana, starzec byłby się może przekonać dał, miękł już bowiem widocznie, gdy słyszał wykład poprzedni stanu rzeczy. Na wspomnienie jednak bana, — człowieka, co w mnie-

maniu jego nie powinien był dostojenstwa spowiewieranego przyjmować, — sposepniał. Brwi mu się na czole sfałdowały i policzki drżały. Wąsy dłonią rozgładził i odrzekł:

— Nie... Pora moja przeminęła...

— Przecież to nie słowo twoje ostatnie?...

— Słowo moje ostatnie, oto jakie... — zaczął i zamyslił się. Oto jakie... — powtórzył: Nie mieszam się do niczego...

Czolnicz giest obydwoma rękami i głową wykonał.

— Ale, — ciągnął starzec powoli dalej, — ani przeszkadzać, ani odradzać nikomu, ani nawet rodzonemu wnukowi memu, nie będę... Z Bogiem!.. Róbcie, co za dobre i godziwe uznacie: jam robił swoje, kiedym młodszy był... Na starość zaś... widzicie... zapominać o czemś, co do serca przykipiało, to trudno... Zresztą — dodał — nie widzę, coby do czynienia w chwili tej było... Turczyn nam pokój daje... nie napada nawet...

— A bracia nasi po tamtej stronie Sawy i po tamtej stronie Kupy... — wtrącił Czolnicz...

— No tak.. to prawda... bracia nasi... Róbcie co i jak się wam zdaje, nie oglądając się na mnie...

— Kiedyż boś ty wśród nas głowacz... — odezwał się któryś.

— Kto tak myśli, temu niech się zdaje, że umarł i żeście mnie pochowali... Jam bo naprawdę umarł, lat temu,.. ile?... czy nie trzynaście?... Lat trzynaście.... Mój Boże!... Wydaje się mi, że było to wczora...

Starcowi się za powiekami zakręciły łzy. Wziął stojący przed sobą puhar, haust długi pociągnął, puhar na stole postawił i wężą odwrotną stroną dłoni rozglądził.

Wymowa Czolnicza, jak się zdaje, nie przekonała nikogo z obecnych. Racya oporności tej była prosta. Polegała ona na tem, że sąsiedzi oglądali się nie tyle na to, co stary powie, lecz na to, co zrobi. On niejako ręce umywał.

— Przecież — odezwał się Czolnicz, — przecież cesarz i król ogłosił w Pozony (w Presburgu) ogólne przebaczenie i win wszelakich zapomnienie...

— Piotr Zrini, — odrzekł starzec, — pojechał do Becza nie inaczej, jak na zaręczenie bezpieczeństwa dla osoby swojej.... Byłem z nim — dodał z uśmiechem, w którym się złośliwość przebijała — i w zaręczenie to wierzyłem, tak jak wierzę w Boga na niebie i w to, że w chwili tej słońce świeci.... O wierzyłem... westchnął.

— Cóż więc: z rękami założonemi czekać



mamy, aż szwab *nadwłada* tureczyna, albo tureczyn szwaba?....

— Czekaście, nie czekaście. starzec na to — *dixi quod* ze strony mojej *dicendo erat*....

— Chcesz być Achilesem i, jak on, pod namiotem z żalem i gniewem swoim pozostawać, pomimo, że lepiejby ci przystawało być Nestorem, zwłaszcza, że tu, niedaleko, znajduje się *mładicz* pewien, któryby ciebie, jak ojca słuchał, i przy pomocy twojej nie mało zrobić mógł.

Starzec ręką machnął z tym akcentem, który oznaczał, że go to nie obchodzi. Z Iliady zaczerpnięte porównanie nie przekonało go bardziej, aniżeli motywowanie racyj za pomocą przedstawiania stanu rzeczy w momencie bieżącym. Sąsiedzi, ludzie poważni, milczeli. Zamilkł i Czolnicz, — może nowych jakich w głowie szukał argumentów, z którymi atoli wystąpić już nie mógł, Deszcz bowiem milczenie przerwał, zagajając rozmowę o pogodzie i o wpływie dobroczynnym, jaki ona na zajęcia rolne wywiera.

— Bogu dzięki, — mówił, — jeżeli się to nie zmieni, to będziemy mieli i zboża, i wina i owoców podostatkiem....

Z biesiadników jeden poskarżył się na słońce, zbyt mocno, według niego, przygrzewające.



— Phi! — odrzekł starzec, głową kiwając. — Jakżeś chciał, ażeby słońce nie przygrzewało!.. Na toż słońce ono... i na to je Stwórca na niebie zawiesił, ażeby dokoła ziemi krążyło, grzało i świeciło....

— Uhm!... odezwał się jeden, — słyszałem, że są ludzie, co powiadają, iż nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca krąży...

— O?... — odezwało się paru tonem zdziwienia.

— Są, Boga mi... — odparł ten, co wiadomość tę podał i do starego Deszicza z zapytaniem w oczach się zwrócił.

— At!... — odrzekł starzec tonem od niechęcia, a zarazem wzgardliwym nieco.

— I komuż to myśl podobna w głowie strzelić mogła?... — zapytał jeden.

Starzec ramionami wzruszył na znak, że nie wie; Czolnicz odpowiedział:

— Komu?... komuż, jeżeli nie Polakom, którym się zawsze coś po głowach snuje i którzy zawsze inaczej, jak inni myślą.... Jednemu z nich myśl taka w głowie strzeliła.... Polacy tego się biją, tego piją....

— *Walani* (wiele warci, walni) ludzie... — wtrącił Deszicz.

— Tak, ale nie co do myślenia.... Gdy coś

wymyślą, zawsze coś takiego, jak to, że się ziemia około słońca obraca. . . . Możnaż wymyśleć głupstwo większe?...

Wyrazy ostatnie wymówił z przyciskiem, przykładając sobie palec do czoła.

— Bre, bre... — odezwał się jeden, głową kiwając. Po-wa-ryo-wali.... Wymyślą chyba jeszcze, że ludzie nie nogami, ale głowami po ziemi chodzą...

Śmiech gruby, ogólny prawie, był na uwagę tę odpowiedzią.

— I czegoż oni nie wymyślą jeszcze!

— U nich, — zaczął Czolnicz, — wszystko naopak, nie tak, jak u ludzi.... Mieniają się republiką, a wybierają sobie króla; króla mianują panem, a on jeden nie panuje; buntują się przeciwko monarsze własnemu, a pomagają monarchom cudzym w poskramianiu ich poddanych; uważają się za chrześcijański naród, a pomiędzy nimi znajduje się taki jeden, co na przekór pismu świętemu powiada, że się ziemia około słońca obraca....

Czolnicz widocznie Polakom nie sprzyjał.

Nie było w tem nic dziwnego. Węgry i kroaci mieli do nich pretensyą za przyjście Leopoldowi I z pomocą skuteczną i usposobieni byli zwalać na naród całą odpowiedzialność za „głup-

stwo“, jakiego się dopuścił jeden onego członek, Kopernik. Drwiąc z Kopernika, drwili z narodu polskiego. Czuli się do tego upoważnieni, byli to bowiem ludzie światli, po łacinie mówili, w autorach łacińskich czytani byli — nie jeden z nich powiadać mógł: „mój przyjaciel Maro“, jak powiadał wojski w „Panu Tadeuszu“. Z tem wszystkiem atoli szanowali waleczność polską, która pod Wiedniem zajaśniała splendorem wielkim. Sobieski imponował ludziom rycerskim. Deszecz powtarzał od czasu do czasu:

— Waleczny naród...

Dla Sobieskiego, wybaczał im Kopernika.

Gawędka ciągnęła się dalej. Znalazła się materia, co ją podsyciła i przedłużyła. Gospodarz wina dolewał, zachęcając do picia i wspierając zachętę argumentami nieprzepartemi, wypowiedanemi po kroacku i po łacinie. Raz mówił o potrzebie zwilżania gardła, znów o tem, że wino serce rozwesela, następnie, że w winie prawda spoczywa. Biesiadnicy prosić siebie nie dawali, pili, ale powoli, potrosze, jak przystało na ludzi statecznych, z których każdego czekała podróż do domu. Na rozmowie czas upływał, — słońce się ku zachodowi chyliło i byłoby może za-

szło, zanimby się goście rozjechali, gdyby nie Czolnicz, który się odezwał:

— Dobrze nam tu, słodko i miło, ale wynosić się już pora...

W chwili tej, jeden z gości, co dotychczas milcząco był, zagabnął go niespodzianie:

— O jakimś to mładczu mówił!...

— O jakim?... — odparł Czolnicz, nie domyślając się odrazu, do czego zapytanie zmierza.

— Dla kóregoby Deszicz Nestorem mógł być?...

— E... — odrzekł. Co tam już i mówić o tem!...

Starzec się wmieszał, — o czemś zagadał.

Czolnicz wstał. Za przykładem jego poszli inni. Towarzystwo na czerdak się przeniosło. Na czerdaku zawiązała się na poczekaniu rozmowa nowa, podczas, gdy pachołkowie ze stajni konie wyprawdzali. Konie posiadłane rozmaicie, ten na sposób turecki, ów na węgierski, jeden jaskrawo, z frezlami i chwastami, inny ciemno i gładko; rozmaitej też były rasy: tureckiej, bośniackiej, siedmiogrodzkiej, węgierskiej, niemieckiej nawet. Goście jeden po drugim gospodarza domu żegnali, który każdemu z osobna *sretan put* życzył i jeden po drugim za bramą, za gruntu załomem, znikali. Najpierwszy odjechał Czolnicz, — śpieszno mu było, — a z nim ten, co go o młodzińca pytał.

## II.

Wieś, zwana Klimowac, podobną była do Dubrawaca tak, jak w rodzinie podobnemi bywają jednego ojca i jednej matki dzieci. I w niej się chałupy włościańskie kryły niby; i w niej dworzec szlachecki, opalisadowany i do obrony przysposobiony, zajmował położenie dominujące. Z Dubrawaca do Klimowca było blisko i daleko: blisko przez górę, daleko drogą wozową, która, po dolinie brzegiem potoku się wijąc, zakreślała kilka kręgów wielkich. Góra, wsie te rozdzielająca, stroma była i skalista i na pierwszy rzut oka zdawało się, że przez nią przejścia niema. Ale to tak zdawało się jeno. Przy rozpatrzeniu się bliższem, dostrzegało się przejścia śród kamieni i ponad urwiskami ścieżek, mających pozór taki, jakby je kozy wydeptały. Ścieżkami temi chadzali ludzie — i one bardziej, aniżeli droga, utrzymywały pomiędzy mieszkańcami wsi jednej

i drugiej stosunek sąsiedzki, ów stosunek sąsiedzki bliski, który się tem wyraża, że się wszyscy znają. Dubrowczanie z Klimowczanami znali się; znali się starzy i młodzi, spotykali się na ścieżkach i schodzili przy okazjach, jakie nastroczały święta kościelne. Na odpuszcie w Dubrawacu bywała cała klimowacka gromada i naodwrot, w dzień święta patrona w Klimowacu, dubrowaczanie o dnia świtaniu ciągnęli gęsiego ścieżynami górskimi, z jednej strony do góry się wspinali, z drugiej w dół się spuszczały; nad wieczorem wracali; dzień cały upływał im wspólnie na słuchaniu nabożeństwa i kazań przed południem, na zabawie po południu. Znali się i przyjaźnili wszyscy, z wyjątkiem plemiczów.

Właściciele dwóch tych majątków znali się, ale się nie przyjaźnili; nigdy się nie schodzili, nigdy nie widywali; gdy zaś wypadek zrządził, że się spotkali, odwracali się jeden od drugiego. Ludzie się temu nie dziwili zgoła, pomimo, że się to dziwnem wydawać mogło, nie różniło ich bowiem żadne zajście sąsiedzkie, nie procesowali się, po sądach się nie ciągali, jeden drugiemu nie wyrządzał przykrości najmniejszej. Odsuwało ich jednego od drugiego nazwisko. Właścicielem Klimowaca był Erdödi.

Nie tylko on się Erdödi nazywał, ale był banastryjeczny; nie tylko był banastryjeczny, ale przytem należał do stronnictwa tych cierpliwych, co przyjmowali z rezygnacją wszelkie ciosy i zamachy ze strony korony pochodzące i jeżeli takowych nie pochwalali w sumieniu własnem, to się na nie głośno nie oburzali.

— Co to pomoże?...

Gdyby nie to, korona nie byłaby mogła wśród szlachty miejscowej znaleźć człowieka do sprawowania urzędu bana.

Erdödiowie, jak samo nazwisko wskazuje, pochodzili ze szlachty madjarskiej; mieli jednak w Kroacyi posiadłości i zaliczali się do szlachty miejscowej, a zaliczali z tej racyi, że w wieku XVII osiadłość jeno w rachunek się brała. Szlachcie węgierski w Kroacyi stawał się obywatelem królestwa kroackiego, używającym tych praw i przywilejów, jakie przysługiwały na Węgrzech szlachcicowi, kroacie z rodu. Ród nic nie stanowił. Kwestya narodowości drzemiała jeszcze w pieluchach ludowych, w niewiadomości samej siebie. Język nawet, przywiązany do niemającej ani politycznego, ani społecznego znaczenia sfery chłopskiej, nie różnił szlachciców, oni bowiem do porozumiewania się posiadali język ła-



ciński, który kaleczyli straszliwie, w którym jednak porozumiewali się. Dłuższa osiadłość oswajała kroatów na Węgrzech i węgry w Kroacyi z mową miejscową. W sposób ten wyrównywały się różnice narodowościowe i w drugim pokoleniu nie już, z wyjątkiem nazwiska, przybysza od miejscowych nie różniło. We względzie tym zachodził stosunek ten sam, co pomiędzy Litwą a Koroną. Szlachcie Litwin, przesadzony na grunt Wielkopolski naprzykład, śpiewał i inaczej wyraził akcentował po polsku mówiąc; w drugim atoli pokoleniu, już po tem tylko, że się Szukszta lub Puksza nazywał, pochodzenie jego poznać się dawało. Za obcego nie uchodził. Za obcego też nie uchodził i Erdödi, tem bardziej, że osiadły z dziada pradziada, zżył się z żywiołami miejscowymi — przyrosł do gruntu. Stary Deszicz miał do sąsiada pretensją nie za to, że z madjarów pochodził, ale za to, że wyznawał przekonania; dzięki którym, krewny jego na stolicy bańskiej osiadł. Pokrewieństwo tłómaczyło go do stopnia pewnego, ale nie usprawiedliwiało; nie usprawiedliwiało zarówno po tej, jak po tamtej stronie Drawy, w Kroacyi i na Węgrzech. Ban nie cieszył się uznaniem ani ze strony tych,

co śmierć Zriniego żywo pamiętali, ani wśród stronników Tekelego i Rakoczego.

Właściciel Klimowaca nie posiadał zbytniego pomiędzy szlachtą okoliczną miru. Deszcz się od niego ostentacyjnie odwracał, inni się zdaleka trzymali. Nie była to nieprzyjaźń wyraźna i otwarta; była to raczej niechęć, która to sprawiała, że jak się sąsiedzi nie garnęli do Erdödiego, tak też Erdödi nie garnął się do sąsiadów — do nich nie jeździł, u siebie ich nie zgromadzał, wyosobniał się i w wyosobnieniu dnie, lata spędzał. Niechęć jednak stanowiła powód jeden, do którego przyłączył się drugi, bodaj czy nie ważniejszy. Właściciel Klimowaca, luboć od Deszczaka o parę dziesiątków lat młodszy, nie wyrównywał mu siłą i zdrowiem. Od śmierci żony, zmarłej w połogu, przywiązała się do niego choroba, która go trapiła ustawicznie. Niedomaganie stało się stanem jego normalnym. Od czasu do czasu ciężko zapadał, dźwigał się i zapadał znów. Wzywał do siebie lekarzy i lekarki, pił z ziół różnych wywary, maściami się różnemi smarował, okadzał się i poddawał zaklęciom wszelakim, — nic nie pomagało. Stękał i kwękał, wychudł, przed czasem się pochylił, humoru był zgryźliwego, służbie dokuczał i względem je-

dnej tylko w otoczeniu swoim istoty uprzejmym i słodkim się okazywał, a istotą tą był syn jego. Na imię mu było Lajosz. Ojciec trzymał go przy sobie lat dwadzieścia trzy — dziecko niańczył i hołubił; gdy na chłopaka wyrósł, sam go czytać i pisać uczył i w łacinę na kronikach starych i na autorach klasycznych wprawiał. Chłopak od dzieciństwa konia dosiadał i z orężem się oswajał; od lat piętnastu wieku swego na łowy chodził; razy kilka dworca ojcowskiego od napaści tureckiej bronił, razy kilka w wyprawach za granicę udział brał; zresztą, gospodarką się trudnił, wyręczając ojca, który coraz to mocniej na zdrowiu zapadał i martwił się tem szczególnie, że syna przy sobie trzyma.

Martwił się tem ciągiem jednym przez lat kilka, podejmując co moment postanowienie wysłania syna do Zagrzebia, do stryja.

— Wyślę Lajosza, wyślę... — powiadał sobie. Nie godzi się w Klimowacu go zamykać.... Niech chłopiec świat zobaczy, niech się w nim rozpatrzy.... Stryj, gdy go pozna, znajdzie dla niego drogę odpowiedną... Grzech, ażeby marnował się chłopiec taki....

Wyrazy ostatnie dyktowała miłość rodzicielska, która zazwyczaj ślepą bywa i z łatwością

błądzi, gdy wartość syna ocenia. Któryż ojciec w synu zarodków gieniusza nie dopatruje?—któryż dla potomka swego o przyszłości świetnej nie roi?... Od rojeń tego rodzaju wolnym nie jest statysta najpoważniejszy. Wolnym od nich nie był i Erdödi stary, a to tembardziej, że, w oczach nawet ludzi obojętnych, usprawiedliwiały je przymioty, jakimi natura obdarzyła młodzieńca. Na Lajosza dosyć było spojrzeć, ażeby jak najlepsze o nim mniemanie powziąć. Przedewszystkiem wydawał sobą zucha: słuszny, szykowny, silnie zbudowany, celował wśród młodzieży okolicznej zarówno postawą, jakoteż męską, ufnością wzbudzającą, wyrazistością oblicza. Patrząc na niego, myślało się o młodym dębie, który, luboć młody, stawić może i umie burzom czoło. Tak wyglądał Lajos Erdödi. Powierzchność jego odpowiadała wartości wewnętrznej. Złożył na to dowody, nie liczne wprawdzie, ale pewne i głośne, polegające na odwadze osobistej, z jaką się napastnikom stawiał. Mówiono o tem, chwalono młodzieńca—w okolicy uchodził za bohatera.

Usprawiedliwiały się przeto w pewnej mierze rojenia rodzicielskie starego Erdödiego i pragnienie dla syna szerszego do działania pola. Cóż jednak! Pragnienia owego nie tylko urzeczywi-

stnieć, ale nawet wypowiedzieć nie był w stanie. Przywiązanie do syna usta mu zamykało — wyrazy w głąb gdzieś wpędzało. Próbował kilkakrotnie, — zaczynał:

— Lajoszu, trzebaby już pomyśleć....

— O czym, ojcze?... — zapytywał młody człowiek.

Stary zamilkł, myślał, wreszcie odpowiadał, naprzykład:

— O gromadzeniu siana....

— Wszakże tylko co skoszone, nie wyschło jeszcze...

— Tak... zapewne; myśleć jednak o tem należy zawczasu, ażeby... hm? nie przeszło na pokosach...

Raz zapędził się tak daleko, że po czasowniku „pomyśleć“, wypowiedział wyrazy następujące:

— Masz już lat dwadzieścia jeden...

I zamilkł. Syn na dalszy ciąg czekał; gdy atoli ojciec milczał, zapytał:

— Co, ojcze?

— Masz lat dwadzieścia jeden... — powtórzył stary.

— Mam... tak.. Cóż ztąd?

— Przypomniało mi się to...

— Aleś powiedział, ojcie, o potrzebie pomyślenia o czemś... O czem?...

Stary się zakaszłał. Po wykaszłaniu się, dłoń podniósł, uśmiechnął się i odrzekł:

— Młodzi ludzie w wieku twoim o żenieniu się już myślą... Nie myślisz ty?...

— Ij!... — odparł tonem od niechcienia.

— W oko ci nie wpadła dziewczynka żadna?...

— Żadna?... Eh... Nie wiem...

— Wpadła która może?...

— Może wpadła, może nie... nie wiem...

Młody człowiek nie wyrażał się jasno, jakby mu coś do wytłómaczenia zawadzało.

— Żenić byś się chciał?...

— Nie... — odpowiedział stanowczo.

— Masz rację... Młody jesteś; żona, którą ci Bóg przeznacza, nie ucieknie, a...

Tu znów stary Erdödi wyrazów, które mu na języku wisiały, wykrztusić nie mógł. Znów więc się zakaszłał i kiedy, po przeminięciu kaszlu, syn się do niego z zapytaniem zwrócił, odpowiedział:

— At.. Tak będzie, jak Bóg da....

We względzie tym pomiędzy ojcem a synem zachodziło nieporozumienie, które harmonii nie psuło, niemniej atoli jeđnej i drugiej stronie za-

wadzało. Staremu zawadzało to szczególnie, że syna z domu wysłać nie mógł. Kochał go, — była to przeszkoda jedna: rozstanie się z nim wydawało mu się rzeczą nie do przeniesienia.

— On wyjedzie, ja umrę... — powiadał sobie, — i nie będzie komu oczu mi zamknąć. . . . Niechże ja pierwiej umrę, on wyjedzie potem...

Chorobliwość stanowiła przeto przeszkodę drugą, która usprawiedliwiała pierwszą. Śmierci się spodziewał i do chwili śmierci swojej odkładał postanowienie co do losów syna. Na wypadek ten wszystko miał zawczasu w pogotowiu: testament po łacinie napisany, rozporządzenia szczegółowe do testamentu dołączone, a obok tego w kopercie ogromnej list, zaadresowany, z wymienieniem tytułów wszystkich, do bana, Mikołaja Erdödi. Do sporządzenia testamentu wezwał Czolnicza, nie tylko dla tego, że Czolnicz mniej niż inni niechęci mu okazywał, ale i dla tego jeszcze, że prawo znając, dopomódz mu mógł do ułożenia dokumentu według wymóg formalistyki sądowej. Zbytecznem to było, jak Czolnicz powiadał:

— Masz syna jednego, na niego przeto, nie na kogo innego, jako na sukcesora jedynego, majątek twój i bez testamentu przechodzi....

— Wiem... — odrzekł, — ale, niech nie zachodzi wątpliwość najmniejsza... Niech ludzie wiedzą, że to majątek mój, syn mój, syn jedy-ny i że nikt ani prawa nie ma, ani pretensyj rościć nie może do niczego, co po mnie zosta-nie... Jak Bóg jeden na niebie, tak Lajosz je-den na Klimowac, Krsty i Kozi róg...

— Wola twoja... — Czolnicz na to.

Testament sporządził według formy, w podpisy go i pieczęcie zaopatrzył, w kancelaryi kopią onego zaoblatował i oryginał w ręce testatora złożył.

— A teraz, — przemówił do niego ten osta-tni, — pragnąłbym, ażebyś był przy mnie, gdy pora moja się zbliży...

— Może ja poprowadzę ciebie...

— Może... Nie wiem... W razie jednak, gdy-bys nie poprowadził, przyjeżdż na wezwanie... — rzekł prośby tonem.

— Czemużbym przyjechać nie miał?...

— Przyjeżdż, bracie, przyjeżdż... Znajdzie się za-pewne niejedno do powiedzenia tobie...

Czolnicz perswadował, że to nastąpi nie pręd-ko. Nastąpiło to jednak. Wieczora pewnego go-niec przybiegł do niego z oznajmieniem, że sta-ry Erdödi kona. Czolnicz się szybko zebrał, na



koń wsiadł, pośpieszył i w parę godzin później znajdował się przy łożu chorego, który w rzeczy samej konał, gasnąc jak lampa, gdy się w niej olej dopala. Wijatyk przyjął poprzednio, symboliczna świeca u wezgłowie mu gorzała, zgromadzona w komnacie przyległej służba odmawiała za konających modlitwy, przy łożku klęczał syn, a na głowie jego spoczywała dłoń ojcowska. Za wejściem Czolnicza oczy konającego ożywiły się i po ustach uśmiech się przesunął.

— O dobrze... o dobrze, żeś przybył... — odezwał się głosem słabym.

Przybyły chciał wyrazów parę przemówić, lecz umierający uprzedził go.

— Lajosz po śmierci mojej do Zagrzebia pojedzie... Zagrzeb gród wielki... Towarzysz mu...

Czolnicz odpowiedział głowy skinieniem.

— Przyrzekasz mi to?... — zapytał Erdödi.

— Przyrzekam.

— Dziękuję ci bracie... dziękuję... Zagrzeb gród wielki, Lajosz młody...

— Ojcze!... — odezwał się młody człowiek, głowę podnosząc i patrząc na ojca oczami zapłakanymi.

— Ani chwili nie czekaj.. . Po pogrzebie jedź... z listem... do bana... z Czolniczem, który...

Osłabł, mówić dalej nie mógł; po chwili to samo powtórzył i znów zamilkł; kończyny ciała mu chłodziły, puls ustawał, oddech stawał się coraz to powolniejszym; odezwał się jeszcze, ale go już ledwie słychać było; wreszcie wzrok w syna utkwiał i oddychać przestał.

Młody człowiek z klęczek się zerwał, dłonią sobie czoło przycisnął i głośnemu żalowi dał folgę.

W przyległej izbie odezwała się głośna za spokój duszy modlitwa.

Płaczki, zwyczajem Słowian południowych, w lament uderzyły.

— *Jau, jau kuku lele!..*

Dom napełnił się kukaniem i płaczem, wobec którego synu nieboszczyka umilkł i z izby się wydał.

Nastąpiło ubieranie zmarłego do katafalka i trumny. Obrządek pogrzebowy rozwijał się stopniowo porządkiem zwyczajnym, napełniając przez dni trzy dworzec klimowacki gwarem, który się kolejno to wzmagał, to uciszał, aż zakończył się ostatecznie na cmentarzu, gdy spuszczoną do dołu głębokiego trumnę przykryła świeża mogiła. Na mogile klęczał jakiś młodzieniec i przyciskał do pochylonego czoła zaciśnięte mocno pięście,

jakby je chciał sobie wbić w czaszkę. Wreszcie i on się z cmentarza oddalił. We dworze na niego Czolnicz czekał.

— Ot, teraz na świecie ja sam... — odezwał się do tego ostatniego.

— Sam... nie... — odparł Czolnicz. Ludzie, wedle prawa boskiego, są braćmi...

— Alem miał tak niedawno ojca... i straciłem....

— Nie nazawsze.... Odbędziesz ziemską pielgrzymkę swoją i udasz się tam, gdzie on odszedł.. Straciłeś go więc z oczu nie nadługo; odzyskasz na wieczność całą....

Młodzieńca, który był wierzącym, tak jak w wieku XVII ludzie wierzyli, uderzyły wyrazy powyższe. Sprawily mu one, jeśli nie pociechę, to uspokojenie, które pozwoliło Czolniczowi przypomnieć mu wolę ojcowską.

— Nieboszczyk chciał, ażebyś niezwłocznie po pogrzebie jego...

— Do Zagrzebia jechał... — podchwycił Lajos. A tak... pamiętam o tem, luboć wolałbym jechać nie teraz...

— Wola ojca.

— Nie sprzeciwiam się jej, mimo, że czuję

potrzebę samotności, spokoju, zamknięcia się w sobie....

— Ojciec snąc uczucie to przeczuł w tobie, kiedy pomyślał o zapobieżeniu onemu....

— Czyż jest w tem co złego?

— Złego niema nic, ale szkodliwości jest dużo.... W smutku samotności unikać należy....

Lajosz westchnął i odrzekł:

— Jedźmy przeto....

Wybranie się w podróż czasu nie zabrało dużo, godzin dwie, trzy, nie więcej. Pachołkowie konie posiadłane do progu podprowadzili, podróżni wsiedli i ruszyli: Lajosz i Czolnicz przodem, za nimi dwaj stajenni. Przy siodłach mantelzaki i bisagi znamionowały, że podróż czas jakiś zabierze. Jeźdźcy mieli na sobie uzbrojenie, w czasach bowiem onych ostrożność nie pozwalała puszczać się bez oręża. Wyższe części ciała okrywały im półpancerze, przy lewym boku wisały pałasze, w olstrach spoczywały pistolety. Za wrotami każdy z jeźdźców znakiem krzyża świętego piersi sobie osłonił; Czolnicz się odezwał:

— Z Bogiem....

Odległość z Klimowaca do Zagrzeb'a, wynosiła nie więcej, jak mil kilka. Letnią porą, o świcie wyjechawszy, w stolicy na noc stanąć było mo-

zna. Że jednak podróżni nasi wyruszyli z południa, musieli przeto na drodze nocować i stępem jadąc, do przeprawy na Sawie dotarli nazajutrz, gdy słońce się ku zachodowi już miało. Od przeprawy przedstawiał się oczom ich gród na wyżynie. Miasto dolne nie istniało jeszcze wówczas. Zagrzeb zdaleka miał pozór domami okrytego wzgórza stożkowego, obwiedzionego ze spodu szlarką murów i zaznaczonego u szczytu świątynią. W perspektywie gród przedstawiał się, jak chrępawy piedestał starożytnej katedry św. Szczepana, która sama jedna wyraźnie się na horyzoncie zarysowywała. Słońce oświecało kopułę, wieże i kızıże i czerwony odblask rzucając na okna kamienie, przeistaczało je, w złudzeniu optycznym w punkty żarzewi gorejących. Migotały i pałały, nakształt pokazującej się w otworze pieca hutniczego miedzi roztopionej. Zpomędzy domów pokazywały się tu i ówdzie miejsca zielonejące, urozmaicające widok, który sam przez się miał pozór panoramy bardzo ponętnej.

— Jakież to piękne! — zawołał młodzieniec.

— Piękniejsze, aniżeli dzikie góry nasze... — odpowiedział Czolnicz.

I jał, palcem wskazując, powiadać:

— To katedra... to pałac arcybiskupi... tamto

dworzec bana... to klasztor franciszkański... tam kościół świętego Marka...

Młody człowiek spojrzeniem powodził, lecz z wyjątkiem katedry, która wystawała, budowli żadnej innej z tych, które mu towarzyszył podróży palcem wskazywał, rozpoznać nie mógł. Powtarzał jeno:

— Jakie to piękne... — i jechał w stolicę wpatrzony.

W bramie zatrzymała ich warta. Podać musieli nazwiska swoje. Nazwisko Erdödi wywarło na pilnujących wnijsiecia do Zagrzebia pandurów wrażenie. Dowodzący nimi starszyna, wyprostowany, odpowiadał z uszanowaniem na zadawane mu przez Czolnicza, tyżące się gospody, zapytania. Podróżni nasi wnet za bramą wjechali w zabudowaną gęsto, a pod górą się wspinającą ulicę, która doprowadziła ich do rynku. W rynku wzięli się w lewo i, dojechawszy do domostwa z wystawą, wiechą zaznaczonego, konie zatrzymali.

— Oto tu... gospoda nasza... — odezwał się Czolnicz.

— *Dobro doszli!*... — słyszeć się dało wołanie.

— *Kako ste?*... — odpowiedział.

Wołanie pochodziło z ust człowieka grubego a

przysadkowatego, który ku zsiadającym z koni podróżnym, pantoflami suwając, podchodził.

— Znajdzie się w gospodzie miejsce dla nas i dla koni naszych?... — zapytał go Czolnicz.

— Jakżeby się znaleźć nie miało!... — była odpowiedź. — Gdyby w gospodzie mojej gość na gościu siedział, to jeszcze dla takiego, jak ty gościa miejsce by się znalazło... Ustąpiłbym ci izby mojej i pościeli własnej... Taki dawny i dobry znajomy!... Miejsca jest podostatkiem, Bogu dzięki...

To rzekłszy, głowę odwrócił i na głos cały huknął:

— A!... Toma bre!...

W bramie, która do wnętrzą zabudowania prowadziła, pojawił się człek w mycce czerwonej na głowie i w fartuchu i zapytał:

— A co tam?...

— Daj koniom tych ludzi miejsce najlepsze i pamiętaj, ażeby nakarmione i napojone były...

Po wydaniu rozkazu tego, zwrócił się do Czolnicza z zapytaniem:

— Z czem-że dobrem przyjeżdżasz?...

— Przyjeżdżam, jak widzisz, nie sam...

— Widzę to i domyślam się, że sprowadza cię do nas jakaś sprawa, proces jakiś... odrzekł,

mierzając młodego człowieka okiem od stóp do głowy.

— Owóż nie: żadna sprawa, żaden proces.... Przyjeżdżam dla młodzieńca tego, który nigdy jeszcze w życiu do Zagrzebia nie zaglądał...

— Bre bre?... — odezwał się gospodarz zajązdu zdziwienia tonem. Nigdy jeszcze w Zagrzebiu nie był?...

— Miał ojca słabującego, którego nie odstępowałam...

— Ij... pięknie... Dobry z niego syn... A jakże się zwie?...

— Lajos Erdödi...

— Uh!... — wykrzyknął gospodarz, jakby niespodzianie w bok szturchnięty i dodał swobodnie: — A, to on, syn tego Erdödiego z Klimowaca... Słyszałem, że słabuje...

— Nie słabuje już... — odrzekł Czolnicz.

— A... no... — gospodarz na to Królestwo jemu niebieskie... Chodźcież, goście drodzy, do izby; za stołem usiądźcie spoczniście i chłodnym wincem się orzeźwcie... Oto wam droga... — rzekł, na drzwi wchodowe wskazując.

Podróźni weszli do obszernej izby gościnnej, niekoniecznie jasnej i czystej, zastawionej stołami i ławami. Za stołami tu i ówdzie siedziało po



kilku ludzi, cywilnych i wojskowych. Jedni rozmawiali po serbsku, inni po niemiecku. Za przekroczeniem progu przez Lajosza i Czolnicza, rozmowy się urwały i oczy wszystkich na nich się zwróciły.

W Zagrzebiu gość był przedmiotem ciekawości. Przybycie osobistości nowej interesowało ludzi, Zagrzeb bowiem, w wieku XVII, acz stolica kraju, posiadał właściwości miast prowincjonalnych, w których mieszkańcy wszyscy pomiędzy sobą się znają. Pojawienie się przeto nieznanego wrażenie sprawia, wrażenie, które wywołuje zapytania, szeregujące się zazwyczaj w sposób następujący: Co za jeden?... skąd przyjeżdża?... poco przybywa?... czy długo, czy krótko zabawi?... Zapytania te za stołami siedzącym w oczach świeciły, i, gdy Lajos z Czolniczem miejsca swoje zajęli, z drugiego końca izby odezwało się wołanie na gospodarza.

— Zapomniałeś o nas... — mówił wołający. — Dzban już nam wysechł i w gardłach wysycha...

Był to pretekst do zasiągnięcia języka; kiedy bowiem gospodarz, celem napełnienia dzbana, do stołu podszedł, jeden z siedzących za stołem do ucha mu szepnął:

— Co to za jedni?...

- Stary to Czolnicz, młody — to Erdödi...
- Erdödi?
- Nie inaczej... o...
- Zkąd on?... — zapytał inny — zpod Warazdinu?...
- Nie...
- Pod Warazdinem Erdödiowie mieszkają...
- Mieszkają oni nietylko pod Warazdinem... — odrzekł gospodarz, drożąc się niejako z udzieleniem wyjaśnienia.
- A... to już nie wiem... To chybaż on z węgierskiej strony, tam bowiem, jakem słyszał, ban *rodiczów* ma....
- Ma on rodiczów i pod Sisakiem.
- Chyba.... O tem nie słyszałem....
- Któryż człowiek o wszystkim słyżeć może!... Człowiekowi Pan Bóg dał tylko uszów dwoje, słyży więc tyle, co przez dwoje uszów wlezie....
- Prawda... — odparł ciekawy. Więc on od Sisaka, od granicy tureckiej?...
- Jak mówisz.... Od granicy....
- Pocóż przyjechał?...
- Zapytaj go....
- A jak zabawi długo?....
- Zapytaj go, kiedyś ciekawy....

— Ja ciekawy?... — zaprotestował inkwirent. Nie pokazało się to na mnie nigdy, ażebym ciekawym był... Pytam... ot... ażeby gęba nie próżnowała...

Gospodarz się od stołu, do stołu innego wzywany, oddalił i w izbie z ust do ust przechodził wyraz: Erdödi. Wyraz ów z gospody się wydostał i do izby począł gości ściągać. Przybywali ludzie coraz to inni i stoły obsiadali. Nie działało się to ze szkoda gospody. Pomiedzy przychodniami znalazło się kilku Czolnicza znajomych. Ci się do niego przysiedli. Zrobiło się ludno i gwarno, zamiana wina na monetę brzęczącą szła zwawo; rozprawiano o polityce i o wiadomościach z pola zapasów wojennych. Lajosz się temu przysłuchiwał i przypatrywał tak mniej więcej, jak przysłuchuje się i przypatruje zapewne ptak leśny, w klatce wśród ludzi postawiony. Z rozmów, które mu się o słuch obijały, ze spojrzeń, które się na osobie jego koncentrowały, nie umiał sobie sprawy zdać. Słuchał, — nie słyszał, patrzył, — nie widział. Przy wieczerzy, do której biesiadników, takich nawet, co w domu własnym wieczerzaćby mogli, zasiadło dużo, jadł mało i wnet po wieczerzy Czolniczowi w ucho włożył:

— Czybyśmy nie mogli już spocząć?...

— Czemu nie!... — była odpowiedź.

Czolnicz gospodarza przywołał i życzenie Lajosza mu zakomunikował.

— O! goście moi drodzy... — odrzekł tenże, tonem uprzejmości wysoko nastrojonej. tłumaczącej się dochodem, jaki mu wieczór ten przyniósł, — kazałem przygotować dla was izbę, w której wam jak królom będzie... Jeżeli spoczywać nie chcecie, siedźcie... bo nie późno jeszcze; jeżeli was jednak do spoczynku ciągnie, poczekajcie trochę... minuteczkę...

Minuteczka na godzinę się wyciągnęła. Nie w tem nie było dziwnego. Gospodarzowi, zajętemu napełnianiem kufli i pobieraniem zapłaty, czas upływał szybko. Czolnicz dwukrotnie przypominać mu musiał i za każdym razem otrzymywał odpowiedź jednakową:

— Natychmiast....

„Natychmiast“ wreszcie czynem się stało. Gospodarz na podróżnych naszych zdaleka skinął i, poprzedzając ich z kagankiem w ręku, zaprowadził do izdebki, w której zapowiedziane posłanie królewskie znaleźli pod postacią pryczy okrytej rogózką, zaopatrzonej w podłużne, słomą wypchane poduszki i zasłanej kilimkami i mantami (płaszczami) ich podróżnemi. Pod jedną ze ścian złożono ich

siodła, mantelzaki, bisagi i oręże. Pod rogózką, ani materaca, ani siennika. Królowie przy końcu wieku XVII wygodniej już sypiali. Podróżni jednak nasi nie zwrócili na to uwagi najmniejszej. Gospodarz, złożywszy im życzenie nocy dobrej, odszedł i życzenie karczmarza ziściło się, pomimo, że z twardością posłania łączyły się niedogodności inne jeszcze, któreby ludziom wybrydnym spać nie dały. Izba była gęsto zamieszkaną przez istoty, mające zwyczaj czuwać nocami całymi i żywić się krwią ludzką, przez istoty rodzaju dwojakiego, takie co łążą i w szczelinach się gnieźdzą i takie, co łążą i skaczą, a gniazd stałych nie mają. Słowiańszczyzna południowa obfituje w nie tak, że poniekąd uważać ją można za ojczyznę istot owych. Podróżni jednak nasi wybrydni nie byli. W części oswojeni z temi rodzaju człowieczego wrogami (do czegoż bowiem przywyknąć nie można?), w części znużenie to sprawiło, że, nie po królewsku wprawdzie, ale jak królowie się przespali i obudzili się nazajutrz pogryzieni, rzeźwi i wypoczęci.

— A więc... do bana.. — odezwał się Czolnicz, toaletę swoją kończąc.

— Nie... — odparł młody człowiek.

— Trzebaż od tego zacząć, albowiem....

— Zaczniemy od modlitwy.... Wczoraj, widząc kościołów tyle, pomyślałem sobie o ojcu nieboszczyku.... Zamówię nabożeństwa za zbawienie duszy jego....

— To dobrze... dobrze i pięknie... — odrzekł Czolnicz. — Jakże chcesz?... w katedrze?..

— I w katedrze... Ślubowałem sobie egzekwie w trzech kościołach, między niemi koniecznie w kościele św. Marka, patrona nieboszczyka....

— E... pięknie.... Pośpieszmy więc, ażebyśmy w porę egzekwie zamówili... Czy we wszystkich trzech razem?..

— Nie możnaby w taki urządzić się sposób, ażeby po skończeniu nabożeństwa w kościele jednym, trafić na nabożeństwo do drugiego?..

— Może i można... Dowiedzieć się o tem należy....

— Chodźmy więc... najprzód do świętego Marka ...

Na miasto wyszli. Ruch miejski zaledwie się rozpoczynał ze względu na porę dnia wczesną. Z zamawianiem egzekwii trudności nie mieli najmniejszych, raz dla tego, że Lajosz z góry a hojnie płacił, powtóre dla tego, że chodziło o duszę Erdődiego. Nazwisko to usuwało wszelkie, z jakimi wszędzie prawie występowano, objek-

cye. Za wymówieniem onego znajdowało się wszystko: i czas, i posługa kościelna, i księża. U św. Marka proboszcz udzielił im rady dobrej, co do kolei nabożeństw: o godzinie siódmej w kościele świętego Marka, o dziewiątej u Franciszkanów, o jedenastej w katedrze. Lajos zamówił wszędzie: wystawienie katafalka, światła jarzące i asystę liczną; chciał bowiem i uczcić pamięć ojcowską jaknajbardziej i nadać modłom za duszę jego potęgę jak największą. Od proboszcza od świętego Marka, udał się do przeora Franciszkanów, od przeora do proboszcza przy świętym Szczepanie i, gdy od tego ostatniego wychodził, na zegarze katedralnym bić poczęła siódma.

W kościele świętego Marka klęczał, modlił się i płakał. Ludzi na nabożeństwo zeszło się niewiele, a dla tych, co się zgromadzili, nabożeństwo samo niespodzianką było. Wystawność egzekwii uderzała i zaciekawiała. Ksiądz modlił się za duszę Marka. Imię Marka nic nie mówiło i nicby nie powiedziało, gdyby nie baby kościelne, posiadające zdolność przenikania tajemnic największych. Od nich się publiczność dowiedziała, że Marek ów nazywał się Erdödi; dowiedziała się również i o tem, że za duszę jego zamówionemi zostały nabożeństwa również wystawne, o dzie-

wiątej u Franciszkanów, o jedenastej w katedrze. Z racyi tej, u Franciszkanów kościół się zapełnił całkowicie, w katedrze zaś był tłum — tłum, z powodu którego kaznodzieja wystąpił z kazaniem, namaszczenia, treści i nauki moralnej pełnem, podającym za wzór do naśladowania człowieka, o którym w życiu swoim nie nigdy nie słyszał. Wzruszyło to i rozrzewniło Lajosza. Nie podejrzewał w rodzicu swoim tych cnót, w jakie go kapłan przyozdobił, tembardziej przeto stratę jego w chwili tej uczuł, nie domyślając się, że kazanie to wygłoszonem zostało nie tyle dla niego, nietyle nawet dla zgromadzonego ludu, co dla tej racyi, że na nabożeństwie, w ławeczce bocznej, dla honoracyorów przeznaczonej, obecnym był poważny, w aksamitnej, suto szytej odzieży mąż, na którego obecni w kościele z uszanowaniem spoglądali. Lajosz męża tego ani widział. Cały on skupiony był w sobie. Kazanie, które słyszał, uważał za rodzaj rękojmi we względzie skuteczności modłów, jakie w trzech kościołach zarządził. Dawało mu ono tę pewność, że, jeżeli dusza ojca jego wprost do nieba nie poszła, to będzie miała do przeniesienia lekkie jeno i krótkie męczarnie czyścowe, — rodzaj nowicyatu w przedsiönku do królestwa niebieskiego,



które go ominąć nie może. Wzruszyło go to, rozrzewniło, uspokoiło i rozradowało, — rozradowało wewnętrznie i w sposób taki, który się całkowicie w duszy ludzkiej zamyka i rodzaj zazdrości w niej budzi. Wydało się mu, iż byłoby to uradowania onego sprofanowaniem, gdyby się niem z kimś podzielił. Poczul potrzebę samotności na czas bodaj krótki, — na godzinę, — ażeby te uczucia, jakimi pierś jego wezbrała, przerobić, przesnuć i uporządkować. Jak skoro przeto nabożeństwo w katedrze się skończyło, wyszedł i puścił się w stronę przeciwną tój w której gospoda leżała. Puścił się ulicą jedną, — ta go do muru miasto otaczającego doprowadziła, wziął się w drugą, — na tej wstrzymały go schody w dół zbiegające; nareszcie trafił na bramę i wyszedł na trakt warazdyński, na którym śród winnic i ogrodów zamiejskich, znalazł ustroń, zapewniającą mu samotność absolutną. W dali widzieć się dawała Sawa śród pól zielonych się wijąca, obok, w dole głębokim, szumiał potok ku Sawie podążający, nad głową młodzieńca platan rozpościerał konary szeroko i rzucał cień, który chłodził przeciągający mimo wiatr lekki, od gór przychodzący. Było tam cicho, spokojnie i lubo — tylko, ciszę akcentując niejako muchy

brzęczały, bąki huczały, koniki polne w trawie się odzywały i ptaszęta świegotały. Lajosz ukląkł, dłonie złożył i oczy do nieba wznosząc, — zawołał:

— Boże!... Boże!...

W wykrzykniku tym zawarł modlitwę swoje dziękczynną. Następnie usiadł; chciał myśleć, ale myśli zogniskować nie był w stanie. Rozbijało je uczucie. Błąkały się one samopas, aż znalazły drogę, na której się zeszły. Droga ta prowadziła z Klimowaca do Dubrowaca.

---

### III

Kiedy Lajosz, z kościoła wyszedłszy, wyjścia z miasta szukał, na krużganku kościelnym zatrzymał się mąż ów poważny w aksamitach i, zdawało się, jakby na kogoś czy na coś czekał. Kościół się wypróżnił; on stał w otoczeniu osobistości kilku, nacechowanych piętnem urzędowym i toczył z nimi tę rozmowę, która się toczy dla tego tylko, ażeby nie milczeć. To jedną, to drugą z figur urzędowych o coś od niechętnia zapytywał i, kiedy mu zapytany odpowiadał, odpowiedź do słuchu przyjmował, jak przyjmuje rzeszoto wodę. Na coś, czy na kogoś widocznie czekał. Doczekał się wreszcie służebnika ze straży miejskiej i, gdy ten się pojawił, zdaleka go zapytał:  
— A co ?...

— Niema... — zabrzmiała odpowiedź.

— Szukaj... pytaj...

W chwilę później jawił się służebnik drugi i z nim ta sama co do joty, co z pierwszym, powtórzyła się wyrazów zamiana.

Nadszedł trzeci i ten trzeci odszedł na rozkaz, który brzmiał tak samo, jak dwa poprzednie;

— Szukaj... pytaj...

Po odejściu trzeciego, mąż poważny odezwał się do otaczających go figur urzędowych:

— Nie wiem, gdzie się podział Erdödi ów, co takie wspaniałe zarządził egzekwie....

— W trzech kościołach... — wtrącił jeden z otoczenia.

— Hm?... — mruknął mąż poważny. Szukać go kazałem i odszukać służebnicy nie mogą...

Dziwili się temu ci, do których się mowa ta zwracała. W chwilę później jeden z nich zawołał:

— O!... prowadzą...

Wyrazowi temu towarzyszyło ukazanie palcem w ulicę; szli nią trzej służebnicy, eskortując człowieka, którego zdaleka rozpoznać nie było można.

W stronę tę zwrócił się mąż poważny.

Służebnicy podeszli i zatrzymali się w porząd-

ku następującym: jeden na prawo, drugi na lewo, trzeci z tyłu, a przed tym ostatnim, oskrzydłony przez dwóch poprzednich człowiek, który nie kim innym był, jak Czolniczem.

— E?... — zapytał mąż poważny.

— Grafie miłościwy, — odrzekł ze służebników jeden, pytaliśmy i dopytaliśmy się do człowieka tego....

— Tyś egzekwie zamawiał?...

— Zamawiałem... — odparł zapytany.

— Z jakiej racji?...

— Z racji syna, który mnie o to prosił....

— Syna twego?...

— Ale z kąd!... Syna nie miałem i nie mam...

— Boć to chodziło o duszę Erdödiego ...

— Tak, Marka, powinowatego twego *dignissime domine*...

— Marka?... a?... ano... Był ci jeden Marek Erdödi, alem o nim słuch zagubił....

— Słabował życie całe... i umarł... i syna zostawił.... Owóz syn ten ojca pamięć uczcić chciał i uczcił....

— Gdzież on?...

— Gdzie?... Nie wiem... Byłem z nim w kościele świętego Marka, poszliśmy razem do Franciszkanów i razem do katedry.... W katedrze mi

z oczu znikł.... Wszedł zapewne i w mieście się zabłąkał, zwyczajnie... do miasta nie nawykły....

— Hm?... — mąż poważny na to i dodał po chwili: — Gdy się odszuka, przyprowadź go do mnie, do bana... do grafa Erdödi... Rozumiesz?...

— Woli twojej, miłościwy grafie, zadość uczynię... — odrzekł Czolnicz. ukłonem się pochylając.

— Marek Erdödi... — zagabnął graf, — gdzieś nieopodal od Sisaka mieszkał?...

— W Klimowacu ...

— A tak ... Przypominam sobie. . Powinowały mój.... Rad będę synowi jego, który tak pięknie przybycie swoje do Zagrzebia zaznaczył.... Do dworca idę i czekać na was będę....

Na służebników skinął, — odstąpili; ban poszedł w stronę jedną, Czolnicz w drugą. Ten ostatni udał się do gospody w tej pewności, że Lajosza, jeżeli nie zastanie, to się niebawem do-czeka. Spokojny więc we względzie tym był. W gospodzie zasiadł w izbie gościnnej i czekał, skracając sobie czas gawędką, do której materiału obfitego dostarczały egzekwie. Mówiono o egzekwiach i o nieboszczyku, o jego życiu i chorobach. Choroby stanowią przedmiot wielce

ludzi zajmujący, było więc o czem rozprawiać. Rozprawiano i nieobecność Lajosza czuący się nie dawała, gdyby nie to, że pora obiadowa przypominała takową.

Stół był nakryty, — obiadu nie podawano; gospodarz co moment do izby wchodził i do Czolnicza z zapytaniem się zwracał:

— *Kamo ti twój młodiec?* . .

— Nie widać, jak nadejdzie... — brzmiała stale odpowiedź.

Lajosz nie nadchodził jednak.

— Niema co... *ruczak* dają... — oświadczył wreszcie gospodarz, — a dla niego się zostawi... Sam sobie winien, że nie dostanie jadła gorącego. . . .

Przy obiedzie troskliwości o młodego człowieka dowód złożył, gdy bowiem pojawiła się na stole pięknie wyglądająca, papryką czerwoną osypana i rozkoszną woń roniąca cebula pieczona, rzekł:

— Szkoda, że tego nie pokosztuje.... Cebuli pieczonej zostawiać mu nie można, chłodna bowiem nie jest warta.... Najsmaczniejsza wówczas, kiedy z niej opar idzie... ot tak... dodał, owoc rozłupując i do ust sobie odłamek jeden wkładając.

Cebula stanowiła wety. Ruczak się skończył i dopiero się Czolnicz nieobecnością Lajosza zaniepokoił.

— Co się z nim stać mogło?... — rzekł. — Ze się w mieście zabłąkał, to pewne; ależ miał już czas wszystkie Zagrzebja ulice obejść i na plac trafić.... Chyba gdzie zaszedł, albo co.... Może kogo ze znajomych spotkał...

Przypuszczenie to uspokoiło go do stopnia pewnego, niezupełnie jednak, było to bowiem proste przypuszczenie, na domyśle oparte. Jeżeli nikogo ze znajomych nie spotkał, więc nigdzie nie zaszedł; jeżeli nigdzie nie zaszedł: cóż się z nim stało? Zapytanie to trapiło go i na miejscu mu siedzieć nie dawało. Po obiedzie na miasto wyszedł, po ulicach chodził, do gospody wrócił; znów wyszedł i znów chodził, oglądając się. Niepokój jego ku wieczorowi się wzmagał: wszelkie domysły i budowane na nich przypuszczenia wniwecz się obróciły; srodze się zafrasował i pomyślał sobie, że trzeba by się ludzi poradzić. Poradzić się, kogo, — kogóż, jeżeli nie karczmarza, człeka tutejszego?

— Mładicza mego jak niema tak niema... — odezwał się w sensie wstępu do narady.

— Gdzież by się podział!...

— Powiedz mi, to będę wiedział...



— Ij... zabałamucił się...

— Na całe pół dnia!... I mnie się zdawało, że się zabałamucił, ale bałamuctwo zadługo trwa... Ban kazał, ażebyśmy do niego przyszli... czeka na nas, a tu... jego niema...

— Trzeba się chyba za nim po mieście obejrzeć...

— Godzin kilka na tem strawiłem...

— Ludzi pytać...

— Jakich?...

— Kupców korzennych... Oni dniami całemi siedzą i gapią się, to może któremu z nich młodzieniec w oko wpadł, gdy mimo przechodził... Trzeba kupcowi jeno opowiedzieć, jak wyglądał i, gdy on powie, w którą udał się stronę, ot... będzie opyt...

Czolnicz głową z niedowierzaniem pokiwał, na miasto wyszedł; zaczepił handlarza korzennego jednego, drugiego; niczego się nie dopytał i, kiedy już o chwyceniu się innego jakiego środka przemyśliwał, niespodzianie, na zakręcie ulicy, oko w oko z Lajoszem się spotkał.

— Na Boga!... — krzyknął.

— No?... — odezwał się młody człowiek.

— Co się z tobą przez dzień cały działo?...

— Słuchałem nabożeństw za duszę ojca nieboszczyka....

— A potem?...

— Potem... uhm... serce mi się tak ściśnęło, że m uczułem potrzebę precz odejść i od ludzi się odosobnić....

— Ależes mi trwogi napędził!...

— Z jakiej racyi?...

— Z tej, żeś znikł, nikomu się nie opowiedziawszy.... Gdybyś mi był powiedział....

— Ba... tobym był nie odszedł....

— Czyżbym ci przeszkodził?...

— Przeszkodziłbym był sam sobie.... Znajdowałem się w usposobieniu takim, że m do nikogo słówka przemówić nie mógł... Potrzebowałem uciec i... uciekłem...

Czolnicz ten stan duszy, w jaki młodego człowieka wzruszenie i rozrzewnienie, którym za tło służył głęboki za istotą ukochaną żal, rozumiał może, a może i nie rozumiał. Może stan ów odczuł tylko. Tego ostatniego domysłać się można ztąd, że Lajoszowi wymówek nie czynił.

— No... — odrzekł, — to dobrze... Bogu dzięki, żeś się odszukał.... Złe jeno, żeśmy za wiedli oczekiwanie bana....

— Albo co?... — zapytał Lajosz.

Czolnicz mu opowiedział, jak służebnicy policyjni do gospody się dopytali i, Erdödiego nie znalazłszy, jego pod eskortą na krużganek katedralny dostawili.

— Ban więc nas czeka... — zakończył opowiadanie.

— Chybaż dziś iść do niego nie pora już....

— Późno... to prawda; ale... jeżeli czeka....

— Głodny jestem... — odparł młody człowiek.

— A!... nie dziw... Wszak nie jadłeś od rana... a i wczora, jakem uważał, zaledwieś czego skosztował....

Ze słowem ostatniem do gospody wkroczyli i, gdy za stołem usiedli, karczmarz, do nich podchodząc, z tryumfem w głosie do Czolnicza przemówił:

— A co!... rada moja była dobra.... Zgubęś odszukał.... To pewna, że kupcy korzenni, gapiąc się, wszystkich przechodniów widzą....

— Nie bakaliny mi o nim opyt dali....

— Któż?...

— Nikt.... Nadszedł sam. ..

— Alebyś go nie spotkał, gdybyś był rady mojej nie posłuchał i do kupców nie wyszedł....

— Zapewne....

— Otóż to.... Rada dobra, złota warta.

Zwrócił się następnie do Lajosza z wymówkami, tyczącymi się obiadu, który z jego powodu przestał; dalej zaś prawił o cebuli pieczonej, której upieczenie na podziw się żonie jego (karczmarza) udało.

— Upiecze jednak jutro jeszcze... — dodał, — ale: czy się jej tak samo, jak dziś, uda?... pytanie....

Wyrazy ostatnie wymówił z przyciskiem znaczącym. Do kuchni snąć swojej przywiązywał znaczenie wielkie i o uznanie dla niej mu chodziło.

Wieczór ten podróżnym naszym zeszedł, jak poprzedni, z tą jeno różnicą, że Lajosz uważanym był już za znajomego przez zgromadzenie całe. Nie znał nikogo; wszyscy go znali. Jest to ten rodzaj znajomości, który sława wytwarza. Młody człowiek sławnym się stał — na chwilę, czyli, wyrażając się językiem dzisiejszym, reklamę sobie zrobił. Mówiono o nim; zajmowano się nim; przypatrywano się mu: podobał się powszechnie; znajdowano go młodzieńcem, dającym nadzieje jaknajpiękniejsze. Pozycja j. go w chwili tej podobną się stała do pozycyi, w jakiej się znajduje rozgrzane i do kucia się nadające żelazo. Od niego zależało skorzystać z niej. On atoli o korzystaniu ani myślał, przyjmując ją, jak się

wytworzyła sama i nie troszcząc się o przyszłość własną. Powiedzieć wszelako bezwzględnie nie można, że troska tego rodzaju obcą mu była; szła jednak w kierunku, który on, niby skarb zaklęty, w sercu swoim chował, a który nie wspólnego z temi horoskopami, jakie ludzie dla niego stawiali, nie miał. Później się pokaże, z jaką się Lajos Erdödi tajemnicą nosił. Tymczasem, sprawy sobie z tego, co się koło niego działo, nie zdawał, powinszowania i pochwały z uśmiechem obojętnym przyjmował i do bana się wybierał. Wizyta u bana przedstawiała się mu, jako powinność, zapisana w kodeksie grzeczności. Powinowały jego takie wysokie zajmował stanowisko! Należał się mu przeto pokłon — i tyle.

Wizyta u bana nie przedstawiała mu się inaczej. Nie przywiązywał do niej znaczenia donioślejszego żadnego, i jeżeli się nią zajmował, a nawet niepokoił trochę, to dla tego, że stanąć miał wobec człowieka, po królu najznaczniejszego. Ban, nad banem król, nad królem Bóg. W porządku takim przedstawiał mu się powinowały jego. Sprawiało mu to frasunek taki, iżby wolał zamiast do niego iść, do Klimowaca wracać. Uczyniłby to ostatecznie, bezwątpienia, gdyby nie list ojcowski i nie wyraźna nieboszczyka wola.

— Co ja mu (banowi) powiem?... — zapytał Czolnicza, gdy nazajutrz zbliżał się moment wyruszenia na tę wyprawę kłopotliwą.

— Pięknie mu się pokłonisz i list wręczysz...

— Ależ przy tem przemówić coś chyba potrzeba...

— Odpowiesz, gdy zapyta...

— A przedtem?...

— Przedtem powiem słów kilka ja, raz dlatego, że m stary, powtóre dla tej racyi, że mi ban polecił, ażebym mu ciebie przyprowadził... Wytlómaczę mu, dlaczego wczoraj na nas czekał daremnie...

— I jakże mu to wytłómaczysz?... — zapytał młody człowiek z akcentem ciekawości w głosie.

— Później się dowiesz... Jam nie z tych, co w gębie języka zapominają...

W chwil kilka później, Lajosz i Czolnicz przedstawili się w rezydencyi bańskiej. Trafili na chwilę, w której zastępca królewski posłuchań udzielał. Izbę, do której ich wprowadzono, zapelniali interesanci, oczekując na kolej. I oniby na kolej czekać byli musieli, gdyby nie nazwisko Erdödi, dzięki któremu, jak skoro weszli, wnet otworzyły się przed nimi podwoje, do komnaty audyencyonalnej prowadzące. Ban mło-

dzieńca, gdy ten próg przekroczył, od stóp do głowy okiem zmierzył i śnać nie sprawił na nim wrażenia niekorzystnego, albowiem w te, uprzejmej wymówki akcentem nabrzmiałe, do wchodzących przemówił słowa:

— A czekałem wczora dzień cały...

— *Dignissime domine...* — odrzekł Czolnicz, kłaniając się — nie bylibyśmy zawiedli oczekiwania twego, gdybym był mógł przed wieczorem z powinowatym twoim się spotkać... Zszedłem się z nim wieczorem dopiero. Dogadzając *pietati filiali* powinowaty twój, tu obecny Lajos Erdödi, dzień cały wczorajszy spędził na osobności, na rozmyślaniu o cnotach rodzica...

— Trzeba było, żebyś mi o tem powiedział — zauważył ban, Czolniczowi odpowiadając.

— Kiedy nie wiedziałem sam o niezem... Ale oto powinowaty twój ma list do ciebie, *illustrissime domine...*

— List?... a?...

Lajos z zanadrza wy dostał wielką opieczętowaną kopertę i takową banowi podał.

— Od kogo?... — zapytał ten ostatni.

— Od ojca mego... — odpowiedział Lajos.

— Hm?... — pomyślał, i kopertę obok siebie na stole kładąc, dodał: Czasu mi w tej chwili

do czytania brak... Interesanci czekają... Przeczytam później i... rozmówimy się o co trzeba, tymczasem zaś wyjdźcie — tu ręką na drzwi boczne wskazał — tam i rozgoście się... Dziś u mnie na obiedzie zostajecie...

— Gdy taka twoja, *illustrissime*, wola... — odrzekł Czolnicz, głowę uchyłając i we wskazanym kierunku idąc. Wielki to dla nas zaszczyt...

Za drzwiami znaleźli komnatę, w połowie na zbrojownię, w połowie na bibliotekę wyglądającą. Ścianę jedną zajmowały zbroje i oręż, drugą, na półkach wielkie, w skórę oprawne infolia. Ilość jednych i drugich była niewielka. Środek zajmował ciężki, dębowy stół, na stole leżał hełm, naramienniki, rękawice, a przy stole stało stołków drewnianych kilka, jedne z poręczami, drugie bez. Światło do wnętrza komnaty dostawało się przez dwa wąskie i niezbyt wysokie okna, ciężkimi firankami do połowy przysłonięte..

Lajosz oglądać się jął tej komnaty połowę, co zbrojownię przypominała. Zastanawiały go miecze, dzidy, buławy, strzelby, pistolety. Przy końcu wieku XVII. dawniejszy uzbrojenia system nie ustąpił był w zupełności nowemu, zapoczątkowanemu przez wprowadzenie w użycie broni



palnej. Ta ostatnia, nie dosięgła była jeszcze tego stopnia doskonałości, co obecnie. Przed owoczesną kulą ołowianą osłonić było można pierś i głowę nawet blachą hartowną. Zaznaczał się już jednak upadek blachy z powodu, że stawała się coraz to kosztowniejszą, ażeby do użytku powszechnego służyć mogła. Betlem Gabor podniósł znaczenie lekkiej jazdy, którą uczynił czteroramienną i za uzbrojenie całe dał jej w rękę szabłę tylko. Kirys jednak z użycia nie wychodził; służył atoli takim jeno, co na zbytek ten pozwalać sobie mogli. W zbrojowni przeto bańskiej znajdowały się i kirysy i hełmy, które młodego człowieka ciekawość wzbudzały. Lajos oglądał je z zajęciem; Czolnicz zaś na infoliach wyczytywał tytuły łacińskie dzieł, z których jedno były mu znane, drugie nie. Zajęcie to czas im zabierało.

Na zajęciu tem zeszedł ich ban. Do izby wkroczył z otwartym w ręku listem i do Lajosa mówę zwracając, zaczął:

— Ojciec powierza mi ciebie i żąda, ażebym cię w służbie krajowej zajął... I owszem... Zapowiedziałeś się tak pięknie, że się po tobie spodziewać można usług jaknajlepszych...

Słowa te niespodzianie na młodego człowieka spadły. Zarumienił się jak dziewczyna.

— Ale, — dodał ban, — pomówimy o tem po obiedzie... Hrabina by się na nas gniewała, gdybyśmy się zagadali i na obiad spóźnili... No, chodźmy więc....

Przodem ruszył; lecz się zatrzymał i do Czolnicza rzekł :

— Dotychczas nie znam nazwiska twego....

— Pawao Czolnicz....

Ban mu bystro i z wyrazem zapytania w oczy popatrzył.

— Nie ten, o którym myślisz *dignissime*...

— Że nie ten, o tem wiem, ale czy nie taki?...

— Niezupełnie... trochę jednak taki...

— I ja tak samo... — ban na to. Racyą oni mieli; ale, racye mieć, to nie dosyć jeszcze... No... *teszek*....

Poprowadził gości przez komnat parę i wprowadził ich do sali obszernej, po rycersku w orężu i trofea myśliwskie przystrojonej, w której stół duży a długi po środku i komin ogromny przy jednej ze ścian świadczyły, że służyła do tłumnych zgromadzeń biesiadowych. Stół nakryty był i naczyaniem stołowym zastawiony w jednej tylko połowie. W głębi służba czekała, a bliżej osób kilka, przy jednym z okien stojąc, rozmową się zabawiały. Były to figury urzędowe, cywilne i

wojskowe, jedna w sutannie księżej. Za wejściem bana, wszyscy naraz rozinową przerwali i przybrali postawę, wyrażającą uszanowanie. Ban podszedł, pozdrowił i wyrazów kilka z paru z pomiędzy nich zamienił.

W chwili tej marszałek dworu oznajmił ceremonialnie przybycie hrabiny Erdödi de Monyorokerek; drzwi się na ścieżaj otworzyły i we drzwiach pojawiła się, odziana po francusku, według mody, panującej na dworze Ludwika XIV, dama niemłoda a poważna, poprzedzająca dwór niewieści, ordynkiem za nią postępujący. Mężczyźni uszykowali się i, gdy ona mimo nich przechodziła, pochyłali się przed nią ukłonem głębokim. Ban na nią czekał, pozdrowienie z nią zamienił i ramię jej podawszy, poprowadził ją do jednego z dwóch siedzeń, ustawionych przy węższym stoła końcu. Hrabina się przy krześle zatrzymała, obok stanął graf; marszałek dworu gościom miejsca wskazał; biesiadnicy się przy stole, po stronie jednej mężczyźni, po drugiej kobiety, uszykowali; ksiądz głośno po łacinie modlitwę odmówił; po modlitwie hrabiostwo miejsca swoje zajęli, dając przez to niejako haśło obecnym do zajmowania przeznaczonego dla każdego z osobna siedzenia. Porządek przy stole

w ten urządził się sposób, że hrabia siedział na czele strony damskiej, hrabina męskiej; ta ostatnia miała obok siebie Lajosza, którego ban jej przedstawił:

— Powinowaty nasz, Lajos Erdödi, z Klimowaca....

Lajosz powinien był ukłon złożyć. Zamiast jednak złożenia ukłonu, rumieńcem spłonął. Hrabina się uśmiechnęła i rzekła:

— Słyszałam... o! słyszałam.... Od dnia wczorajszego w Zagrzebiu nie mówią o kim innym....

— Wprost ze wsi przyjechał; w Zagrzebiu, ani w żadnem mieście większem nigdy w życiu nie był... — dodał ban, celem zapewne wytłómaczenia i usprawiedliwienia młodego człowieka, który po raz pierwszy znalazłszy się w nieznanym mu świecie, zmieszał się i co ze sobą począć, nie wiedział.

— Doprawdy?... nigdy w życiu?... — zapytała hrabina, wprost do Lajosza się zwracając.

Lajosz odchrząknął i odpowiedział, usta sobie palcami zasłoniwszy:

— Doprawdy... nigdy... w ży...y....

— Mieszkałeś na wsi?

— Na wsi....

- W Klimowacu?...
- W Klimowacu...
- W której to stronie?...
- W stronie...

Rozmowa mu nie szła. Nie było w tem nic dziwnego; siedział niby na cenzurowanem, mając na lewo generała niemieckiego, na prawo ustrojoną i pachnącą hrabinę, dalej poważnego bana, naprzeciwko szereg postaci niewieścich, przedstawiających się nakształt równianki, złożonej z kwiatów, na które patrzeć niebezpiecznie. Zapachy od hrabiny bijące i widok, jaki miał przed sobą, wprawiały go w odurzenie. Siedział, niby na szpilkach. Lękał się ruszyć, ażeby nieprzyzwoitości jakiej nie popełnić. Na szczęście jego, generał odezwał się do hrabiny po niemiecku i rozmowa, jaka się pomiędzy nimi zawiązała, dała mu czas i możność do ochłonięcia i rozpatrzenia się w sytuacji. Kiedy znów przeto sąsiadka dostojna do niego się z zapytaniem zwróciła, odpowiedział porządnie i do sensu.

- Przybyłeś do Zagrzebia na długo?...
- Nie wiem jeszcze... to zależy...
- Jak ci się gród podobał?...
- Zdziwił mnie: budowli takich nie widywałem jeszcze....

— Zadziwiłbyś się bardziej, gdybyś był w Bezcu, albo w Mlecie, wobec których Zagrzeb jest miasteczkiem....

— A tak... od ludzi o tem słyzałem...

— Miałbyś ochotę zwiedzać miasta wielkie?...

— O... i wielką....

I tak dalej. Rozpatrywał się, oswajał i ośmiałał powoli tem łacniej, że hrabina okazywała się względem niego, o ile uprzejmą i łaskawą, o tyle życzliwą. Pomagał mu wielce generał, wprowadzając rozmowę w języku dla niego niezrozumiałym. Rozmowa ta, któraby mu sprawiała dystrakcyą niemalą, generał bowiem opowiadał o papudze, była dla niego rodzajem etap wypoczynkowych. Posłużyły one do tego, że i olśnienie z oczów jego zeszło — i równianka kwietna przestała mu się przedstawiać, jako mętna mozajka barw i połysków, ale, jako szereg istot płci odmiennej, pomiędzy którymi jedne zasługiwały, drugie nie zasługiwały na to, ażeby na nich spojrzenie zatrzymywać. Więcej nawet. Nietylko w równiance tej odróżniał niewiasty młode od starych, nadobne od mniej nadobnych, ale rozglądnał się w komnacie i wśród dziczych łbów, jelenich rogów, oszczepów, kordelasów, strzelb,

obróż, dostrzegł w srebro okuty wspaniały róg myśliwski, o którym pomyślał sobie:

— O, tożbym weń zadał!...

Odzyskał możność myślenia, co było dowodem, że oprzytomniał zupełnie. Oprzytomniał, — władzę zmysłów odzyskał: słyszał, co się do niego mówi, widział, co do widzenia było, znajdował smak w tem, co jadł i pił, czuł pod sobą stół i woń nawet, jaka od hrabiny szła, mdlenia mu nie sprawiała, a to dla tego, że się domyślał, że pochodziła ona od wódek pachnących, któremi się dostojna dama oblała.

— Gdyby się nie oblała, — powiedział sobie — toby śmierdziała... Zapewne się wódkami nie oblewa ta...

Postrzeżenie to odnosiło się do niewiasty trzeciej w szeregu, czarnookiej i czarnobrewej, wyglądającej tak, jakby była w kształty dziewicze zaklętym płomieniem, a nie wyglądającej na lat więcej jak dziewiętnaście. Wątpił, ażeby się ona, jak hrabina, wódkami pachnącemi oblewać potrzebowała. Wydawało się mu, że ona sama pachnie.

Pod koniec obiadu już mu nic nie zawadzało, — czuł się sam sobą: jadł, pił, rozglądał się, zważał, postrzeżenia różne czynił; jedno mu się po-

dobalo, drugie — nie; ogniskował wrażenia, w których się najmocniej zaznaczyły: trąba myśliwska i panna czarnobrewa. Trąba i panna. O pierwszej w duchu sobie powiadał: „O, tożbym zadał!“... o drugiej: „*Majka nieina!*... ej!“... To też, gdy hrabina, powiedziawszy do niego: „Dziś się jeszcze zobaczymy“, od stołu wstała i gdy się z siedzeń podniósł niewiast szereg cały, Lajosz dla niej jednej tylko oczy miał. Ona, wstając, uśmiechnęła się. Uśmiech ten zachwyił go. Zaklął w duchu i spojrzeniem ją ściagał, aż za drzwiami znikła. Ona znikła, a on z głębi piersi odetchnął i odsapnął, przenosząc wzrok wnet na trąbę, z takim w oczach wyrazem, jakby przekonać się chciał, azali i ona nie znikła także.

Po odejściu niewiast pozostali mężczyźni sami; służba uprzątnęła ze stołów naczynia stołowe, pozostawiając jeno puhary i ustawiając flasze osuszone; biesiadnicy powstawali, wyciągali się, odsapywali, odzież na sobie rozpinali i zasiadali po stołu stronie jednej i drugiej, miejsca dawniejsze zmieniając. Czuć się dawało, że się ceremonii pozbyli. Rozsiadali się, rozwalali i łokcie na stole opierali. Lajosz się do Czolnicza przysunął. Miejsce jego zajął radca jakiś, naprzeciw



radey generała. Zrobiło się gwarno. Zawiązała się rozmowa w czterech naraz językach: w serbskim, niemieckim, węgierskim i łacińskim. Generał ciągnął dalej rzecz o papudze, stanowiącej jedną z trzech przedmiotów, o których mówić lubił i umiał i który, raz dotknięty, na miesiące całe mu starczył, ustępując miejsca na następnych miesiący kilka, jeżeli nie koniowi, to psu. Obecnie papuga znajdowała się na porządku kilkumiesięcznym. Prawił o niej hrabinie, prawił hrabiemu, głos podnosił, chcąc, ażeby wszyscy wiedzieli, jak się ona zachowywała, jaką była i w jaki sposób z życiem się rozstała. Lajosz go zgoła nie rozumiał. Że zaś w towarzystwie znajdowało się takich więcej, dla których język niemiecki obcym był, ci więc toczyli rozmowy po swojemu. Inni znów milczkiem puhary, smakując, wypróbniali. Ksiądz, który naprzeciw Lajosza siedział, powoli cedził, puhar przed sobą stawiał, usta zaciskał, cmokał i przez stół Lajoszowi przesyłał z przekonaniem wymawiane wyrazy:

— *Bonum vinum...*

Ban drzemał; od czasu do czasu budził się, z puhara pociągał i, kiwając do generała głową, odzywał się:

— *Also?... Papagei....*

Udawał, że go słucha pilnie.

Lajosz Czolnicza pocichu zapytał:

— Co to za jeden, ten szwaba, co z banem gada?...

— Generał Lesliea... tss... — i dodał, do ucha się mu nachylając: — To ten sam, co, gdy pułkownikiem był, zrabował dwór Zriniego w Czakowcu... o...

Lajosz coś o tem z boku słyszał. Ojciec jego należał do stronnictwa rządowego, więc tego rodzaju czynności nie podnosił, Zriniego zaś potępiał. Mimo to, osobistością ciekawą wydał się mu mąż, wysokie zajmujący stanowisko, przedstawiciel ramienia prawa i sprawiedliwości — rabuś.

— O czem on tak gada i gada?... — zapytał.

— O papagaju.

— Czy papagaja w Czakowcu znalazł?..

— Znalazł on tam co innego: konie, siodła, odzież, oręż, kamienie drogie, perły, pieniądze...

— Majka niegowa!... — szepnął Lajosz do siebie.

— Pa!... — cmoknął ksiądz, — *bonum vinum...*

— Co?... — zapytał Lajosz, który zaprzątąwszy sobie myśl popełnionym przez generała rabunkiem, nie zrozumiał wyrazów tych i wydało się mu, że ksiądz coś innego do niego przemówił.

— Nic... — odparł tenże. — Powiadam *bonum vinum* dla tego, żebyś sobie, młodzieńcze, w pamięć wraził, iż *bonum vinum laeteficat cor...*

Rzekłszy to, puhar do ust poniósł, wino cędzić począł, haustów kilka pociągnął i cmoknął.

Lajosz od niego uwagę odwrócił. Zwrócił ją na trąbę, ta zaś przypomniała mu wnet pannę. Spojrzał na miejsce, na którym siedziała, — siedział na niem jakiś, z wąsami najeżonemi i z fioletowym, a kształt ogórka mającym nosem dragon; spojrział na drzwi, któremi wyszła, — drzwi były zamknięte. Zmarszczył się, czoło dłonią potarł i znów Czolnicza pytaniem zaczął:

— Dokąd to wyszła grofka?...

— Dokąd?... hm?... wyszła....

— Przy niej niewiast tyle!...

— To jej dwór....

— Co to za jedne?...

— Same grofki, baronki, hrabianki i baronówny....

— A ta?...

— Co za ta?...

— Siedziała ona trzecia z rzędu....

— A?... ta?... Nie wiem na pewno, zdaje mi się jednak, że to z Pecieczów, z grafów Pecieczów.... Wiesz?....

— Słyszałem coś o nich....

— W oko ci wpadła?... co?...

— *Liepotica*...—odrzekł krótko tonem, w którym przebijają się, niby niechęć.

Więcej już o nic Czolnicza nie pytał. Było to dziwne trochę. Hrabianka (w rzeczy samej, była to hrabianka Peczicz) pięknnością go zafrapowała; od nazwiska zaś, jakie nosiła, nie odstręczało go nic, należało ono bowiem do jednej z tych rodzin możnych i znanych, na które krzywo nie patrzy stronnictwo żadne; mimo to ta, co nazwisko to nosiła, sprawiła na nim wrażenie takie prawie, jakby gniewem podszyte. Wrażenie to zmanifestowało się, gdy Czolnicz zapytał, czy mu w oko wpadła. Wpadła: miałożby mu to przykrość wyrządzić? Czy łączyła się z tem jaka sprawa sumienia? Czy?... Na zapytania te odpowiedzią tymczasową jest znak zapytania, postawiony ponad sercem młodego człowieka. Jeżeli serce jego zajęte poprzednio było, w razie takim wrażenie, jakiego powodem stała się postać młodej dziewczyny, mogłoby mieć, do pewnego bodaj stopnia, znaczenie przeniewierstwa. Materya to delikatna. Potrącenie onej atoli koniecznem jest, ze względu na potrzebę dokładności w charakteryzowaniu postaci, odgrywającej w opowia-

daniu naszym rolę niepoślednią. Wpadła młode-  
mu człowiekowi w oko dziewczyna i trąba—dwa  
przedmioty zajmujące, z których atoli jeden po-  
dobał się i tyle; co się zaś drugiego tyczy, uką-  
zywały się w perspektywie następstwa, mające  
wpływ wyrzeć na losy życia całego.

Nie zaszło jednak jeszcze nic. Lajosz nie wie-  
dział nawet, jakie imię nosi ta, która na nim  
wrażenie sprawiła. Rzucił wyraz: *liepotica* (pię-  
kność) — i zamilkł. Zdawało się, że się przy-  
słuchuje rozmowom; on zaś przysłuchiwał się  
nie rozmowom, ale gwarowi rozmów, który się  
układał z czterech języków i wytwarzał chaos  
głosów ludzkich. Z języków tych, trzy brzmiały  
potocznie, jeden zaś służył w tym sensie, w ja-  
kim klejnoty służą w haftach, to jest do przy-  
ozdabiania i akcentowania. Kroaci, mówiąc po  
serbsku, węgry po madjarsku, niemcy po nie-  
miecku, mieszały ustawicznie wyrazy pojedyncze  
i okresy całe łacińskie. Nie inaczej opowiadania  
swoje prowadził generał nawet.

Tego ostatniego Lajosz nie rozumiał; ale zrozu-  
miałyby innych, mianowicie zaś kilku, którzy w czy-  
stym Gundulicza języku toczyli rozmowę niesłycha-  
nie interesującą: o łowach. Rozmowa polegała na  
opowiadaniach o wypadkach, jakie spotykały nara-

torów, tego z dzikiem, owego z niedźwiedziem. Były to rzeczy nadzwyczajne, — cudowne. Młody człowiek, w innym ducha usposobieniu, byłby słuch i uwagę całą wyteżył, byłby wyraz każdy polykał; w usposobieniu, do jakiego go widok pięknej hrabianki, co się mu jeno przed oczami przesunęła, nastroił, wyrazy zrozumiałe nawet w uszach mu brzmiały, jak brzmi szum potoku lub szelest liści. Słuchał, ale o czem innem myślał: — czy o hrabiance?...

Posiedzenie przy stole ciągnęło się nie długo, ale też i nie krótko. Tym, co w niem udział brali, nie śpieszyło się odbiegać flaszk omszonych, wydających z siebie płyn złoty, który lat temu dwadzieścia parę zawierał się w gronach, obwisających na latoroślach winnych. Biesiadnikom się nie śpieszyło. Nadszedł jednak moment taki, w którym płynu we flaszkach zabrakło i znalazł się wśród obecnych jeden taki, co odwrotu hasła dał. Tym jednym, najpierwszym, był ksiądz; wstał, odchrząknął, głowę utarł i odezwał się:

— Dobrze nam tu, ale... — palec podniósł i dodał: *memento mori*... Życie ludzkie jest przygotowywaniem się na drogę wieczności, na którą zapasy nie we flaszkach się znajdują...

Na mądre to przemówienie generał zamilkł,

myśliwi zamilkli, ban ręce z palcami splecione-  
mi na głowie sobie założył, wyciągnął się, gło-  
śno a z przyciskiem ziewnął i, z siedzenia wsta-  
jąc, na Lajosza i Czolnicza skinął. Biesiadnicy  
wynosić się poczęli. Ban, Lajosz i Czolnicz zwró-  
cili się ku drzwiom, za którymi grono niewie-  
ście zniknęło.

---

#### IV.

Hrabina Erdödi należała do tego rodzaju niewiast, którym nie wystarcza ognisko domowe. Uważała ona siebie sama za postać historyczną; miano ją za taką w sferze, którą obejmowały interesy Krocacy: historyczność jej na tem polegała, że w czasie niepokojów, spowodowanych przez Piotra Zriniego, imię jej wypłynęło na wierzch, jako imię osobistości, zagrożonej zemstą sprawców rozruchu. Mniemanie powszechne przypisywało jej wpływ na męża, który zajmował wówczas stanowisko naczelnego wojskowego w Warazdynie. Powiadano, że gdyby nie ona, hrabia byłby po stronie powstańców stanął i rzeczy by inny obrót wzięły. Ona męża we wierności tronowi utrzymała i jej jakoby hrabia do zawdzięczenia miał wysokie, jakie mu się dostało, stanowisko. Nie wyrównywała ona heroiczej



Helenie Rakoczi; znaczyła jednak i w mniemaniu własnem, znaczyła wiele.

— Owo powinowaty nasz... — odezwał się ban, wprowadzając Lajosza do komnaty, w której hrabina przebywała, — a owo Paweł Czolnicz, plemicz od Sisaka...

Hrabina siedziała przy krośnach dużych, zajęta robotą przy pomocy dam kilku. Haftowano obrus na ołtarz jedwabiami. Misterna robota dzieliła się na części, składające się ze środka i szlaków ze wstawkami i frendlami. Jedna z dam robiła część jedną, inna inną. Krośna przeto znajdowały się w otoczeniu, — w otoczeniu, w którym i hrabianka Izabela Peciecz figurowała.

Haftowanie zaniechanem nie zostało z powodu wejścia bana z gośćmi, — przeciwnie: pracownice z większą się do onego wzięły pilnością. Wyjątek we względzie tym stanowiła hrabina. Ta igłę złożyła i tak się odezwała:

— Zchodzicie nas panowie na czynności, która się wam nie podoba może....

— Przeciwnie... — odparł ban. — Czynność ta pod oczy podsuwa dwa przedmioty piękne: ten, co pracuje i to, co się robi... Komuż się piękność nie podoba?...

— Hrabio!... bądź z komplementami ostrożnie.... Znamy się... — podchwyciła hrabina tonem wymówki żartobliwej. Jeżeliś przyszedł po to, ażeby komplementy prawić....

— Nie po to... — przerwał. To, com rzekł, z ust mi wypłynęło samo, niechcący; chcenie zaś moje co innego ma na celu...

— Co?... — zapytała.

— Przeprowadzenie paniom pomocnika, w osobie powinowatego mego.. — odrzekł, na Lajosza oczami wskazując, — pomocnika do ucinania nitek, trzymania moteczków i podnoszenia szpilek z podłogi.... Przyjmujecie go?...

— Jeżeli mu to przykrości nie sprawi....

— Miałoby ci to przykrość sprawić?... — zapytał ban, do Lajosza zapytanie zwracając.

— No, nie... wcale... — odpowiedział zapytany głosem, w którym się przytłumione czuć dawało drżenie.

— Zostań więc przy hrabinie; ja z Czolniczem przyjdziemy po ciebie niebawem....

Hrabina wskazała młodemu człowiekowi siedzenie i przez chwil kilka nie odzywała się do niego. Widocznie pozostawiała mu czas do rozpatrzenia się w sytuacji nowej. Lajosz wskazane sobie miejsce zajął, oczy spuścił, wnet jednak je

podniósł i powiódł niemi dokoła. Znajdował się w położeniu takim: przed nim hrabina, obok hrabiny jejmość jakaś chuda, na lewo dama młoda, tuszy okazałej, na prawo hrabianka Pecziej przedstawiająca mu się w profilu postacią całą, na stołku posadzona i nad robotą pochylona. Ramiona miała zaokrąglone, łokcie nieco podniesione, szyję wyciągniętą i kibić nastawioną w sposób taki, że wzbudzała pragnienie ujęcia onej w dłonie. Szycie na krośnach wprowadzało postać tę w ruch, który wywoływał grę przegibów ciała, rozkoszną muzykę kształtów dziewiczych. Gdy, nitkę wyciągając, rękę odchyłała, odsłaniała się niejako; gdy jej rączki obie z igłą do czynienia miały, wówczas przychodził na myśl uścisk, któryby rączki te spoił na szyi lubego. Że zaś lubym jej pragnąłby być niejeden, o tem i mówić niema co. Piękna taka!...

Gdy Lajosz na prawo i na lewo okiem rzucił i rozpoznał położenie, w jakim się znajdował, wówczas hrabina rozmowę z nim zagała, zaczynając takową od zażądania od młodego człowieka posługi. Chodziło o podanie jej kłębuszka czerwonego. Lajosz się z zadania tego wywiązał należycie. Kłębuszek hrabinie podał, ta mu po-

dziękowała i podziękowanie obwinęła w pochwałę tak dosadną, jakby podanie kłębuszka było czynem mało że nie bohaterskim. Lajosz zauważył, że na pochwałę taką nie zasłużył.

— Owszem... — odparła. Nie każdy to potrafi...

— To rzecz tak prosta....

— Niekoniecznie.... Młody graf Druszkowicz posługuje nam tu niekiedy i nigdy jak należy posłużyć nie umie....

Wzmianka o grafie Druszkowiczu uśmiechy na usta dam wywołała. Hrabina ciągnęła dalej:

— Prosiłam cię o kłębuszek czerwony i podałeś mi czerwony....

— Nie mogłem przecie podać błękitnego... — wtrącił.

— Ale podać mogłeś ponsowy, karmazynowy, różowy i sprawić mitręgę, któraby posłudze wartości ujęła.... Widać, żeś oswojony z towarzystwem niewieściem....

— Bynajmniej... — zaprotestował.

— Na wsi przecie niewiasty zgromadzają się do robót wspólnych....

— Zgromadzają się... tak, wiem o tem ze słyszenia....

— Chybaż się Klimowac wyróżniał.... Chyba matka twoja....

— Matki ja nie zaznałem... — podchwycił. Pędziłem żywot z ojcem chorym i w domu naszym niewiast innych, okrom kobiet służebnych, nie było.

— Obecym ci przeto jest ród niewieści?...

Na zapytanie to damy wszystkie zwróciły na młodego człowieka wejrzenie ukośne, a przenikliwe. Zwróciła na niego wejrzenie i hrabianka. On nie nie odpowiedział.

— Odwiedzać przecie musiałeś sąsiadów, — ciągnęła hrabina — i... w sąsiedztwie widywałeś niewiasty.

— Sąsiadów ja nie odwiedzałem... — odparł krótko.

— I niewiast nie widywałeś?...

— Sielaczki... no... i...

— I co?... — zapytała tonem takim, jakim się indagacya prowadzi.

— Widywałem, — odpowiedział — i nie sielaczki, ale — dodał pośpiesznie — zdaleka tylko... zdaleka...

— To znaczy, żeś się do żadnej sercem nie zbliżył.... Serce masz wolne, — mówiła, na Lajosza nie patrząc, — to pięknie.... Młodzieniec z sercem wolnym, to rzecz dosyć rzadka w cza-

sach naszych... czy znacie, panie, — do dam zapytanie wystosowała, — młodzieńca takiego?...

— Ja, Boga mi, nie znam... — odpowiedziała dama otyła, głową chwiejąc na prawo i na lewo.

— Ani ja... — dodała dama chuda.

Hrabianka nie nie rzekła. Hrabina tak rzecz ciągnęła dalej:

— Naprzykład: graf Nagy-Ferenz serce swoje po raz, on sam nie wie który, w niewolę oddał, barona Breiner serce opanowaniem jest, o ile wiemy, przez trzy na raz jeden władczynię, o grafie Draszkowiczu zaś i mówić niema co....

A inni?... o!...

— O!... — potwierdziły jednogłośnie damy otyła i chuda.

— Więc tedy, — zwróciła się hrabina do Lajosza, — jesteś w Zagrzebiu osobliwością... staraj się. — dodała w sensie przestrogi żartobliwej, — być nią jak najdłużej...

Przy słowach tych hrabianka Peczicz omyliła się. Igła jej wetknęła się bowiem w kwiatek już wyszyty i ukłuła ją w palec. Rękę nagle a szybko cofnęła i okrzyk „och!“ wydała.

— Co to?... — zawołała hrabina.

— Ukłułam się... — odrzekła, paluszek sobie oglądając.

— Czy bardzo?...

— Troszeczkę....

— Obwiązaćby?...

— Ij.. nie trzeba... Nie boli już... — odpowiedziała, znów się do roboty zabierając.

Odpowiedzi jej, były to pierwsze wyrazy, które Lajos z ust jej wypływające usłyszał. Zabrzmiały one, niby odgłos dzwonka srebrnego, dźwięcznie, czysto, śpiewnie. Młody człowiek na sąsiadkę z boku spojrział, spojrzenie na niej zatrzymał i nie dosłyszał wezwania hrabiny, proszącej go o podanie nożyczek.

— Panie Lajosz!... — odezwała się ta ostatnia powtórnie, głosem podniesionym, — tam oto obok ciebie!...

— Co?... — zapytał, jakby w rozbudzeniu nagłym.

— Nożyczki....

Zerwał się i poskoczył, oglądając się.

— Pod ręką twoją....

— Gdzie?...

— Tam...

Nożyczki spostrzegł, pochwycił i podniósł je z miną oznaczającą, że nie wie, co z fantem tym począć.

— Podaj mi je... — odezwała się hrabina, rękę

przez krośna wyciągając i, gdy nożyczki w palce ujęła, dodając: — Jak się zdaje, zawiodłam się na tobie, biorąc cię za osobliwość pod postacią młodzieńca.... Musiała tam któraś ze zdaleka widzianych sąsiadek serce twoje uwięzić. Czy nie tak?... Co?...

Zapytanie to w stan widocznie kłopotliwy młodego człowieka wprawiło. Zdawało się, według zachowania się jego sądząc, że odpowiedzieć „tak“ nie mógł, odpowiedzieć „nie“ nie chciał, dać zaś odpowiedź wymijającą — nie umiał. Chwytał się przeto sposobu, jaki mu położenie nastęrczyło. Ponieważ dla nożyczek z siedzenia się zerwał, udał więc, jakoby stołka, który opuścił, szukał, — za stołkiem się oglądał i odwracał. Manewr ten powiódł się mu. Hrabina na odpowiedź nie czekając, zadała pytanie nowe, dotyczące się bliskości i gęstości sąsiedztwa, otaczającego Klimowca.

— O... — odrzekł, — sióła tam jedno obok drugiego....

— I plemicze po siółach mieszkają?...

— Mieszkają... — odpowiedział i wymienił nazwisk kilka, wśród których się znalazło i nazwisko Deszicza.



— Nie żyliście z nimi?... — zapytała i do-  
dała: — wiem dla czego...

— Ojciec słabował ustawicznie....

— Nie to jedno było racją, że się od sąsia-  
dów takich zdaleka trzymał... Erdödi się z nimi  
wdawać nie mógł... Trzeba jednak, — odezwa-  
ła się po chwili, żeby się to zmieniło nareszcie,  
a zmieniłoby się, gdyby nie stary Deszicz... Cóż  
tam stary porabia?... — zapytała.

— Gospodaruje... cóż... — odrzekł.

— Wnuka ożenił?...

— Nie...

— Wnuczkę za mąż wydaje?...

— Nie wiem...— odpowiedział z zająknięciem.

— Nie widziałam go od lat trzynastu i wów-  
czas był to już człek stary... Bóg mu użyczył  
życia długiego...

Wyrazy ostatnie cechował akcent pretensyi  
tłumionej: czemu Deszicz tak długo żyje?

Rozmowa się urwała; hrabina się zamyśliła;  
zapanowało milczenie, które przerwała dama otyła,  
wytaczając na stół kwestyą haftu kwiatka, mają-  
cego figurować w szlaku. Kwestya ta była wiel-  
ce ważna, obejmująca zarówno formę, jak barwę.  
O formę dyskusya toczyła się pomiędzy damami  
samemi; gdy atoli do rozstrzygania o barwie

przyszło, dama otyła odwołała się do zdania Lajosza.

— Niech pan powie — rzekła — pan, co tak doskonale na kolorach się znasz...

— Ja?... na kolorach?... — zaprotestował. Ja się na kolorach wcale nie znam...

— Złożyłeś dowody .. — zareplikowała dama otyła.

— Dowody niezbite... — potwierdziła dama chuda.

— Wątpliwości niepodlegające...

— Zaprzeczyć się niedające...

— Rozstrzygnij pan — zaczęła pierwsza, punkt zakwestyjonowany palcem małym wskazując — czy listek ten ma być błękitny, czerwony, fioletowy, żółty? ..

— Nie wiem, Boga mi... — bronił się.

— Jak się panu zdaje? ..

— Jak mnie się zdaje?... — ramionami wzruszył.

— Zdaniem mojem powinien być pomarańczowy — rzekła dama otyła.

— A mojem, że... amarantowy — odezwała się dama chuda.

— A twojem?... — zapytała hrabina hrabianki.

— Jabym... — odrzekła zapytana — wybrała kolor błękitny...

— Ty zaś?... — zwróciła się do Lajosza.

— Błękitny... — odpowiedział.

— Rzecz rozstrzygnięta... zakonkludowała hrabina. Rozstrzygnęła ją zgodność gustów, która — dodała sposobem insynuacji — nie jest zapewne bez znaczenia...

Na te słowa hrabianka i Lajosz, oboje razem żywym rumieńcem splonęli. Hrabianka oczy rzęsami długimi zasłoniła i nad robotą się pochyliła; Lajoszowi w oczach przesunął się polysk fałszywy, który świadczył, że zaznaczenie zgodności gustów pomiędzy nim a piękną Pecziczówną nie wywarło na nim wrażenia takiego, jakiegoby się spodziewać należało. Wywarło jednak wrażenie — jakieś.

Przypuszczać można, iżby do manifestacji podobnej okazała się jeszcze, gdyby się posiedzenie Lajosza z damami przeciągnęło dłużej. Przerwało ją wejście bana z Czolniczem, którzy sam na sam ze sobą godzin parę spędzili. Ban okazywał dobry humor, będący następstwem zadowolenia wewnętrznego. Wszedłszy, Lajosza okiem zmierzył, wąsy dłonią rozglądził i hrabiny zapytał:

— Cóż więc... pomocnik się nadał?...

— O... i bardzo... — zabrzmiała odpowiedź. Bez niego nie byłybyśmy wybrnęły z kłopotu, w jaki wprowadziło nas pytanie, dotyczące się koloru kwiatka na szlaku...

— A co!... Pokazuje się, że się on do wszystkiego nadaje: od sąsiada bowiem jego dowiaduję się właśnie, że... biada temu, co się podcięcie szabli jego dostanie!... Umie i szablą rąbać i ojca uczyć i kolory na kwiatki dobierać... To mi dopiero człowiek!.. Takich nam teraz potrzeba...

Lajosz usłyszawszy spadające mu na łeb niespodzianie pochwały, oniemiał. Wyrazu jednego wykrztusić nie był w stanie. Na szczęście swoje, milczeć mógł, dzięki Czolniczowi, który odpowiadał i przemawiał za siebie i za niego. Niedługo to zresztą trwało. Po zamianie kilku dłuższych i krótszych pomiędzy banem, hrabiną a Czolniczem frazesów, nastąpiło pożegnanie, przy którym ban, dłoń Lajoszowi na ramieniu położywszy, przemówił:

— A tak, ułożyliśmy się z Czolniczem: w Zagrzebiu obiady nie spożywacie gdzieindziej, jeno u mnie... *Decisum est...* A więc... *ad revidendum...* tembardziej, że o czemś pomyśleć i coś obmyśleć musimy...

Z dworca wyszedłszy, czas jakiś młody człowiek szedł obok towarzysza w milczeniu. Wreszcie milczenie przerwał:

— Do Klimowaca wracamy....

— A nie... — odparł Czolnierz, — nie możemy....

— Czemu?...

— Rzecz prosta: nie idzie....

— To nie racya....

— Jeżeli wola ojca nieboszczyka racją nie jest u ciebie, w razie takim... jedźmy...

Młody człowiek nie miał na argument ten odpowiedzi. Argument ów podziałał na niego, jak działa wędzidło na konia. Niecierpliwił się, ale posłuchał, tylko się towarzyszowi swemu pożalił:

— Mnie w Zagrzebiu nie swojsko jakoś....

— Do miastaś nie przywykł....

— Nie to, ale....

— Co?...

— Byłbym wolał do Zagrzebia nie zaglądać...

— Przyzwyczaisz się....

— Właśnie mi o to najmniej chodzi.. i dodał:

— Przyzwyczajając się?... Ja się przyzwyczajając tu boję....

— Nie myślałem, ażebyś był bojaźliwy taki....

— Ach!... — odezwał się z niecierpliwością.

Bojaźliwość moja nie jest bojaźliwością zwyczajną... Pobyt w Zagrzebiu zawadza mi... i ot...

— Pierwszy raz w życiu, — odrzekł Czolnicz, — zdarza mi się widzieć człowieka takiego... Cóż ci tu zawadzać może?... Ban na ciebie łaskaw, miodemby cię smarował; banica także; prowadzą cię pomiędzy niewiasty, sadzają i głaszczą... Sadzają cię obok dziewczynki jasnej, niby zorza, a świecącej nietylko oczami, ale i tem, że u niej złota bez miary... Czy ty wiesz, że takiego drugiego wiano, jak wiano hrabianki Peczicz, nie znajdziesz w całej koronie węgierskiej, choćbyś z latarnią szukał?... Wiesz ty o tem?...

— Co mi tam!... — odburknął Lajosz.

— Co?... — odezwał się Czolnicz tonem, oznaczającym zdumienie. Taka niewiasta!... takie wiano!... Uśmiecha ci się przyszłość, która trafia się jednemu na tysiąc... co mówię!... jednemu na milion ludzi młodych... i ty byś się od przyszłości takiej odwracać chciał?... Gdybyś pojął Pecziczkę za żonę, toby już od ciebie zależało, banem Kroacyi, a nawet palatynem na Węgrzech zostać... Jużby to od ciebie zależało... — powtórzył, celem udobitnienia perspektywy, ze słów tych się wydzielającej.

— A!... — zaczął Lajosz

Lecz mu Czolnicz do słowa przyjść nie dał dla tego zapewne, ażeby mu się nie wymknęło z ust słówko jakie, któreby się stało zobowiązaniem. Trafia się to. Słówko jedno, w przystępie złego humoru pośpiesznie wyrzeczone, wytwarza niekiedy punkt honoru, decydujący o losach życia całego. Czolnicz, człek doświadczony, dopuścić do tego nie chciał. Wiedział on, że taki duszy dziewiczej młodzieniec, do słów własnych wagę wielką przywiązuje i, gły co w sensie postanowienia] wypowie, to powiedzenie to pozostanie, jako skazówka, od której tak nie odstąpi, jakby zpod sztandaru nie zbiegł. Dla tego, jak skoro się Lajosz odezwał, zanim wyraz rzecz lub czynność oznaczający z ust mu wyszedł, wnet przerwał:

— Nie ma w tem, — rzekł, — pewnego jeszcze nic... Com ci powiedział, to mi się przywidziało.. Człowiekowi, co tyle żył, tyle widział i tyle co ja w obcowaniu z ludźmi doznał, dość słówka, dość spojrzenia jednego, ażeby się domyślił, co się święci... Nie daremnie prawnikiem jestem.... Owóż, powiadam ci, Lajoszu Erdödi: los swój trzymasz w ręku własnem i chodzi tylko o to, ażebyś go nie wypuścił.... Nie ma jeszcze nic, ale może być wszystko, jeżeli

zechcesz; to znaczy: jeżeli w momencie obecnym przeszkadzać nie będziesz, a następnie starania dołożysz....

— Ależ.... — zaczął Lajosz.

— Cicho bądź!... Nie odzywaj się....

— Przecież....

— Tsss... — syknął Czolnicz, rękę wyciągając. Powiadam ci, że w chwili obecnej nie do czynienia nie masz... Niech rzeczy porządkiem swoim idą. ty zaś... nie przeszkadzaj jeno, jakby nie o ciebie chodziło.... Niczego więcej od ciebie się nie wymaga.. Rozumiesz?....

— No, rozumiem... — odparł młodzieniec z niecierpliwością, ale nie rozumiem, czemu mi mówić nie dajesz....

— Dla tego, ażebyś łba losowi własnemu nie uciał....

— Co?

— W ustach ludzkich słowa bywają, jak miecz w ręku kata....

— Wiem przecie o tem....

— Jeżeli wiesz, to i rozumiesz.... To dosyć....  
Mamy teraz z karczmarzem do mówienia...

Wyrazy ostatnie wymówione zostały na progu gospody. Dalsze w materji tej prowadzenie rozmowy było niemożliwe. Karczmarz nieopodal od



drzwi stał i gdy ich wkraczających zoczył, ręce rozkrzyżował i zawołał :

— A to, Boga mi, nie godzi się już!...

— No, — odparł Czolnicz.

— Wczora jeden, dziś obydwu!...

— I o cóż ci chodzi?...

— Czekaliśmy z obiadem i czekali....

— Wina nie nasza....

— Chyba i nie moja.. A cebula pieczona dziś upiekła się lepiej jeszcze, aniżeli wczora.... Smażna, pachnąca.... Smak i zapach wprost człowiekowi do duszy szły i na serce spadały....

— Szkoda....

— Załujcie, kto wie bowiem, czy niewiasta moja tak drugi raz upiecze.... Nie zawsze jej się to udaje.... Potrzeba do tego nie tylko w miarę osolić i wczas papryką osypać, ale mieć i piec ani zanadto ani za mało gorący.... Jak to gorąco wymiarkować?... To sztuka.... No... i gdzieżeście się zabałamucili?...

— Ban nas na obiedzie zatrzymał....

— Domyśliłem się tego... Nie dowierzając jednak domyślności własnej, jak każdy człek rozważny czynić powinien, kazałem dla was pieczeń jagnięcą zachować....

— *Fala* (dziękuję)... — odrzekł Czolnicz.

— Nie głodniście?...

— No... nie...

— Aleście cebuli pieczonej nie mieli ...

— Mieliśmy pieczone pakłażany....

— Ij... co to!... — odparł wzgardliwie. Cebuli piec u bana nie umiejają... Ale, — zapytał, materją rozmowy zmieniając, — cóż tam słychać?... Co ban o wojnie powiada?... Turczyn się z wielkimi gotuje siłami i godzi na Sztajerskie.. Jeżeli Sztajerskie zagarnie... ot i po nas będzie...

— A jeżeli my się mu nie damy?... — rzucił Czolnicz.

— Ach!... — machnął karczmarz ręką od niechcenia. Nie damy się?... Siła złęgo dwóch na jednego, a tu na jednego wypada nie dwóch, ale stu przynajmniej...

— Wszelako tych stu, jeden od Becza odpędził....

— Sobieski.. — podchwycił karczmarz. To co innego.... Sobieski to mi wojownik: gruby jak ja i ma słyshę głos taki, że gdy huknie, to człowieka niby od grzmotu strach przejmuje... To co innego... Któryż z generałów szwabskich do Sobieskiego podobny?... Na co go odpuścili?... Ba gdyby się Sobieski wmieszał...

— Czemużby się wmieszać nie miał?... — odezwał się jeden z obecnych w izbie gościnnej.

— Nie.. — odparł karczmarz, odwracając się i palcem sobie pod nosem w prawo i w lewo kiwając, — nie wmiesza się już on..

— Czemu nie?...

— Gdybyś ty gościa do siebie zaprosił, przy stole posadził i jeść mu nie dał: czyby gość przyszedł drugi raz do ciebie?...

— Rzecz tę nie tak brać należy... — zareplikował oponent.

— Nie tak?... a jakże?...

— Monarchowie pomiędzy sobą inaczej się liczą..

— Zapewne.... Monarcha do monarchy w goście z wojskiem przychodzi i dla wojska całego stoły zastawiać potrzeba.. Owóz dla Sobieskiego i Polaków stołów nie zastawiono.. nie przyjdą więc oni po raz drugi....

Z tematu tego wywiązała się rozmowa żywa, która rozdzieliła obecnych w izbie gościnnej na dwa stronnictwa: optymistów, liczących na Sobieskiego i pesymistów, przedstawiających sobie przyszłość w barwach posępnych. Ci ostatni podzielali opinią karczmarza, którego pesymizm szedł do granic ostatecznych,—do rezygnacyi,—do przyjmowania z góry, co się zdarzy.

— Pokorne cieleę dwie matki ssie.. — rzekł tonem apodyktycznym.

— W tem to bieda... — odparł mu jeden z obecnych, — żeśmy takie cieleęta, że nie ssie-my, ale nas ssą... Ssą nas te węże, co się krowom wymion czepiają...

— Więc i cóż!... chociażby i tak było... — karczmarz na to. Czyśmy w stanie pozbyć się węża!... Czy nam to nie wszystko jedno, że dziś ssie nas taki, a jutro ssać będzie inny?... Niech się o to pomiędzy sobą węże same rozprawiają... to rzecz nie nasza: nieprawdaż?... — do Czolnicza się z zapytaniem zwrócił.

— Byłaby nie naszą... — odrzekł tenże, — w razie takim, gdybyśmy doprawdy krowami, albo cieleętami byli... Aleśmy ludzie przecie... hej... .

Przy słowach ostatnich oczoło sobie palcem stukał.

— Ludzie?... — podchwycił karczmarz z ironii akcentem. Ludzie?... Rozum niby to mamy? Cóż nam rozum doradza?... he?... .

— Co?... — zapytał Czolnicz.

— Zebrać się, na wóz rupiecie złożyć i wywędrować dokądś, gdzie ani turczyn, ani (po-ciechu dodał), szwab nie zagłada... Gdzieś przecie musi się znajdować miejsce takie....

— Miejsce takie znajduje się... Są i ludzie, co, nie czekając na radę twoją, wywędrowali z *otacz-biny* swojej...

— E?... — spojrzał karczmarz na Czolnicza okiem wyrazu zapytania pełnem.

— Żydzi i cyganie... Uciekli od tureczyna, co im w kraju ich ojczystym dokuczał, ale tureczynem dla nich stał się człowiek każdy w krajach, do których się chronili... Chciałżebyś, żeby kroaci w żydów i cyganów ślady wstępowali?...

— Tę... — cmoknął karczmarz. Tegobym ja nie chciał..

— Snać, nie kochali oni gniazda swego, nie przywiązali się do niego... nie mieli go może za swoje, tak jak my nasze, albo nie było ono gniazdem ich prawdziwem, inaczej bowiem najścia przyjmowaliby, jak burze i przeczekiwaliby takowe, pilnując gniazd rodzinnych, reparując je i w reparowaniu nie ustając do tchu ostatniego... Myśmy w Kroacyi naszej gniazdowi; tureczyn, czy kto inny i najście jego, to burza, która jak przyszła, tak przejdzie, jeżeli się bronić będziemy, jak wypadnie: dziś orężem, jutro cierpliwością, pojutrze znów orężem i tak *usque ad finem*....

— Tak... — odezwało się głosów kilkanaście,

takich nawet, co przed chwilą karczmarza stronę trzymały.

Lajosz pod stołem ku niemu ramię pomknął i za rękę go mocno uściskał.

Karczmarz stał, ręce na brzuchu sobie złożył, gębę w pół otworzył i miał ten wyraz, co się nazywa „głupim“, który powoli z oblicza mu schodził, aż ustąpił miejsca szerokiemu, zlekka drwiną naakcentowanemu uśmiechowi.

— Ej... — odezwał się, — kiedy tak, to niechże tak będzie... Co do mnie, bronić się wolę cierpliwością, aniżeli orężem... Mam obowiązki, gospodę, jestem gruby i ciężki, na junaka się nie zdam, będę więc czekał cierpliwie: nadejdzie tureczyn, przyjmę go, stół nakryję i na stół podam mu czarękę, gulasz, paprykasz, jagnię pieczone...

— Cebulę pieczoną... — ktoś z boku podpowiedział.

— I cebulę pieczoną... — powtórzył, — pięknie się mu pokłonię i *salam alelka*m do niego przemówię....

— I dobrze... — śmiano się.

— Tak samo ze szwabami sobie poczynam; mówię do nich: *kaszamer Diener*.... Dogadzam przez to im i sobie....

— To mądrze... — odezwało się głosów parę.

— A głowa na co?... — odparł, na łeb sobie wskazując.

— Głowa karczmarska... — ktoś rzucił.

Śmiech gruby, a ogólny prawie wyrazy te pokrył; ztąd i zowad słyszeć się dały wołania o wino chłodne.

Lajosza żywo rozmowa powyższa zajęła, — zajęła i stała się rodzajem odczynu w odniesieniu do poprzedniej, a raczej, w odniesieniu do objawionej przezeń ochoty jechania z powrotem do Klimowaca. Ochota owa zneutralizowaną się znalazła za pomocą niejasno zakreślonego widoku, jaki się przed nim otworzył. Poznał, domyślił się, a raczej, ściśle rzecz wyraziwszy, przeczuł, że szykują się czynności jakieś, mające służyć krajowi na celu. Czynności tego rodzaju, zanim w życie wejdą, pierwiej w powietrzu krążą, — wytwarzają zamiary, wywołują wybryki, budzą sumienia. Dawniej zapowiadały się one znakami na niebie, jakoteż prognostykami na ziemi i w powietrzu. I w czasie owym wróżby tego rodzaju miejsce miały, — wróżby tem do prawdy podobniejsze, że się wojna toczyła i do przewidzenia było, że Kroacya prędzej lub później w sferę

wojny tej bezpośrednio wciągnioną zostanie. Zachodziła jednak kwestya, czy wciągnąć się da.

— Czy wciągnąć się da?

Karczmarz był przeciwnym temu. Nie wprawdzie od niego nie zależało; zdanie jego znaczenia nie miało; było to jednak zdanie podzielane przez wielu, a pomiędzy innymi, — z innego powodu, — przez takiego Gaspara Deszicza, na którego się zapatrywała kraju połać spora. Zdanie przeto karczmarza na uwagę niejaką zasługiwało, jako świadectwo, znamionujące usposobienie umysłów. Niejeden był taki, który nie znajdował różnicy wielkiej w ciężeniu pomiędzy prawicą niemiecką a turecką, tembardziej, że mieszkańcom Slawonii panowanie tureckie gorzej się uczuwać nie dawało, jak kroatom niemieckie. Dotkliwem ono było szczególnie z powodu wiary. Księżyc wynosił się ponad krzyż. — Bolało to, bolało jednak nie tyle inaczej, co moralnie. Turków uważano powszechnie za niewiernych. Przedstawiali się oni wszystkim razem i każdemu z osobna, jako wrogowie krzyża. W wieku wiary istotnej, w wieku, w którym wiary nie potrzeba jeszcze było wyśrubowywać sztucznie na narzędzie widoków politycznych, znaczyło to ogromnie wiele. Dlatego to, obok takich polity-



ków utylitarystów, jak karczmarz, obok polityków takich, „co niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli“, jak właściciel Dubrawaca, znajdowali się i tacy, co się do oręża przeciwko niewiernym, bez względu na nic, rwali. Ci się także na rodzaje dzielili, zapatrując się na rzeczy, jedni oczami Czolnieza, inni, — Lajosza. Ci rozumowali, sprawę sobie zdawali, ci — nie.

Lajosz, nazajutrz po pierwszej u bana bytności, był u niego znów i nie przechodził już przez komnatę audyencyonalną. Wprowadzono go wprost do sali jadalnej. Służba okazywała się dla niego usłużną i uprzejmą wielce. Do stołu zasiadło towarzystwo mniej liczne, — domownicy sami: dwór męski i dwór niewieści, pierwszy w postaci kapelana, sekretarzy i adjutantów paru, drugi we wczorajszym komplecie. Po obiedzie krócej trwała zabawa z faszami omszonymi i rychlej się rozpoczęło posiedzenie z damami, które tym razem nie przy robocie już siedziały, lecz w ogrodzie pałacowym gościa przyjmowały. Gości płci męskiej trafiło się osób kilka. Nadszedł między innymi biskup, któremu Lajosz przedstawiony został i który powiadał, że przed laty ojca jego znał. Biskup zamienił z nim słów kilka i nie chciał go zatrzymywać przy sobie.

— Zostaniem my, — do hrabiny i bana przemówił, — na rozmowie sami, a młody niech do młodych odejdzie...

Łaskawie ku niemu głową skinął i uśmiechnął się. Lajosz się usunął w głąb ogrodu; zrazu otoczyła go samotność; nim wyszedł jednak z alei głównej, spotkał się z damą chudą, przechadzającą się w towarzystwie hrabianki. Damy te drogę mu zagroziły. Uczyniły to naumyślnie, jeżeli nie obie, to towarzyszka hrabianki, która się do niego zwróciła i zapytała:

— Jesteś pan biegły w rozwiązywaniu zagadek?....

— Zagadek?... Boga mi... — odrzekł. Niegdyś je rozwiązywałem, ale już dawno temu...

— Nie musi to być bardzo dawno....

— O dawno... — zapewnił.

Dama chuda uśmiechnęła się i rzekła:

— Musiał panu czas na wsi wlec się powolnie....

— Przeciwnie, szybko upływał.

— Ileż, naprzykład upłynęło lat od czasu, jakżeś zagadki rozwiązywał?...

— Czyżem ja lata moje liczył! .. Płynęły, upływały....

— I nie oglądałeś się poza siebie, — pod-

chwyciła dama, — jak ten, któremu oglądania się czarnoksiężnik zakazał... Może ci kto zakazał?... — zapytała.

— Z czarnoksiężnikiem nie spotkałem się nigdy w życiu...

— A z czarodziejką?...

— Nigdy!... — odparł.

— Młodą?... czarnooką?... czarnowłosą?...

W odpowiedzi na zapytanie to, młody człowiek zająknął się i spojrzał z ukosa na hrabiankę, która w chwili tej ku krzakowi róż się zwróciła i po wpół rozpeknięty kwiat rękę wyciągnęła. Lajosz na niej wzrok zatrzymał. Dziewczyna rękę to pomykała, to cofała, próbując przesunąć ją mimo kolców.

— Idź-że... — szepnęła z gestem odpowiednim dama chuda do Lajosza. — Pomóż jej, kwiat zerwij... pokaleczy się....

Lajosz poskoczył i tak się zręcznie znalazł, że trzy kwiaty na nie zepsuł, ręce sobie podrapał, wreszcie różę hrabiance wręczył.

— *Fała*:... — rzekła srebrzystym swoim głosem i dodała z naciskiem współczucia: Jakżeś się pan pokaleczył!...

— Ij, to nie... — odrzekł, ręce otrzepując i

na palce sobie dmuchając, — przyschnie i wygoi się... Czy tom ja się raz kaleczył!...

— Nie z mego jednak powodu....

— O powód mniejsza.... Razem się był pokaleczył z powodu niedźwiedzia, który mnie wpół objął, uścisnął i udusić chciał.... To było dopiero....

— I cóż?... — zapytała hrabianka.

— Srodze mnie podrapał....

— Cóż z niedźwiedziem się stało?...

— Skóra jego za posłanie mi służy....

— Ach !... — i do towarzyszki się zwracając, dodała: — Ja, gdyby to ode mnie zależało, zabroniłabym chodzenia na niedźwiedzie....

— O?... — odezwał się Lajosz, prostując się i przybierając postawę zuchwałą.

I na chwilę jedną dwoje ludzi młodych stanęli jedno naprzeciw drugiego w postaci pary zapaśników: on wyzywający, ona strwożona, zaniepokojona, przechylona na bok nieco ciałem wiotkiem, z oczami na młodzieńca wzniesionemi i w oczach jego tonącemi. Widok ten wzruszył damę chudą. Wzięła stronę hrabianki przeciwko Lajoszowi i wystąpiła do niego z wymówką:

— Przeraziłeś hrabiankę, panie Erdödi...

— Na dźwięk słów tych hrabianka się wy-

prostowała, uśmiechnęła się i poczęła się, idąc dalej, różą po nosie trzepać, prowadząc z Lajoszem rozmowę o tym właśnie uścisku niedźwiedzim, co ją tak przeraził. Rzeczy przerażające bywają niekiedy dziwnie ponętne. Pomiędzy niedźwiedziem a Lajoszem zachodziła analogia niejaka.

---

## V.

Pobył Lajosza w Zagrzebiu przeciągał się z dnia na dzień. Stosunek pomiędzy nim a hrabianką uregulował się w sposób dosyć oryginalny. Ze strony młodego człowieka wychodziło lekceważenie; ona się garnęła, — szła do niego, podawała się mu; nie zrażała się jego manierami trącącymi sielactwem, a zakrawającymi niekiedy na brutalstwo. Brutal Lajosz miał w oczach jej wartości więcej, aniżeli gładcy kawalerowie, potomkowie rodzin wielkich, co się ocierali po dworach w Wersalu, Wiedniu, Warszawie, Wenecyi. Pociągało ją do niego chyba prawo sprzeczności. Ona wiotka, delikatna, słaba odczuwała w nim to, na czem jej zbywało i szukała niejako uzupełnienia samej siebie przez zespolenie się z tym moczarem, podobniejszym do junaków opiewanych przez nieznaną jej pieśni narodowe, aniżeli do rycerzy, pasowanych przez panujących.

Garnęła się, słowem — do niego. Zauważyć atoli należy, że byłaby się zapewne nie pogarnęła, gdyby, najprzód, Lajosz nie nazywał się Erdödim, gdyby następnie hrabia i hrabina nie nasunęli go jej niejako. Ze strony ich zachodziło wyraźne bardzo szykowanie dla powinowatego małżonki w osobie dziewczyny dobrego rodu, posiadającej wiano ogromne i pięknej w dodatku. Gdyby nie to, Lajosz by się jej przed oczami przesunął, jak przesunęło się wielu innych, na których ona spojrzeć nie raczyła. Ujrzała go po raz pierwszy w katedrze, podczas egzekwii, przy katafalku, kiedy męska postać jego była wciele niem żalu i smutku sierocego i odrazu uwagę na nim zatrzymała. Młodzieniec wyróżnił się w oczach jej śród tłumu. Bolesne, pod jakim się łamał, przygnębienie, podniosło go i na piedestale niejako postawiło. Sposągował w mniemaniu jej, w mniemaniu, które znalazło uznanie powszechne. Dokoła niej zagadano o Lajoszu, — sławiono go, przyozdabiano osobistość w zalety, śród których ani jedna nie była pospolitą. Sta nął jako niepospolitość i w sposób ten przede wszystkim wywarł silne na wyobraźnię młodej, a wrażliwej dziewczyny wrażenie. Reszta przys zła sama przez się, dzięki temu bliskiemu bar-

dzo powinowactwu, jakie zachodzi pomiędzy wyobraźnią, a uczuciem: młodzieniec opanował jej myśli i serce.

— Młodzieniec niepospolicity...

Wyrazami temi zdefiniowała go hrabina, gdy po powrocie z nabożeństwa w katedrze, mówić o nim w gronie niewiast poczęto.

— Niepospolicity... — odpowiedziano chórem jednozgodnym.

I poczęto analizować postawę, zastanawiając się szczegółowo, zwyczajem niewieścim, nad składowymi takowej częściami: nad wzrostem, nad szykiem, nad wyrazem oblicza, nad kształtem czoła, ust, nosa, nad barwą włosów i oczu, nad urokiem młodości i dołą sierocą. Gdy do tego ostatniego przyszło, hrabina zauważyła:

— Jak miarkuję, każda z was z ochotą wzięłaby na siebie pocieszenie młodzieńca...

— Może on pocieszenia nie potrzebuje... — odezwała się któraś.

Wywiązała się ztąd bardzo interesująca dyskusja filozoficzna, — analiza smutku, wzięta najprzód z punktu ogólnego i zastosowana do tego młodzieńca, co w kościele, przed katafalkiem, w oświetleniu świec jarzących, stał z głową pochyloną, z rękami załamanymi, z boleścią na twarzy.



— Biedny... sierota... — powiadała ta i owa. Ta i owa płakała z żalu nad sieroctwem Lajosza

W taki to sposób Lajosz się hrabiance Izabeli zarekomendował.

Reklama, której winnym nie był, serce jej dla niego otworzyła. Nie inaczej serca niewieście otwierają się dla aktorów, grajków, śpiewaków, saltymbanków, widywanych na deskach scenicznych, na estradach koncertowych i na linach naciągniętych. Reguła ta sama, — różnica polega na warunkach, które Lajosza przedstawiały ze strony jak najkorzystniejszej i neutralizowały z góry wszelkie możliwe braki i niedobory, tyżące się ogłady towarzyskiej. Niepospolitość pokrywała to wszystko.

Dla niewiast w ogóle i dla hrabianki w szczególności radością niemałą była wiadomość o zaproszeniu Lajosza przez bana na obiad. Wiadomości tej udzieliła hrabina w sposób, w jaki się zazwyczaj wiadomości takie udzielają. Zapowiedziała dworowi swemu niewieściemu niespodziankę — *eine Überrasche*, jak się czysto po niemiecku wyraziła. Rozbudziło to ciekawość. Co za niespodzianka? — jaka niespodzianka? Pytaniom i naleganiom końca ni miary nie było, aż nastąpiło uspokojenie, gdy hrabina oznajmiła bytność

przy stole młodego człowieka. Oznajmienie to ten wywarło skutek, że się wnet damy wszystkie rozpierchły; gdy zaś po chwili jedna po drugiej wracały, widać było na każdej poprawianie toalety. Ta bransoletę lub naszyjnik włożyła, owa kolczyki zmieniała lub pierścionków ilość powiększyła, inna włosy sobie przyczesała, kwiatek przypięła, kołnierzyk odnowiła, inna znów w sukni innej wystąpiła, a każda ręce sobie umyła i bodaj trochę się podperfumowała. Tak na intencją Lajosza odświeżony fraucymer do ordynku stanął i na czele hrabiny wkroczył do komnaty jadalnej.

Lajosz, — rzecz prosta, — ani się domyślał, jakich osoba jego atencji przedmiotem była. Na co patrzył, to widział, — resztę przed nim okrywała tajemnica. Obiad nie bez wzruszeń wewnętrznych zjadł i nie bez wzruszeń wewnętrznych spędził godzin parę czasu przy krośnach, w gronie niewieściem, podczas, kiedy ban, wprowadziwszy Czolnicza, zasiadł z nim w tej komnacie, co pół na zbrojownię, pół na bibliotekę wyglądała i tak do niego przemówił:

— Więc tedy od Sisaka przybywasz?....

— Nie inaczej, dostojność wasza..

— I jesteś z tych, co z nami nie trzymają, ale się od nas nie odwracają?...

— Tak jest, *dignissime domine*...

— Powiedz-że mi: cóż tam Gaspar Deszicz?...

— Ha!... Gaspar Deszicz?... Jest Gasparem Desziczem zawsze....

— Nie zapomniał?...

— Nie....

— I plemicze go zawsze jednakowo poważają?...

-- Zawsze... jednakowo....

— Hm?... — mruknął ban,—to nie dobrze... nie dobrze dla tego, że nadeszła na nas pora ...

Na chwilę się zamyślił i zaczął:

— Posłuchaj mnie jeno uważnie i weź słowa moje pod rozwagę.... Powiadam: Nadeszła na nas pora, to znaczy, że Kroacya, gdyby zrozumiała, jak rzeczy stoją, poczynąćby mogła na rachunek własny i zyskać wiele... Korona z turczyinem wojnę toczy, o tem wiesz, ale nie wiesz o tem, że w wojnie tej położenie jej jest położeniem okrętu burzą skołatanego i wśród burzy do portu podążającego.... Wojska niemieckie zwycięstwa odnoszą, grody zdobywają; po każdym jednak zwycięstwie, po każdym grodu zdobyciu, umniejszają się, słabną i zachodzi obawa, ażeby im do rozprawy ostatecznej tchu nie zabrakło.... Rozumiesz?....

— Rozumiem... — odrzekł Czolnicz

— Owóż tedy, gdybyśmy wojska niemieckie z boku podparli, wyświadczylibyśmy im przysługę ogromną.... Z boku.... Rozumiesz?...

— Rozumiem....

— Dunaj tak, a Kroacya tak; gdyby przeto Kroacya tedy na tureczyna poszła, w razie takim nie wojskom cesarskim, ale tureczynowiby tchu zabrakło, jak braknie tchu człowiekowi, gdy mu kto pod żebro kułakiem da....

— O tak... — odezwał się Czolnicz.

— Trzeba więc, ażebyśmy się zgodnie do tego wzięli i wyrzucić tureczyna wojskom cesarskim pomogli...

— Cóżbyśmy zyskali na tem?...

— Wdzięczność korony....

— Wdzięczność korony.... — powtórzył Czolnicz, akcentując wyrazy, — na piasku pisaną...

— A nie... — odparł ban. Nie na piasku, lecz na pergaminie... Korona się do nas zwraca z żądaniami... z prośbą... o... z prośbą... To wiele, kiedy ona już prosi, prośba jej bowiem jest poręczeniem wdzięczności, która się wyrazić inaczej nie może, jak przywróceniem królestwu kroackiemu praw i przywilejów dawniejszych... zwróceniem mu poprzednich i nadaniem nowych pergaminów....

Czolnicz milezał.

— Rozumiesz?... — zapytał go ban.

— Hm?... — odparł. To, co mówisz, dostojność wasza, rozumiem doskonale.... Nie wydaje mi się atoli, ażeby wdzięczność korony, czy to na papierze, czy na pergaminie nawet, o wiele się różniła od wdzięczności na piasku....

— *Scripta manent*....

— Które pójsć mogą *ad acta* tak samo, jak poszły dawniejsze....

— Z winy naszej... — podchwycił ban.

— Którą korona sama sądziła, — odparł Czolnicz, — a sądziła tak, jak wilk jagnię owo, co mu wodę mąciło.... Do prośby mocniejszego potrzeba znagła; lecz gdy potrzeba przeminie, słabszy z cnotami i winami swojemi na łasce mocniejszego pozostaje i ten mu prawa jego tłómaczy....

— Widzę, żeś biegły... — odezwał się ban.

— Prawnikiem jestem, dostojności wasza, więc gdy dokument jaki czytam, zaglądam na stronę odwrotną, azali nie znajduje się tam klauzula, obalająca tekst, klauzula bądź zapisana, bądź domyślna.... W sprawach takich, jak pomiędzy koroną a nami, — dodał sentencyonalnie, — domyślność grunt rzeczy stanowi... i grunt ów chwiejącym jest, gdy go nie wzmacnia co innego, aniżeli dokument....

— Co, naprzykład?... — bąknął ban tonem zapytania, rzuconego od niechcienia.

— Własna, dostateczna potęga obronna, którąbyśmy sami sobie stworzyć i zapewnić mogli...

Ban mu bystro w oczy spojrział.

— Jam o tem myślał... — ciągnął Czolnicz dalej, — wydaje mi się bowiem, że moment obecny sposobnym jest do tego, ażeby naród nasz sam sobie przyszłość zapewnił... Ale, cóż ja?... ja?... Co głos mój znaczy?... Nie odzywałem się z tem... Kiedyś mnie jednak, dostojność wasza, za język pociągnął, mówię co myślę... Powinniśmy na tureczyna z boku pójść, nie dla tego, że korona prosi i pergaminy obiecuje, ale dla tego, że pora sposobna i Kroacya sama dla siebie siłę obronną postawić może... Siła ta, gdy raz stanie, bądź co bądź, przyda się...

— To i dobrze!.. — zawołał ban. Tośmy się i porozumieli... Pergamin nie zawadzi...

— Nie zawadzi... — potwierdził Czolnicz, — ale... przy sile...

— Tak... tak... Hm?... Z wydobyciem siły tej kłopot... Kraj zniechęcony, a niechęć podtrzymują Deszicze tacy: w sisackiej okolicy jeden, w seńskiej drugi, w warazdyńskiej trzeci... Gdyby

się ruszył bodaj jeden!... Czy — zapytał — na Gaspara Deszicza sposobu niema?...

— Niema innego, jak... — odrzekł Czolnicz i zamyślił się...

— Jaki?...

— Przekonanie... Człęk to rozumny: gdy się przekona, nie pożałuje siebie...

— Jakże on tam z powinowatym moim, nieboszczykiem Markiem żył?..

— Aha!... Nie jak pies z kotem, nigdy się bowiem nie schodzili, ale, jak dwie głowy orła cesarskiego, patrzące jedna w jedną, druga w drugą stronę...

— Więc i do Lajosza niechętny?...

— Przeciwnie... O ile wiem, znam się z nim bowiem blisko, młodzieńca ceni wysoko...

Ban na te słowa dłonie zatarł i rzekł:

— To dobrze... Z tego da się zrobić lukę, przez którą się dostać będzie można do przekonania starca, zwłaszcza, gdy się podniesie wartość Lajosza... Ojciec jego prosi mnie, ażebym go zajął w służbie publicznej... Postawić go potrzeba tak, ażeby się widnym stał... Pomyślimy o tem; tymczasem zaś, — do Czolnicza z naciskiem przemówił: — zamawiam sobie pomoc twoją w szturmowaniu do Deszicza starego i w sprzy-

mierzeniu go z Lajoszem... Gdy oni we dwóch, starzec z młodzieńcem, okolice sisacką dźwigną, pójdą za nimi okolice inne... Co?...

— Prawda twoja, dostojny panie... — odrzekł Czolnicz.

— I na ciebie liczyć mogę?...

— W zupełności....

— Niech więc rzecz, jak na teraz, na tem pozostanie.... W przeciągu dni kilku wszystko się wyklaruje: wszak dni kilka w Zagrzebiu zabawicie?...

Czolnicz się skłonił na znak potwierdzenia. Ban go się jeszcze o Lajosza rozpytywał i konferencyą zamknął.

Wznowiła się ona w pięć czy, sześć dni później, nie we cztery oczy już jednak. Przybyła hrabina, wnosząc żywiół, który rzecz uzupełniał i zaokrąglął. Ona też rzecz zagaiła.

— Zrobiło się tak, — zaczęła, że Lajosz wyjedzie z Zagrzebia ożeniony....

Czolnicz oznajmienie to z uśmiechem i aprobacją przyjął.

— Ożeniony z hrabianką Peczicz...—dodała.

— Ij... dobrze... — rzekł brwiami mrógnawszy i głowę skłoniwszy.

— To mu wartości nie ujmie w oczach ple-



michów... — odezwał się ban. — Peczenie mają wziętość....

— Mają... — potwierdził Czolnierz.

— Można przeto przypuszczać, że Deszicz stary wybaczy Lajoszowi dla Pecieczki to, że się on Erdödi nazywa...

— Phi?... — Czolnierz na to, brwi podnosząc. Przypuszczać można... do pewnego stopnia przynajmniej....

— To jest?...

— Że jeżeli się co zasnuje, przeszkadzać nie będzie....

— I to wiele....

— Zapewne.... Lepiejby jednak było, gdyby od Deszicza przykład poszedł, na niego bowiem oglądają się nietylko plemicze. ale i sielacy i granicznicy i cały w okolicy do oręża zdolny naród.... Starzec napewno przykład da, jeżeli się przekona..

— Czyby i konia dosiadł?...

— Pewno....

— Niech się mu, — wtrąciła hrabina, — Lajosz pod rękę odda.... Lajosz kosztem swoim huzarów postawi; gdy przeto z huzarami i z żoną Pecieczką do niego zjedzie i powie „Prowadź!“... toć przecie starzec, dawne sobie przypomniawszy czasy, w uporze pofolguje....

— Jeżeli się przekona... — powtórzył Czolnicz.

— Tem łatwiej go przekonać będzie można...

— Zapewne....

— Bo to i bogactwo i ród: Peczicze są w jakimś ze Zrinimi i Frankopanami powinowactwie, wywodząc się od Szubiczów....

— Od Mrniawiczów .. — poprawił ban.

— A Mrniawicze i Szubicze łączyli się zapewne....

— O tak.... Pokrewieństwa pomiędzy nimi dużo....

— Zawszeć to włastiele z krwi i kości kroackiej.... Wzgląd ten pomoże do przekonania starca i do złamania uporu jego....

— A czy? — zapytał Czolnicz nagle, — małżeństwo to jest rzeczą pewną?...

— Jako?... — odparła hrabina ze zdziwieniem niejakiem.

— Bom ja... tak... zdaleka... z boku... myśl tę Lajoszowi nasunął... ale on....

— Co?... — zapytała.

— Jakby o tem nic nie wiedział....

— Nic bo nie wie w rzeczy samej.... Ale my wiemy... — uśmiechnęła się z akcentem zadowolenia. Hrabianka w nim rozmiłowana i ni-

czego bardziej nie pragnie, jak się za niego wydać... Spodziewam się, że wiadomość ta, przykrości mu nie sprawi....

— Z pewnością... — odrzekł Czolnicz. — Czy już go zawiadomić należy?...

Hrabina rzuciła na dostojnego małżonka spojrzenie pytające i wyczytawszy w oczach jego aprobatę wszystkiego, co postanowi, odpowiedziała:

— Możeby się z tem wstrzymać jeszcze wypadło; że jednak czas nagli, więc... tak, zawiadomić go można....

— Zawiadom go, przysposób i trochę go poducz, jak przystępować ma do aktu prośzenia o rękę hrabianki... — dorzucił ban. We względzie tym na niego samego spuszczać się nie sposób....

— Taki nieobrotny, niezgrabny, nieogładzony!... — dodała hrabina. Należy go poduczyć i za rękę niemal poprowadzić; dlatego też, niech się przedewszystkiem zwróci do nas, a my go już posuniemy dalej.... Z porządku wreszcie tak wypada: najprzód do nas, następnie do hrabianki, w końcu do ołtarza.... Wesele w dworcu się odbędzie: na siebie je biorę....

Konferencya pomiędzy banem, hrabiną a Czol-

niczem, tycząca się z jednej strony sprawy politycznej, z drugiej — matrymonialnej, wiążących się jedna z drugą i oddziaływających wzajem na siebie, zachowaną być miała w tajemnicy :

— Ażeby, — słowa hrabiny, — nie wywiązała się ztąd paplanina niepotrzebna... Powie się o tem głośno przy zrękowinach... Przedtem, niech to pomiędzy nami zostanie....

Wielką miał racją Machiavel, zdaniem którego tajemnica dochowaną być może w takim jeno razie, gdy znaną jest osobom nie więcej, jak jednej. Sprawdziło się to w dworcu bana. Ban o konferencyi porannej słówka nikomu nie rzekł, hrabina mileżała, Czolnicz rozmówienie się z Lajoszem do dnia następnego odłożył, mimo to, — domownicy wszyscy w pół godziny po odejściu Czolnicza wiedzieli, że nazajutrz odbędzie się, pomiędzy Lajoszem a hrabianką, akt zaręczyn. Wszyscy wiedzieli i mało kto mówił o czem innem. Rzecz się na zewnątrz wyniosła — mowa po ludziach poszła. Niby w bęben bito, tak rozprawiano o weselu i o szczegółach onego. Mieszkanki Zagrzebia niewyczerpane były w domysłach i wnioskach.

Gadanina jednak najżywsza ogniskowała się pod dachem dworca, około osoby hrabianki,

uprzedzonej o mniemanym, a za pewny podanym, zamiarze Lajosza. Wiadomość o tem mocno ją wzruszyła. Zbladła, gdy ją otrzymała; słowa zrazu przemówić nie mogła; niebawem jednak oprzytomniała i w milczeniu, podkreślając jeno uśmiechem niekiedy wyrażenia niektóre, słuchała paplaniny ustawicznej, jaka dokoła niej wrzała. Języki pracowały, młynkowały. Poglądy wkraczały w przyszłość, wstrzymując się na stopniach ołtarza i obejmowały rzeczy wiele, zwracały się atoli szczególnie na ślubną panny młodej suknię. Czyniono spostrzeżenia *a priori*, udzielano rad, toczono we względzie tym dyskusye, — uważano wypadek ten za nieulegający wątpliwości najmniejszej. Rozmowy ciągnęły się do wieczora późnego i rozpoczęły się nanowo poranka następnego.

Wieczór, noc całą i dzień następny hrabianka spędziła na oczekiwaniu. „I spać nie mogła i modlić się nie mogła“. Opanowało ją to rozdrażnienie wewnętrzne, które tem bywa silniejsze, im się dokładniej w pozory spokoju ubiera.

Nazajutrz, w godzinie przedpołudniowej, pojawił się we dworcu Czolnicz i udał wprost do bana.

— Licha się narobiło... — zaczął. Rzec się rozgadała, z rzeczy tej nic nie będzie....

— Co?... — zapytał ban, nie rozumiejąc, o co chodzi.

— Lajosz się z hrabianką Peczicz nie ożeni....

— Co?.. — powtórzył ban tonem, znamionującym do stopnia najwyższego posunięte zdumienie.

— Lajosz się z hrabianką nie ożeni....

— Oszalałeś, człowiecze!...

— Nie myślę, ażeby oszalenie mnie spotkało....

— Kogóż?... nie mnie przecie?... Chybaś się omylił i powiedziałeś mi nie to, coś myślał....

— Mówię, co jest....

— Mówisz, że się on z Pecziczką nie ożeni...

— Mówię to i powtarzam....

— Czemu?...

— Nie chce....

— Człek jednak chce lub nie chce dla racyi jakiejś.... Czy Lajosz racją jaką podaje?...

— Podaje....

— Jaką, ciekawym?..

— W innej się rozmiłował, serce innej słubował....

— Co za niedorzeczność!... — zawołał ban tonem indygnacyi. W innej?... Jabym ich tuzin rzucił dla tej jednej....

— Hm!... — mruknął Czolnicz.

— I cóż on powiada?...

— Powiada, że nie chce i koniec...

— Ależ to być nie może!... Nie!... o!... — krzyknął ban, w którym gniew zawrzał. — Ojciec mi go powierzył... Ja z siebie żartować nie pozwolę....

Nadał się, nachmurzył i sapać mocno począł. Przez chwilę milczał, myślał, wreszcie się odezwał:

— Pomówimy z hrabiną....

Po żonę posłał i, w oczekiwaniu na przyjście jej, jął palcami bębnić po stole.

Hrabinę, niemniej jak męża, zdziwiła wiadomość o niechęci Lajosza do ręki dziedziczki imienia wielkiego i fortuny ogromnej. I ona, gdy o tem usłyszała, uszom własnym nie wierzyła. I ona o racyą zapytała.

— Rozmłowany w innej? Cóż to przeszkadza?

— Jemu to przeszkadza... — rzekł Czolnicz.

— Rzecz niesłychana!... Toć inna owa musi to być chyba jakieś cudo świata... Cóż to za jedna?

— Hm... — mruknął i głową kiwnął Czolnicz.

— Czy powiedział?

— Powiedział.

— Znać imię jej można?

— Ano, nie zastrzegł sobie tajemnicy, więc imię jej wymienić mogę, tembardziej, że wy sami

rozgłaszać onego nie będziecie. Przedmiotem rozmiłowania Lajosza jest starego Deszicza wnuczka.

Ośłupieli hrabstwo oboje i po przejściu wrażenia pierwszego, ban począł przez nos czmychać, hrabina zaś po izbie chodzić i powtarzać „aje!.. aje!“ sięjęła. Milczenie chwilowe przerwała ona :

— Ależ to... ależ to niepodobne do niczego! Jest to... ot, wybryk młodzieńczy, romans z księżki jakiejś, albo z bajki żywcem wzięty... Cóż ona, ta Deszicza wnuczka... piękna?...

— Niczego... — odrzekł Czolnicz.

— Od hrabianki Izabeli nie piękniejsza?

— Th!... Piękność zależy od tego, jakimi się kto na nią oczami patrzy... Tam to sielaczka.

— On przecie w domu Deszicza nie bywał?

— Noga jego progę dworu dubrowackiego od lat trzynastu nie przestąpiła.

— Musiał przeto zapewne schodzić się z nią gdzieś ukradkiem.

— Nie schodził się... — wtrącił Czolnicz.

— Więc jakże?

— Dwóch słów z nią nie zamienił.

— Być nie może!... — wykrzyknęła.

— Tak jest.

— Widział ją tylko i... tak?... z widzenia?...

— Z widzenia... — potwierdził Czolnicz.



— Toć to dzieciństwo!... — zawołała.

— I ja tak myślę. Powiadałem mu to. Cóż jednak?... Dzieciństwo to obecnie w poprzek zamiarom naszym staje.

— Niechajno z nim ja pomówię... Ja mu to wyperswadowuję... — rzekła, uspokajając się i nadając wyrazom swoim akcent zaufania w samę siebie. — Chłopiec z niego szorstki i nieogłodzony, ale roztropny, roztropny: trafią do przekonania jego słowa rozsądku.

Czolnicz ramionami ścisnął. Hrabina po komnacie chodziła. Bar odechrząknął i odezwał się:

— Ot... tak pięknie ułożony plan poruszenia okolicy sisackiej wywraca się, niby pałac z kart.

— Można mu to powiedzieć.

Czolnicz głową wstrząsnął. Hrabina, na giest ten nie zważając, prawiała dalej:

— ...I przedstawić, że szkodę przynosi sobie i krzywdę sprawie publicznej. Będzie to argument jeden więcej do wystawienia mu porównania pomiędzy Pecieczówną a Desziczówną, chociażby ta Desziczówna od Pecieczówny piękniejszą być miała. Pecieczówna?... Desziczówna?... Chi... chi... — zaśmiała się półśmiechem. To dzieciństwo... dzieciństwo... — dzieciństwo... powtarzała z akcentem uspokajania się coraz to większego i pewności

siebie. Młodzież często ludziom starym orzechy podobne do rozgryzienia daje... Ale to nic... Trzeba się umieć do młodzieży wziąć.

— Jaby się do niego wziął!.. — bąknął ban.

— No? jak?... — zapytała hrabina.

— Związanego pandurom kazałbym do ołtarza zawieźć i przed ołtarzem na klęczkach postawić.

— Przysięgi-by nie wymówił.

— Nie wymówił?... — podchwycił. — Wyśpiewałby!

— Hrabianka Izabela czyby się na coś podobnego zgodziła?

Słowa te ochłodziły zapal, który się w banie manifestować począł.

— A więc tak... — zaczęła, do Czolnicza mówę zwracając. — Niema czego dzieciństwem się alarmować. Gdyby był czas, możnaby rzecz tę zostawić czasowi, który jest najlepszym na leczenie ran od strzał Kupidyna lekarzem. Że jednak czasu niema, bo i tak już w Wiedniu krzywią się, że Kroacya do obrony się nie ima, potrzeba przeto środki zaradcze i prędko obmyśleć i szybko do skutku przyprowadzić. Jam nie w takich — nie omieszkała pochwalić się, — opalach bywała. Niech więc Lajosz tu przyjdzie... Pójdź i przyprowadź go ze sobą.

— Czy przyjść zechce?

— Przyprowaćić każę!... — wybuchnął ban.

— A nie... — odrzekła, dłoń ku mężowi wyciągając. — Gdyby przyjść nie zechciał natychmiast, przyjdzie później.. wieczorem, jutro, pojutrze zresztą. Dzień, dwa zwłoki, różnicy wielkiej nie stanowi: można dnie stracone odzyskać następnie, zbliżając termin ślubu; przyjście zaś jego nieprzymusowe, będzie już znakiem dobrym, będzie to bowiem świadectwo, że się namyśla, waha, z uporu spuszcza. Niech jeno przyjdzie.

Wyrazy ostatnie tonem, jakim je hrabina wypowiedziała, mówiły: „Niechno ja go w obroty wezmę“.

Czolnicz odszedł. Hrabina nie wychodziła. Widocznem było, że w głowie jej snuły się myśli, które ją zajmowały żywo, chodziła bowiem i, to się sama niekiedy do siebie uśmiechała, to głową zlekka wstrząsała, to znów ręką giestykułowała, albo też przed stołem się zatrzymywała, oczy zmrózała i bądź w męża, bądź w inny jaki przedmiot niby się zapatrywała.

— Jeżeli przyjdzie... — odezwała się wreszcie pod bana adresem.

— Ahm! — odparł tenże i dodał tonem, w którym się przebijało zaufanie do dwóch wy-

razów przez żonę wymówionych: — Byle przyszedł jeno....

— Nie przyjść nie może. Zachciewa mu się zapewne do Klimowaca wracać, więc mu Czolnicz wytłómaczy, że bez pożegnania się z nami, z Zagrzebia wyjeżdżać nie może. Przyjdzie przeto nie dziś to jutro, to pojutrze... i ja się z nim rozmówię.

— No... — wytchnął ban.

— Rzecz prosta: imby to nastąpiło prędzej, tem lepiej.

Wyrazów tych nie domówiła jeszcze, kiedy we drzwiach jawił się Czolnicz, a za nim Lajosz. Ban na widok ten na siedzeniu się poprawił. Hrabina się zatrzymała, — oczy jej zamigotały, na obliczu odmalowało się zmieszanie lekkie. Zmieszanie jednak wnet ustąpiło. Oblała spojrzeniem z góry do dołu młodego człowieka, który wchodził z takim spokojem i z taką pewnością siebie, jakby osoby jego nie tyczyła się żadna sprawa drażliwa. Wszedł, powitał hrabstwo i odrazu wystawił się na atak hrabiny, która do niego w następujące przemówiła słowa:

— O synu marnotrawny!... Wracasz tedy do tych, co ci ojca i matkę zastępują, co cię jak ojciec i matka kochają i co ci nie gorzej, jak ojciec i matka życzą.

W słowach tych brzmiało uczucie. Lajosz odpowiedział na nie spojrzeniem, w którym się odmalowała wdzięczność w rozrzewnienie obwinięta.

Hrabina zapytała :

— Cóż tobie w głowie strzeliło ?

— A cóż?... — zaczął.

— Czy to się godzi!... — przerwała. Nie zastanowiłeś się i dopuściłeś się głupstwa, któremu na świecie równego nie znajdziesz. Gdyby to prawdą być miało, wystawiłbyś się na śmiech i na szyderstwo ludzkie. Ludzieby na ciebie palcem pokazywali i mówili: „Patrzcie jeno, to ten, co odrzucił rękę rozmiłowanej w nim dziewczyny najlepszej, najrozumniejszej, najpiękniejszej i najbogatszej w całej, jak długa i szeroka, koronie węgierskiej“. I powiadałoby jeszcze: „Głupi... głupi... głupi“... Cóż ty na to?...

Lajosz głowę zwiesił, brwi zmarszczył i milczał.

— O głupi... głupi... głupi... — odezwał się ban z akcentem przekonania i aprobaty.

— Widzisz, wstyd tobie... — zaczęła znów hrabina. — Rzecz cała, żeś się nie zastanowił i jakieś dziecinne, romansowe przywidzenie za rzeczywistość wziął.

Młody człowiek głowę podniósł.

— Aleś — ciągnęła, — nie dziecko już przecie. Chwilka zastanowienia starczyć ci powinna na ocenienie korzyści i zaszczytu, jaki spłynie na ciebie z połączenia się węzłem małżeńskim z hrabianką Izabelą.

— Ahm... — odchrząknął, jakby rzec coś chciał.

— Cóż przeciwko niej powiedzieć możesz?...

— Nie, Boga mi... — odparł.

— Dobra, bogobojna, rozumna, najpiękniej wychowana, młoda, piękna, bogata: któraż się z nią zrówna?

Giestem dał odpowiedź potwierdzającą.

— A więc to, co ci się przed Czolniczem z ust wyrwało, niech w zapomnienie pójdzie i dla tego, żeby głupstwo w zapomnienie poszło jak najprędzej, dziś tobie z hrabianką Peczicz zaręczyny sprawimy.

— A... nie... — zaprotestował przeciągle.

— Nie dziś, to jutro, pojutrze... — podchwyciła hrabina pośpiesznie, chcąc zarysowującą się sytuacją ratować.

— Ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy... — odrzekł acz spokojnie, ale dobitnie, wyraz ostatni giestem akcentując.

— Hm!... ahm!... — zagrzemiał ban gniewnie.

Hrabina dłonią i spojrzeniem dała mężowi znak, wzywający go do powściągnięcia wybuchów gniewnych i dalej, tonem zawsze łagodnym i uprzejmym do Lajosza mówiła :

— Co tego, tom się już po tobie nie spodziewała, tembardziej, że wiesz, jeśli zaś nie wiesz, to się domyślasz, że w połączeniu twojem z Peczyczówną tkwi korzyść nie tylko dla ciebie, ale i dla biednej, siromasznej, w ucisku tureckim pozostającej ojezyny. Biedna, siromaszna, ręce w kajdanach tureckich do ciebie wyciąga ojezyna i o ratunek cię wzywa, a ty.. co ?.. Ty, dla jakiegoś tam dziecinnego, przywidzianego romansu, na wołanie jej ogłuchłeś i od niej się odwracasz.

Na słowa te, niby oparzony, rzucił się młody człowiek, klątwę dosadną a wyrazistą, której powtórzyć nie można, cisnął i odrzekł :

— Nie ogłuchłem!... Nie odwracam się! . . . Dowiodę tego! Przyszedłem, ażeby powiedzieć wam, dostojni państwo : „Pozostawajcie zdrowi!“ Kazałem już siodłać i juczyc konie moje. Do Klimowaca pojedę, towarzyszy sobie dobiore, sielaków ilu będę mógł w puszki uzbroję i, ojezyny broniąc, zdobywać sobie będę... zdobywać sobie będę — powtórzył, jakby się wahał, — starego Deszicza dobre słowo....

I dalej z oratorskiem zacięciem mówił:

— Dobre jego słowo da mi do rąk środki, których u Pecziczówny nie znajdę.

— A ojciec twój!... — wtrąciła hrabina.

— Ojciec mój?... Ojciec mój od Deszicza się odwracał, ale powiadał o nim: „To człek uczciwy“. Co pomiędzy nimi zachodziło, to nie zachodzi pomiędzy nim a mną, a uczciwość jego pozostaje i ja na człowieka uczciwego dobre słowo sobie zarobić chcę. Ot, co!... Dosyć... mówić więcej niema o czem. Wybaczcie mi, — dodał tonem zniżonym, — dostojni państwo, a powinowaci moi, żem wam może kłopot sprawił. Wybaczcie mi, przyjmcie podziękowanie moje za uprzejmość waszą, za waszą dla mnie łaskawość i dobre chęci i, bywajcie zdrowi.

Ze słowem ostatniem cofnął się i za drzwiami znikł.

W tej chwili ban zerwał się zaperzony, zpod brwi nasuniętych błyskawice ciskający, gniewem ziejący i usta otwierał do krzyknięcia zapewne na wartę, ażeby młodzieńca przytrzymała; lecz — hrabina skinęła i okrzyk na ustach mu zamarł, a postać jego napowrót się w krzesło osunęła.

Hrabina jednak była także z zawiasów wyrzu-



coną. Oczy się jej iskrzyły, policzki pałały, usta drżały; umiała atoli nad sobą panować. Po kolumnacie się razy parę przeszła, nos sobie utarła, przez nos raz i drugi czmychnęła, przed Czolniczem się zatrzymała i sentencyonalnym tonem rzekła :

— Nie chyba większego na świecie tym niema, jak głupstwo ludzkie.

— Zaiste, dostojna pani... — odparł. — Powiadają to samo filozofowie.

— Szczęście mu się samo w ręce oddawało i on je własnemi odepchnął rękami.

— Szczęście zależy od tego, jak kto je pojmuje.

— Możnaż w tym razie pojmować tak albo inaczej ?

— Gdybym się na miejscu Lajosza znajdował, pojmowałbym je tak, jak pojmuje dostojność wasza. Jemu atoli, na miejscu jego, przedstawia się ono inaczej.

— I powiedzieć, że takie zamiary piękne zburzyła jedna jakaś dziewczyna sielska ?

— Nie od dziś dziewczęta burzą... Helena, ona Troję zburzyła.

— A co najgorzej, — wybuchnął ban, — że się wniwecz obróciło poruszenie okolicy sisackiej !

— Może i nie... — odrzekł Czolnicz. Opiera się ono na sprowadzeniu porozumienia pomiędzy Deszczem starym a Lajoszem. Porozumienie, kto wie, azali sprowadzić się nie da na innej, aniżeli ta, co obmyślona i ułożona została, drodze. Żleby na świecie było, gdyby do celu takiego lub innego prowadziła droga tylko jedna.

---

## VI.

Traktem z Zagrzebia do Sisaku ciągnęło jeźdźców czterech, — dwaj przodem, dwaj z tyłu. Jechali stępem, — zwyczajnie, jak podróżni, co się pokazywało ztąd, że siodła, na których siedzieli, zaopatrzone były w mantelzaki, bisagi i olstra; kurz zaś, co ich przykrywał, świadczył, że drogi nie mało odbyli. Przed nimi rozlegała się kraina wzgórzysta, częścią lasami okryta, częścią żebrami opoczystemi poznaczona. Nie zwracali oni na nią uwagi, — snać znaną im była. Zdawało się, że uwaga ich zwracała się wewnątrz, tworząc rodzaj bezdni, w której myśli ich tonęły. Jeden z nich wyglądał młodo i junacko; drugiemu lat pięćdziesiątka minęła. Zna ni nam są oni: ów młody, to Lajos Erdödi, ów niemłody, — Pawao Czolnicz.

Na zakręcie drogi, w dali, ukazał się na wzgórzu dom opalisadowany.

— Ach!... — wykrzyknął na ten widok Lajos, jakby ze snu nagle obudzony i dodał powolnie: nareszcie....

— Cieszysz się, że do domu dojeżdżasz... — w sensie uwagi odparł Czolnicz.

— Ano, tak.

— Poza domem, *non est vita, si est vita non est ita*.

— Boga mi, prawda. Jam był tak miasta ciekawy i och: ciekawość zaspokoilem.

— Ph... — bąknął Czolnicz. Z zaspokojenia tego wyniosłeś zobowiązanie, które ci dotrzymać należy.

— Zobowiązanie to powziąłem był poprzednio. Nie jest to rzecz dla mnie nowa.

— Nowa, — odparł Czolnicz, — nowa, co do odpowiedzialności, która dawniej na tobie zgoła nie ciążyła, a którąś obecnie na siebie sam wziął. Ze strony twojej było to lekkomyślnie trochę. Stało się jednak. Będzie ci trudno, o! trudno. Nie o to już bowiem idzie, ażebyś, zebrawszy junaków kilku lub kilkunastu, przepłoszył tu i owdzie strażę lub załogi tureckie, ale o to, ażeby wystawić siłę taką, coby grody odbierała i krainę od najeźdźnika wyswobadzała. Czy ty myślisz, że siła taka stanie na wezwanie twoje?

Młody człowiek ramionami ścisnął i oczy do góry wznosił, jakby w niebie natchnienia czy pomocy szukał. Czas jakiś milczał. Wreszcie odezwał się :

— Od plemicza do plemicza i po sielakach będę chodził i przedstawiał.

— I każdy cię zapyta: „Co o tem Deszicz stary myśli?“

— Do Deszicza jabym poszedł, ale, iść do niego czyż mogę?

— Nie możesz, a jednak bez niego nie sposób.

— Mój Boże! Cóż pocznę?... — westchnął Lajosz. — Przecież ty mi coś poradzisz i pomożesz.

— Postaram się wyrozumieć starego. Może przekonać się da.

— Czemużby się przekonać nie dał?

Naiwność zapytania tego wywołała na usta Czolnicza uśmiech. Głową zlekka wstrząsnął i odrzekł :

— Nie dowierza: *timet Danaos et dona ferentes*. Dużo przeżył, dużo doznał i pamięta. Spróbuję jednak, zobaczymy... W domu twoim spocznię jeno trochę i niezwłocznie pojedę po sąsiadach: zwołam ich do Dubrowaca... Pomówimy.

W ciągu rozmowy powyższej, dwór na wzgó-

rzu razy parę z oczu znikał i znów się pokazywał, to bliżej, to znów dalej niby, aż stanął wyraźnie na końcu drogi, która do bramy prowadziła. Konie szły raźnie, uszami strzygły i prychały, złób czując. Słyszeć się dało koguta pianie i psów szczekanie. Znajome to były Lajoszowi głosy; uradował się im, wnet jednak serce mu się ścisnęło i łzy do źrenic nabiegły; przypomniał sobie bowiem, że pomiędzy powitaniami, jakie go w progach domowych spotkają, zabraknie powitania jednego, do którego od dzieciństwa nawykł i które mu najdroższem było. Wychudzona, pomarszczona, stęskająca i kaszłająca postać ojca w oczach mu stanęła. Postać ta nie wyjdzie już na spotkanie jego, wyszła bowiem, tak temu niedawno, przez bramę tę — w trumnie. Przypomniał mu się cały obrządek smutny i wznowił się smutek jego. Ze ściśnionem sercem w bramę wjechał; nie uśmiechnął się do psów, które do niego skakały, skomląc radośnie; nie odpowiedział na wyrazy pozdrowienia, z jakimi do niego wyszli domownicy; milcząc, z konia zsiadł i nie zadał nikomu ani jednego z tych zapytań, jakie zadawać zwykli gospodarze, gdy po dłuższej nieobecności na śmieciska swoje powracają. Zapytań nie zadawał;

odpowiadać jednak musiał, zaczepiał go bowiem to ten, to ów, dowiadując się o zdrowie, o powodzenie, o to, jak czas w stolicy spędził, o to wreszcie, co słychać. Odpowiadał krótko :

— *Fata* Bogu.

Wyrećzał Lajosza Czolnicz, który w krótkich wyrazach zdawał wszystkim razem i każdemu z osobna sprawę w ten sposób ogólnikowy, co to o niczem nie poświadamia, ale każdego zadowolnia.

— Co słychać?... Dobrze, Bogu dzięki, nie się na gorsze nie obróciło.

— Kiedy tak, to już i dobrze.

— A może jeszcze i lepiej będzie.

— Byle nie gorzej... — odezwał się pesymista jakiś.

— Czy gorzej być może?... — odparł Czolnicz.

Zdarzają się tak dla ludzi pojedynczych, jak dla narodów położenia, w których wyrazy te stanowią pocieszenie. Dobrze jest, kiedy złe do tego doszło stopnia, że się spotęgować nie może — dobrze jest dla tego, że ponieważ ruch jest prawem, któremu w naturze wszystko podlega, a zatem, czemu zbraknie pędu naprzód, to się cofać musi. Gdyby nie reguła ta, mieszkańcy Europy byłiby dziś nie francuzami, anglikami, niem-

cami itd., ale figurowaliby pod nazwą, jeśli nie persów, to rzymian, nie rzymian, to Mongołów albo Turków, albo inną jaką, wyobrażającą niewolę. Kroaci, lat temu dwieście, znajdowali się wobec alternatywy: albo niewola turecka, albo niewola niemiecka. Położenie ich doszło do stopnia napięcia takiego, że, zdawało się, wyboru innego nie ma. Albo — albo. Złe się wysiliło i doszło do tego punktu zwrotnego, od którego się rozpoczyna ruch wsteczny. Punkt ów ludzie definiują wyrazami: „Gorzej już być nie może“, — pocieszają się — i słusznie. Dzięki regule tej, narody, które, wedle wszelkich obrachowań politycznych, odniesionych do różnych w dziejach momentów, powinny były zniknąć z oblicza ziemi, nie znikły jednak. W przecuciu zapewne, że się i dla Kroacyi zwrot ku lepszej doli rozpocznie, na oznajmienie Czolnicza, że „gorzej być nie może“, domownicy Lajosza odpowiadali:

— *Fala* Bogu miłosiernemu.

Ten i ów dodawał:

— Bóg się przecie nad nami zlituje.

Lajosz, jak skoro próg przekroczył, wnet izby wszystkie obszedł i wróciwszy, a przed Czolniczem, który w izbie gościnnej przed stołem miejsce zajął, zatrzymawszy się rzekł:



— Jaka tu pustka!

— Każdy z nas taką pustkę po sobie zostawi... — Czolnicz mu odpowiedział: Pokolenie pokoleniu ustępuje, a wszystkie schodzą się tam..

W górę palcem wskazał. Lajosz westchnął i obok usiadł. Podano posiłek, postawiono dzban z winem. Czolnicz zawiązał z domownikami rozmowę, w której i Lajosz, milczący zrazu, udział wziął. Gawędka, niekoniecznie ożywiona, przeciągnęła się godzin parę i zakończyła tem, że się Czolnicz odezwał:

— No, chybaż to już odjeżdżać mi pora.

— Nie przenocowałbyś? ... — zapytał gospodarz.

— Przenocowałbym, gdyby nie to, że czas nie stoi. Przenocuję więc w domu moim, jeśli mi go turecy nie zburzyli.

— Nie jakoś temi czasy o turkach słyhać nie było... — odezwał się z domowników jeden.

— Do nas nie zagłędali?

— Nie, Bogu dzięki. Była z Sisaku wiadomość, że aga delibaszym napaści zakazał, powiadając, że chce z nami żyć w zgodzie sąsiedzkiej.

— Uhm?... uśmiechnął się Czolnicz. To coś znaczy, — do Lajosza mowę zwracając, dodał: To znaczy, że turecy chcą, ażebyśmy ich nie

zaczepiali. Mędrzec powiada: Nie czyni tego, co wróg chce, ażebyś czynił.... No, jadę.

Wstał i do wyjścia się zbierał.

— Kiedyż się zobaczymy?... — zapytał Lajosz.

— Nie wiem, Boga mi, ale, jak miarkuję, dni trzech nie upłynie bez zakołatania mego do drzwi twoich.

— W Dubrowacu będziesz?

— Ztamtąd wprost do ciebie przyjadę.

— Ano... ale... a... — bąkać Lajosz począł i wstawszy, a obok Czolnicza na podwórze wychodząc, ciągnął: — Chciałbym... pragnąłbym... ażeby Deszicz stary dobrze o mnie trzymał.

— Chciałbyś może czego jeszcze?... — zapytał Czolnicz w sposób insynuacyjny.

Młody człowiek ramionami ścisnął.

— Ażebym się naprzykład z Martą rozmówił?

— Och nie!... Ja się z nią rozmówić chcę sam, a nie rozmówię się z nią, aż... aż... aż....

— No?... odezwał się Czolnicz

— Pora nadejdzie... — odpowiedział

— Czekaając tedy na porę, bądź spokojny, gospodarstwem się zajmuj, myślom czarnym się nie oddawaj i mnie wyglądaj.

Lajosz, po odjeździe Czolnicza, starał się do

do rady przyjaciela ojca nieboszczyka stosować. Nie przychodziło mu to z łatwością i nawet, przypuszczać należy, iżby nie dokazał tego, gdyby w głowie jego nie snuły się myśli, neutralizujące jedna drugą. Smutna myśl o ojcu, którego w nocy kaszel mu się ustawicznie przysłuchiwał, spychała myśl o wystąpieniu orężnem w obronie kraju; do tej zaś ostatniej dołączała się myśl o Desziczównie i splatała się z nią w rodzaj wieńca, uwitego ze zdarzeń przewidywanych i przeczuwanych. Rzeczywistego nie było w tem nic, — przypuszczenia same. W umyśle młodzieńca układało się coś nakształt epopei, opiekującej nie to co było, ale to co będzie, albo raczej, co być może, a grupującej fakta przypuszczalne około punktu, tkwiącego w sercu jego. Ten też punkt stanowił rzeczywistość jedyną, rzeczywistość, która się przedstawiała tak dziwnie, tak dziwnie, że ktoby się o niej dowiedział, nazwałby ją, jak ban, jak hrabina, jak Czolnicz nawet: dzieciństwem.

Rzeczywistość owa na tem polegała, że Lajosz kochał Martę Desziczównę. Że ją kochał, — że ją kochał z widzenia: w tem jeszcze nieby tak bardzo dziwnego nie było. Widzenie jest w miłości przewodnikiem, o ile nieodzownym, o tyle

dobrym. Idzie ono na czele i, jak dzieje roman-  
sów świadczą, doprowadza często do rezultatów  
upragnionych. Co jednak podziw wzbudzać mo-  
gło i wzbudzałoby, gdyby wiadomem było, to  
pewność wzajemności, jaka przejmowała Lajosza.  
Przekonanym był, że Marta go kocha, pomimo,  
że przekonania tego nie opierał na czem innem,  
jak na tem, że on kocha ją. Przypuszczaćby na-  
leżało, że przekonanie to wypływało z próżności,  
gdyby był dziewczynie, bodaj pośrednio, wiedzieć  
dał, że żywi dla niej uczucia miłosne, że ją wy-  
różnił i dla siebie niejako zaznaczył. Tego nie  
uczynił. Od czasu, jak ona kwiatem dziewczym  
zakwitła, jak on na młodzieńca wyrósł, dwóch  
słów z nią nie zamienił, opierając przekonanie  
swoje całkowicie na wspomnieniach dzieciństwa,  
kiedy ojciec jego z Desziczem się jeszcze scho-  
dził i kiedy on (Lajosz) do Dubrowaca ścieżkami  
przez górę dobiegał. Wówczas rzadkim był dzień,  
w którymby dziewczęcia nie widywał. W Klimo-  
wacu brak mu było rówieśnika, wyrastał bez bra-  
ci i sióstr, do Dubrowaca się przeto garnął chę-  
tnie i zawsze, kiedy na ścieżki górskie wstępo-  
wał, szedł w tem przeświadczeniu, że Marta na  
niego czeka. Przeświadczenie to urobiła w nim  
uprzejmość, z jaką go w drubowackim dworze

przyjmowano. W rzeczy samej, na niego czeka-  
no i dziewczynka czekała. Kiedy więc razu je-  
dnego ojciec tonem rozkazu nieodwołalnego po-  
wiedział mu: „Nie chodź do Dubrowaca!“ chło-  
pcu w myśli stanęło:

— Ona na mnie czeka.

Owo też: „Ona na mnie czeka!“ skryształizo-  
wało się w sercu jego i pozostało. Chłopak z niem  
wyrastał. Nie było racyi, ażeby kryształ ów  
z serca precz wyrzucił, jako rzecz zawadźającą.  
Nie zawadzał mu on bynajmniej, — owszem:  
sprawiało mu to zadowolenie, że wiedział o cze-  
kającej na niego za górą istocie, którą tu i ów-  
dzie, raz w kościele, znów na odpuszcie, znów  
przy innej okazji jakiejś, widywał i w której  
oczach zdaleka czytał, że wciąż czeka.

Ztąd to pochodziło przeświadczenie, że go  
Marta kocha, przeświadczenie głębokie, niezach-  
wiane, wzmagające się w miarę, jak się dzie-  
wczyna rozwijała i wypływające z pobudek ra-  
cyonalnych. Czyż go ona kochała?

Pokaże się to w następstwie opowiadania. La-  
josz był swego pewnym; wiedział atoli o powo-  
dach, jakie go od niej oderwały i, po pragnie-  
niu służenia ojczyźnie, nie pragnął niczego bar-  
dziej, jak usunięcia powodów owych. Patryotyzm

i miłość splatały się w punkcie tym i wytyczały drogę, na której zasnuwała się dla niego, — jakśmy rzekli wyżej, — epopeja nawskrós rycerska.

Po odjeździe Czolnicza zajął się sprawami gospodarskimi, — chodził, oglądał, pytał, wskazówki i rozporządzenia dawał; szło mu to, zajęciu temu bowiem oddawał się za życia ojca, wyręczając chorego, znał więc je i znajdował w niem zadowolenie. Tym razem atoli oddawał się mu od niechcienia. Przeszkadzały mu dystrakcyje, które w umyśle nosił i dzięki którym niekiedy się mylił, sprzeczne dyspozycye dawał, albo, zamiast iść w stronę jedną, szedł we wręcz przeciwną. Skutkiem zapewne jednej z dystrakcyj tego rodzaju, zabłąkał się na ścieżki, na górę prowadzące. Zamiast do winnicy, wszedł pomiędzy krzaki i skały; zamiast myśleć o pełciu czy podgartywaniu latorośli, przypomniał sobie dawniejsze „ona czeka“, — pośpieszał i nie zatrzymał się, aż na pochyłości przeciwległej, z której mu się odsłonił widok na dolinę dubrowacką. W dolinie tej na wzgórzu wznosił się dwór opalಿಸadowany. Gdy dwór się mu w oczy rzucił, stanął, niby wkopany i z miejsca się ruszyć nie śmiał. Odległość nie pozwalała mu widzieć wyraźnie;

widział atoli budynek, drzewa, część podwórza i drogi kawałek; rozpoznawał ruch snujących się około mieszkania ludzi; rozpoznawał nawet płec po odzieży. — Patrzył, — przypatrywał się. Na drodze pokazał się jeździec pojedynczy, który na dziedziniec wjechał i przed dworem z konia zsiadł.

— Czy nie Czolnicz... — zapytał sam siebie.

Po chwili sam sobie odpowiedział:

— Jeżeli to Czolnicz, to po nim pojawi się jeździec drugi, trzeci, czwarty...

Czekał. Żaden więcej jeździec się nie pokazywał; mimo to on wciąż czekał, oczów ode dworu nie odrywając. Aż ten co wjechał, wyjechał.

— To nie on... — rzekł i opuścił punkt obserwacyjny, wracając tą samą, którą przyszedł drogą.

Nazajutrz obserwacją powtórzył.

Domyśleć się łatwo, że był to pretekst, osłaniający powód całę inny. Młody człowiek szukał nie Czolnicza, ale postaci dziewiczej, którą byłby rozpoznał, gdyby się była na podwórzu pokazała. Nie pokazywała się jednak w dniu ani tym, ani następnym. W dniu następnym nie widać nawet było jeźdźca żadnego, w którymby się Czolnicz podejrzycwać dawał. Dwór wyglądał

śpiąco niby, a ruch jedyny, jaki się dokoła niego odbywał, pochodził od gołębi, które raz nad gołębnikiem, znów dalej w stronie krążyły, koła zataczały, dolatywały niekiedy aż do stanowiska przez młodego człowieka zajmowanego, wracały i w głąb podwórza zapadały.

— O gołębie!... — przemawiał Lajosz do nich. Może im losu zazdrościł.

W dniu trzecim dopiero, gdy stanowisko obserwacyjne zajął, ujrzał jeźdźca na drodze.

— To Czolnicz zapewne... — rzekł i dodał, jak poprzednio: — Jeżeli to Czolnicz, to po nim pojawi się jeździec drugi, trzeci, czwarty...

Jakoż, pojawiać się poczęli jeźdźcy jeden po drugim. Na podwórze wjeżdżali, z koni zsiadali i znikali i nadeszła chwila taka, po której nie nadciągnął więcej żaden. Lecz w chwili tej uwagę młodzieńca zajęło zjawisko inne. Przez podwórze przesunęła się postać smukła i wiotka, przepłynęła niby i w zieleń ciemną 'platanu się zanurzyła.

— Ona!... — krzyknął Lajosz.

Po wykrzyku tym westchnął z głębi piersi, w której serce mu żywszem ruszyło tętnem.

— Ona!... — dodał po cichu, a z takim akcentem, jakby mu te dwie sylaby szczególną sprawiały rozkosz.



Następnie wzrok wyteęzał i czekał nadaremnie. Po podwórzu dubrowackiego dworu ludzie się snuli, lecz go nie oni obchodzili. Doczekał się wreszcie tego, że jeźdźcy jeden po drugim dwór opuścili. Mimo to na stanowisku obserwacyjnem pozostawał i nie zeszedł z onego, aż słońce zaszło i góra na dolinę dubrowacką rzuciła cień, w którym dwór i drzewa zlały się w jedną plamę czarną, usuwającą się niby coraz to bardziej w otchłań, której pozór przybrała dolina. Rzeczy nie było czekać dłużej. Lajos ruszył z powrotem, szedł powoli, — powoli dla tej racyi, że patrzeć musiał pilnie sobie pod nogi, ażeby ścieżki nie zmylić i tu lub ówdzie w przepaść się nie zwalić. Udawało mu się to szczęśliwie, pomimo, że dystrakcyja, jaką mu myśli sprawiały, uwagę jego na próbę wystawiała.

Dzięki dystrakcyi tej, niemałem było zdziwienie jego, gdy, do izby gościnnej wchodząc, ujrzał za stołem siedzącego Czolnicza.

— O?... — zawołał.

— Czekam i czekam... — odrzekł gość.

— Widziałem ciebie.

— Gdzie? — zapytał tenże.

Zapytanie to zmieszało Lajosza. Przyznać się nie chciał, należał zaś do ludzi tego rodzaju,

co istoty rzeczy kłamstwem maskować nie umie ją. Szukał więc wycieczki w niedomówieniu i odpowiedział :

— Widziałem cię z góry, na której wierzchołku znalazłem się w chwili twego do Dubrowaca przyjazdu. . . . Przybywasz więc z Dubrowaca. I cóż?

— Hm?... — mruknął Czolnicz.

— Stary się przekonać dał?

— Przez pół i to w połowie mniejszej.

— Może to i dosyć.

— Zwłaszcza, gdy więcej nie można. Nie chciałem nalegać zbyt mocno i umyślnie naprzód wysuwałem nazwisko bana, ażeby z niem ucho starca oswoić.

— No?... —

— Zdaje się, że tego dokazał. Na wspomnienie bana marszczył się i zżymał, lecz słuchał i dyskutował.

— Na tem koniec?... — rzucił Lajosz.

— Nie.... Przyrzekł nie przeszkadzać.

— Czegóż więcej potrzeba.

— Czego?... hm?... Rzeczy małej: naczelnika. Gdyby Gaspar stary powiedział: „Ja z wami“, rzecz cała wywinełaby się sama, niby z płatka. Zebrałoby się ludu mało wiele: tyle pie-

szych, tyle konnych... i onby wiedział, jak ich urządzić, jak nimi rozporządzić i co z setką, co z pięciu setkami, co z tysiącem zrobić. Przytem, z nim nikomuby ani na myśl przyszło pytanie o dowódcę: poszliby starzy i młodzi, plemieze i sielacy bez gadaniny, bez narad, bez swarów, cicho, zgodnie. Tak zaś?... Obawiać się należy, ażeby, zanim się naradzimy, umówimy i zbierzemy, turcy się o zamiarach naszych nie dowiedzieli i nie uprzedzili nas. Ali-aga ma słuch delikatny i oko bystre.

— Aleby potrzeba chyba, ażeby mu kto doniósł... — zauważył Lajosz.

— Phi... to rzecz najłatwiejsza. Języka dostaje się za pieniądze. Ali-adze na pieniądzach nie brak.

— On nam przecie ze zgodą sąsiedzką się oświadczył.

— To przestroga. Zgody potrzebuje, więc sam zaczepiać nie chce, ale nie chce czekać, aż zaczepionym zostanie.... Szczwany to lis.

— Znasz go?

— O, znam.... Ile razy w Sisaku jestem, zawsze do niego zachodzę. W tych dniach go odwiedzę.

— W tych dniach?... — zapytał Lajosz ze zdziwieniem.

— Ano, zanim się u nas gadanina zacznie... O! bo też się będzie gadało, gadało... Znam naszych. Dla tego to szkoda, że Deszicz... nie przeszkadza tylko.

— Ha!... cóż robić... — westchnął młody człowiek.

— Trzeba przeto do dzieła się brać.

I jął się Lajosowi skazówek odpowiednich udzielać, co do osobistości wydatniejszych i co do sposobu, w jaki z każdą zosobna mówić należy.

Podano wieczerzę. Rozmowa się ciągnęła. Czolnicz opowiedział szczegółowo o konferencyi, jaką odbył u Deszicza. Lajos o Martę nie pytał, pomimo, że pragnął wieści o niej. Czekał, aż wieść przyjdzie sama. Nie przychodziła. Sprawy ważne, które Czolnicza zajmowały, zepchnęły mu z uwagi i pamięci dziewczynę, o którejby powiedzieć mógł przynajmniej, że zdrowa i dobrze wygląda. Zamiast tego, omawiał dokładnie sytuacją i rolę, jaka się w udziale młodemu człowiekowi dostała.

— Tyś Erdödi, — słowa jego, — powinowaty bana, syn człowieka, co z banem trzymał, kiedy on szedł przeciwko narodowi. Na tobie nie ciąży odpowiedzialność ani za jednego, ani za drugiego, mimo to przedstawiasz ich wobec na-

rodu w momencie, w którym się sprawy tak ułożyły, że ban, przekonani swoich nie gwałcąc, chce i może z narodem ręka w rękę iść. Jest to pomyślny stan rzeczy: ze stanu tego należy skorzystać w taki sposób, aby nie osobę bana, ale stanowisko, przez osobę tę zajmowane, dla narodu wyzyskać i do sprawy narodowej na zawsze przywiązać. Nam, widzisz, o baństwo chodzi: rozumiesz? o....

— Ano.... — odparł Lajosz.

— Niech ludzie nie zważają na różnicę pomiędzy Erdödim i Zrinim, niech o baństwie pamiętają. To zastawa nasza, nasza zasłona. Na to bacz, a będziesz wiedział, jak z kim mówić masz.

Czolnicz miał rację, udzielając młodemu człowiekowi wskazówek powyższych. Plemię kroackie, kość z kości i krew z krwi szlachty polskiej, stanowiło, podobnie jak ta ostatnia, naród polityczny i posiadało te same zalety i wady. Skłonność do sejmikowania odgrywała wśród szlachty kroackiej rolę znaczną. Skłonność ta, świadcząca o ruchliwości umysłowej, spólna Słowianom wszystkim, w których żyłach przewaga znajduje się po stronie krwi czystej, właściwość rasowa, nie jest wadą sama w sobie. Przeciwnie. Jest to zaleta, która atoli, w warunkach pe-

wnych, szkodliwą się stać może; kiedy naprzykład działać, nie zaś gadać potrzeba, wówczas kłopot z nią. Do ładu trafić nie sposób.

Kłopotu tego doznał Lajosz.

Nazajutrz po rozmówieniu się gruntownem z Czolniczem, z nim razem o wschodzie słońca z domu wyruszył. Jechali razem drogi kawałek i rozstali się. Czolnicz się udał do Sisaka, Lajosz do wsi pobliskiej, której właściciel, zanim on w interesie usta otworzył, wręcz mu oświadczył:

— Wiem, z czem przyjeżdżasz.

— Z czem naprzykład?

— Powiedzieć mi, że Deszicz nie przeszkadza.

— A więc?

— Niema co.... Kiedy on nie przeszkadza, to znaczy, że pora nadeszła... Jam gotów choć w tej chwili: konia jeno siodłać i *chaj!*...

— I ludzi zbrojnych dostawisz?

— Czterech pieszaków z puszkami: kiwnę jeno na nich....

— To i dobrze... Czekałże na wezwanie.

— Od kogo?

— Od kogo?...—zająknął się Lajosz. Przycho-dzę w imieniu bana.

— Wiem o tem... — przerwał plemicz, — ale my, głowy nasze niosąc, pomyśleć powinniśmy o głowie, coby przed nami szła. Stary Deszicz nie chce.

— Poradzimy się... — odparł Lajosz.

— Otóż to. Poradzimy się i rozważymy... — i zapytał: gdzie i kiedy?

— Choćby w Klimowacu... — odrzekł bez namysłu.

— Hm?... możeby to lepiej było gdzieindziej, ale... no... mniejsza o to... Ja się na wszystko zgadzam i gdyby tak inni potrzebę zgody rozumieli, ho, ho! tureczyna, *majka nigowa*, zapachuby po tej stronie Sawy nie było....

Umowa o dzień i porę dnia nastąpiła z większą jeszcze łatwością.

Tak samo, *mutandis mutandum*, powiodło się Lajoszowi w domu plemickim drugim, trzecim, czwartym; podnocował; w dniu następnym ruszył w objazd dalszy; powodzenie mu wciąż sprzyjało, tembardziej, że znalazł ułatwienie, które go zrazu dziwiło. On jechał, — wieść go poprzedzała i grunt mu przysposabiała. Opozycya seryo nie spotykała go nigdzie, ale za to, co go spotykało często i w miejscach wielu, to ciekawość, z której się wyradzała indagacya i pomy-

słowość wybujala, która wytwarzała plany. Prześladowała go pierwsza, bardziej jednak druga. Co do pierwszej, nagabywano go często zapytaniami :

— A cóż o tem Sobieski powiada?... A czy ojciec święty błogosławieństwo przysłał?... Czy Wenecya pieniądze daje?...

I tym podobnie.

Na zapytania tego rodzaju miał odpowiedź jedną :

— Nie wiem.

Odpowiedź ta, brana w znaczeniu wybiegu dyplomatycznego, zaspokajała ciekawość i zarazem urabiała Lajoszowi wziętość.

— Jaki bystry!... — powiadano o nim. Zapytaj go znienacka, odpowie wnet: „Nie wiem“... Oho, wie on, tylko go podchwycić nie można.

Z planami rzecz się trudniej miała; twórcy bowiem onych domagali się nietylko uznania, ale zastosowania pomysłów, wśród których znajdowały się rozmaite i oryginalne i z podań wzięte, lub w książkach wyczytane. Ten radził wojownika każdego w trąbę wielką zaopatrzyć, ażeby do boju idąc, każdy trąbił i w sposób ten przeciwnika głuszył, a to dla tego, że :

— Człek głuchy do niczego; niedaremnie po-



wiadają: „głuchy jak pień“. Turczyn każdy, gdy ogłuchnie, w pień się zmieni, wówczas wojsko całe w pień się wytnie.

Inny znów chciał obok żołnierzy żywych stawiać żołnierzy ze słomy wypchanych, formować z nich hufce i te na polu bitwy szykować, celem ściągania na nie uwagi nieprzyjaciela.

— Turczyn do nich z kanonów będzie pucał i puczał, a my tymczasem z tyłu go weźmiemy.

Najoryginalniejszym był plan Grgura Takiego; polegał bowiem na wykurzeniu turków mniej więcej tak, jak się z ula pszczoły wykurzają. Grgur nalegał.

— Wiem, — powiadał, — że się to będzie kwasilo, kwasilo i skończy się wszystko na niczem. To żarty!... Z takim jak turczyn *łopowem*, niema co się w żarty wdawać. Wykurzyć i ot!

— Będziem się starali... — odrzekł Lajos, myśląc, że Grgur używa przenośni retorycznej.

— Nie dosyć starać się, trzeba umieć...—odparł tenże.

— Umiemy.

— Co?...

— Bić się.

— Ach!.. — zaśmiał się. Sztuka!... Sztuki takiej lada *budała* dokaże.

— Znasz inną jaką?

— To bo to jest, że znam. Bierze się taka rura, — długość rury rękami oznaczył — i napęlnia się ją pakułami, próchnem, szerścią i czyrem. Gdy zajrzysz tureczyna zdaleka, zapal czyr i idź śmiało naprzód. Ty idziesz, czyr tli i od czyru zapalają się pakuły, od pakuł próchno i szerść. Do tureczyna podchodzisz, w nos mu przez rurę dmuchnij i, nim się od dymu i smrodu opamięta, posiekaj... O!... — zakończył, palec z akcentem do góry podnosząc.

— Hm?... — Lajosz na to.

— Tym sposobem tureczyna wykurzimy.

— Może.

— Nie może, ale napewno. Gdybym ja prowadził, tobym każdemu pieszakowi i konianikowi kazał, ażeby sobie rurę dostał, a pakuły, próchno, szerść i czyr wszędzie dostać łatwo.

— O tak... — potwierdził Lajosz.

— Cóż o tem powiadasz?

— Powiadam, że to wymysł nie gorszy od innych.

— Czy kto co innego wymyślił?

— Stepan Jelżiez wynalazł wojowników słomianych.

— Stepan *łuda*, to rzecz wiadoma. On wy-

komponował byle co, umyślnie na to, ażeby na naczelnika wybrano jego. Znam go. Mnie to ani w głowie, wszelako, gdyby na mnie głosy dano, przyjąłbym nie dla czego innego, tylko dla . . . rur. Z rurami pewny jestem, iżbym do końca trafił. Ho, ho!.. Ale, — dodał, — nie narzucam się, spodziewam się jednak, że będziesz głosował na mnie.

W ciągu objazdu, który dni kilka zabrał, zauważył Lajosz zwiększający się stopniowo w okolicy ruch. Na drogach, któremi krążył, coraz to kogoś spotykał. Sąsiedzi odwiedzali sąsiadów; plemicze zgromadzali się po kilku, po kilkunaśtu. Ci, których Lajosz spotykał, zatrzymywali go i zawiązywali z nim rozmowę, tyczącą się sprawy, która umysły zajęła żywo. Rozpytywali, opowiadali. Od nich się młody człowiek dowiedział, że dwór w Dubrowacu był celem odwiedzin licznych i że Deszicz powtarza wciąż jedno i toż samo: nie przeszkadza, udziału nie bierze i Bogu poleca tych, co się oręża imą.

Rzecz była, słowem, rozgadana.

W dniu na zjazd oznaczonym, znalazł się Lajosz u siebie. W czasie nieobecności jego nie zaszło nic nowego. Noc upłynęła mu tak, jak upływać zwykła człowiekowi znużonemu. Z wieczora

zadysponował przygotowanie jadła jak na *stawę*, to znaczy tyle, ażeby starczyło na pokarmienie ludzi w ilości nieokreślonej. Zarznięto więc baranów kilka, ustawiono kotły, przysposobiono chleb, namoczono mało że nie korzec fasoli i, jak skoro świt nastał, zabrano się do gotowania czorby i paprykaszów i do pieczenia baranów, nie zapominając o gulaszu, grającym na Węgrzech i w krajach od korony węgierskiej zależnych, rolę taką samą, jak u nas bigos.

Goście nadciągając poczęli około dziesiątej przed południem, o południu było już pełno,—w izbie się pomieścić nie mogli; wynieśli się więc do ogrodu i zaimprovizowali „skupsztynę“, która, nim do obrad przystąpiła, uprzątnęła pierwiej mis kilka czorby, paprikaszu i gulaszu, zjadła dwa barany pieczone, szmat duży polcia słoniny wędzonej i wypila wiader parę wina. Obradowano wprawdzie i przy jadle, ale dorywczo. Ten i ów miał do powiedzenia coś, co mu na sercu ciążyło, wypowiadał więc; ten i ów rozrzewniał się i wydawał okrzyk. Śród drzew ogrodu zapanaował gwar ustawiczny, niby w ulu i w gwarze tym rozbrzmiewało od czasu do czasu: *żiwio!* które echo podchwytywało i w górę niosło.

Szlachta kroacka posiadała nawyk obradowania,

po obiedzie przeto grono biesiadne zmieniło się we wiec, starsi i poważniejsi zajęli środek, młodzi się nieco usunęli i jeden ze starszych zagaił posiedzenie przemówieniem, w którym streścił cel zgromadzenia i które zakończył zapytaniem:

— Kto nas poprowadzi?

— Deszicz... — odezwało się głosów kilka.

— Nie chce... — głosów kilka odpowiedziało.

— Któż więc?... kto?...

— Na mnie... ph?... — podchwycił jeden, jabym dał przewodnictwo takiemu, coby wynalazł sposób niezawodny na wypędzenie tureczyna z miłej ojczyzny naszej....

Ów, co tak przemówił, był to ten, co trąby doradza.

— Hiii... — odrzekł któryś przeciągle, — taki sposób?... Nim się sposób taki wynajdzie, trzymajmy się chyba starego....

— Który doprowadził do tego, że tureczyn załapał Sławonią całą, że oderwał połowę Kroacyi, że...

— Czy, przerwał jeden, — Sobieski wynalazł sposób jaki nowy?

Z punktu zapytania tego wywiązała się sprawa o Sobieskim, którego jedni wysoko cenili, inni krytykowali i z powodu którego pytanie, za-

znaczące cel wieca, w zapomnienie poszło. Przypomniął o niem ten, co się nosił z pomysłem żołnierzy słomianych, Stepan Jelżicz, ale go z tropu zbił Grgur Taki i wytoczył na stół rury. Wyłożył onych mechanizm cały i skuteczność nieochybną.

— Śmiało wprzód idź, tureczynowi w oczy dmuchnij i siekaj go!

— Lepiej pierwej siekaj, a potem dmuchaj... odezwał się jeden.

Grgura to dotknęło, obraził się i uniósł, perorować podniesionym głosem począł i byłby może spór ostry wywołał, gdyby nie pojawienie się Czolnicza. Wejście tego ostatniego zawiesiło obrady. Wszyscy oczy na niego zwrócili, jakby powiedzenia jakiegoś oczekiwali. Z oczu mu widać było, że coś do powiedzenia ma. I miał, w rzeczy samej.

— Haj!... — westchnął, po obecnych okiem powiódłszy, — za dużo gadamy... Ali-aga o wszystkim wie, co się pomiędzy nami dzieje.

W odpowiedzi na słowa te slyszeć się dały klątwy do Ali-agi wystosowane.

— Potrzeba więc nam, — ciągnął Czolnicz, — śpieszyć się, ażeby tureczyna uprzędzić. Zgromadzić się chyba tu, w Klimowacu, pojutrze i ztąd, w imię boże, ruszymy.

— A naczelnik?... — krzyknął Grgur i głos stosownie nastrajając, zaczął: Jeżeli wola wasza...

— Naczelnik się znajdzie, — przerwał mu Czolnicz, — śpieszcie się jeno, nie gadajcie, zbróćcie się i przybywajcie!

---

## VII.

Czolnicz nie bez racyi kwestyą wyboru naczelnika z porządku dziennego, — że się językiem parlamentarnym wyrazimy, — zepchnął. Znając spółziomków swoich, wiedział, że kwestya ta, czyby się rozstrzygnęła czy nie, wywołałaby kwasy i niechęci. Pozostawił więc ją w zawieszeniu do momentu ostatniego, przypuszczając, — może i słusznie, że w momencie tym rozstrzygnie się sama przez się i następnie utonie w wirze wypadków. Zamiarem jego, z którym się przed nikim nie zdradzał, było, wysunąć naprzód Lajosza i spopularyzować nazwisko: Erdödi. Pierwszy krok na drodze do czynności wojennych nie przedstawiał się zbyt trudnym, polegał bowiem na wykonaniu napaści na Sisak; więc się Lajosz z zadania tego wywiązać mógł ku zadowoleniu ogólnemu i ze sławą dla siebie. Zamiar taki Czolnicz w duszy piastował i dla tego zgromadzenie



rozwiązał Plemicze, odjeżdżając, żegnali się: *servus—ad revidendum*. Języki za zębami trzymać przyrzekali i zapowiadali przybycie swoje na pojutrze konno i zbrojno, przyprowadzając ze sobą pieszaków do puszeki wprawnych.

Lajoszowi przypadło w udziale zajęcia huk, albowiem i sam się przysposobić musiał i przygotować przyjęcie dla ludzi, jak miarkował, przynajmniej trzystu. Ludzi trzysta, koni ze sto: należało to ulokować i ukryć przed okiem ciekawem. Bliskość granicy ostrożność tę nakazywała. Ludzie orężni będą się ściągali powoli, — było to do przewidzenia. Zakrzętnął się przeto: podawał przeto służbie dyspozycye odpowiednie, sam zaś w pobliżu wyszukał miejscowość osłoniętą i ustronną, w którejby oddział przenocować mógł bezpiecznie. Przywołać przytem kazał do siebie siełaków i zapytał:

— Cheilibyście na tureczyna?

— Myśmy gotowi... — była jednego z nich odpowiedź.

— Któż was do gotowości wzywał?... — odezwał się tonem zdziwienia.

— Od twego z Zagrzebia powrotu o czem innym mowy niema.

Była to przeto tajemnica publiczna.

Dzień na zajęciach tego rodzaju upłynął. Wieczorem nadjechał Czolnicz i jak skoro z konia zsiadł, wnet, wbrew zwyczajowi swemu, kłąć począł.

— No? cóż?... — zapytał go Lajosz.

— Turcy się obrzezają w latach dzieciennych — odpowiedział — i dla plemiczów naszych zaprowadzićby należało obrzezywanie... języków... Och! — stęknął, — te języki... Dzień przepadnie....

— Jakto?

— No... zjadą się, ale znów na to, ażeby radzić.

— Cóż przecie?

— Ktoś puścił pogłoskę o jakimś kapitanie niemieckim, u ciebie się przechowującym.

— O jakim kapitanie?

— Wymyślonym... oczywiście.

— Któż pogłoskę tę puścił?

— Kto?... ha!... gdybym wiedział?... Albo ktoś wykomponował, albo ją wynalazł Ali-aga. To tureczyn chytry, wie gdzie, kiedy i jak w sedno trafiać.

— Więc się jutro nie zbiorą orężnie?

— Nie... Może tam jeden, drugi przyjedzie, jak na wyprawę, ale wszyscy inni przybędą dla... kapitana.

Lajosz zaklął. Rady atoli nie było. Doczekał się jutra i gości jak poprzednio, którzy, w sady pod gruszą zasiadłszy, jedli, pili, gwarzyli i doczekali się niespodzianki nie śnionej, ani rojonej.

— Turczyn!... — rozległ się okrzyk od strony podwórza.

Lajosz się zerwał, wybiegł; wśród gości, niby makiem zasiał, takie zapanowało milczenie.

Od podwórza dochodziły wyrazy głośno i dobitnie wymawiane:

— Bramę zamknąć!... Do strzelnic ze strzelbą!... Kotły wodą napełnić, drzewa do ognia dokładać!... Oszczepy, buławy, topory wynosić!

— Nie żarty! . . — ktoś się odezwał.

— Dogadaliśmy się... — rzucił Czolnicz, dodając: Co to jednak?

Zapytanie tyczyło się doniosłości napadu, który mógł mieć znaczenie zwykłej wycieczki zbrojeckiej. Mimo to z plemieców niektórzy ruszyli się. Że w czasach owych nikt się z domu bez oręża i amunicji nie wychylał, więc szli po strzelby, z którymi przyjechali, opatrywali kurki, podsypywali prochu na panewki, oczyszczali paznogciami skałki i udawali się flegmatycznie jedni ku palisadzie, drudzy do bramy, pozostającej już pod dozorem domowników.

— Co to?...—było zapytanie, zadawane przez każdego z plemiczów, przy spotkaniu z którym z domowników.

— Kto wiedzieć może... — była odpowiedź.—  
Turczyn się pokazał.

— W sile?

— Ot... koni dziesiątek, ale nie wiadomo, czy to wszystko.

— Zkąd wam znaki dają?

— Z Ostrego Wrchu.

Odpowiedzi ostatniej towarzyszyło wskazanie palcem ku górze, która w okolicy pełniła funkcją obserwatorium strażniczego. Gdy napad przybierał rozmiary najścia wojennego, na górze tej zapalano ogień wielki, ostrzegający mieszkańców, ażeby się na baczności mieli. Ogień się dotychczas nie pokazywał: trwogę rzucił ktoś, co od granicy nadjechał i umykać był zmuszony przed oddziałem jeźdźców, którzy go do Klimowaca ścigali. Jeźdźcy się na drodze przed bramą pokazali. Straszego w tem jeszcze nie było nic; Lajoszarządził środki ostrożności i zamierzał wyprawić zwiadę, gdy nagle na szczycie Ostrego Wrcha dym w górę słupem strzelił. Dym gęstniał, wzmagął się, u spodu płomień od czasu do czasu zamigotał. W nocy widaćby było nie

dym, ale płomień; przy jasności dziennej wierzchołek góry odział się w turban niby i nieświadomi praktyk miejscowych, do jakich potrzeba mienia się na ostrożności mieszkańców zmuszała, wzięliby go za wulkan.

Była to udatna bardzo wulkanu imitacya, wiadna szeroko, na mil parę w stronę jedną, na mil parę w drugą, tak daleko, jak sięgał widok Ostrego Wrecha, wyskakującego wierzchołkiem stożkowym z pośrodką gór okolicznych. Ukazanie się onej wprowadzało okolicę całą w ruch. Sielacy od robót w polu śpieszyli do chałup, zabierali rodziny i uprowadzali je w miejsca bezpieczne. Toż samo czynili plemicze, z wyjątkiem tych jeno, co mieszkali po domach do obrony przysposobionych. Ci przedsiębrali środki ostrożności, uzbrajali domowników i gromadzili graniczników, zbiegających się celem wzmocnienia załogi. Rodziny koczowały gromadkami zadrużnemi tak długo, aż trwoga przeminęła.

Tego to rodzaju ruch wszczął się i tym razem, jak skoro wierzchołek góry strażniczej zadymił się znakiem alarmowym.

— Turczyn!

Wyrazem tym powietrze niejako nabrzmiało.

Gaspar Deszcz powracał właśnie z winnicy do

dworu i znajdował się na środku podwórza, kiedy wyraz ten w słuch mu wpadł. Zatrzymał się, obrócił, na Ostry Wrch, od słońca dłonią oczy sobie osłaniając, spojrział, przez chwilę popatrzył, mruknął i rzekł:

— Nawołali. Licho spało... obudzili.

Przed progiem spotkały go niewiasty strwożone: służebnice, córka i wnuczka.

— Ostry Wrch gore... — odezwała się z nich jedna.

— Gore... — odrzekł. Podpaliła go gadanina.

Odwrócił się i głosem donośnym zawołał:

— Toma bre!...

Z boku podwórza, przed jednym z zabudowań, ukazała się postać męska, której Deszecz rzucił wyrazy:

— Ostry Wrch gore!

Wyrazy te rzuciwszy, próg przekroczył i, niewiasty poprzedzając, do izby wszedł.

— Trzeba będzie, — zaczął, na ogniskach kotły z wodą postawiać i... nie trwożyć się.

— Ah! *niesrieta* — odezwała się synowa wdowa.

— Będzie, co Bóg da... — odparł. Róbmy, co do nas należy. Będziemy mieli do żywienia czas jakiś gęb obcych ze trzydzieści. Myśleć o tem potrzeba.

Stosowało się to do niewiast, na które, mocno zrazu strwożone, oddziałał spokój starca, spokój zupełny, swobodny, jakby nie zaszło nie osobliwego. Na widok spokoju tego, niewiasty wynosić się poczęły z izby. Odeszły najprzód służebne; synowa sprawę zdawała i zapytań kilka zadała. Zdawanie sprawy tyczyło się ilości mąki, fasoli i zapasów innych, znajdujących się w zsy-pach; zapytania odnosiły się do artykułów niektórych, zagrażających zbraknięciem na wypadek, gdyby się przeciągnąć miała potrzeba żywienia ludzi, nienależących do grona domowników.

— Boję się, — rzekła, — o sól, której się w Sisaku nie kupiło. Gdyby posłać.

— A!... — przerwał starzec. — Sisak się teraz przed nami zamknął. Nawalnica, jeżeli w rzeczy samej idzie, idzie ztamtąd. Sól jednak jest?... zapytał.

— Jest, — odrzekła, — ale....

— Trzeba się z nią oszczędnie obchodzić. Może Bóg miłościwy da, że to prędko przemienie, że klęskę od nas odwróci.

Synowa odeszła; przy starcu pozostała wnuczka.

— No?... — zapytał, — jakby wymówkę jej czynił za to, że z niewiastami nie wyszła..

— Bo, — odrzekła tonem, w którym wahanie się czuć było, — bo ta klęska: czy to klęska?

— Najście tureckie.

— Wojna... — poprawiła.

— Tak, zapewne, — odparł, wojna: czyż wojna nie klęska?

— Biorą się do niej... nasi.

Wyraz ostatni dziwnie jakoś w ustach dziewczyny zabrzmiał. W tonie onego czuć się dawała trwoga, prośba i jeszcze coś, — zawstydzenie niby, zawstydzenie, pochodzące z głębin serdecznych, a niewypowiedziane dla jakichś racyj tajemniczych. Starzec, zdawało się, odczuł to, wnuczce bowiem w oczy z uczuciem, które rzewność akcentowała, spojrział i odrzekł:

— Nasi.

Westchnął i ramionami ścisnął.

— Nawałnica się na nich zwróci... — dodała dziewczyna po chwili, tonem tym samym.

— Sami ją na siebie nawołali.

— I dotknie ich... i... i...

Wyrazów, które się jej do ust cisnęły, wypowiedzieć nie umiała, czy nie mogła, ku starcowi się przysunęła, do ramienia się jego pochyliła i głowę na piersiach dziadka ukryła. Starzec przytulił ją i pytał:

— Cóż?... i cóż?...

Odpowiedziała westchnieniem głębokiem.



— Tobie bo coś jest?... — odezwał się z uczuciem.

— Och dziadku!... — odparła zpod ramienia starca.

— Boisz się?... Niepokój cię owładnął?

Głowę podniosła, w oczach jej błyszczały łzy, a usta drżały, drżały tem drżeniem, które znamionuje usiłowanie w powściągnięciu wybuchu płaczu głośnego.

— Cóż?... — pytał starzec...

— Och ... gdybym ja dziewczyną się była nie urodziła.. — odrzekła.

— Masz tobie!... — rzekł Deszecz tonem żartobliwym. — Na to rady niema. Żeś jednak dziewczyną, nie dziwi mnie przeto, że się boisz i niepokoisz w takiej jak obecna chwili.

— Nie boję się ja... — podchwyciła.

— Cóż więc?

— Niepokoję się... — i z pośpiechem dodała: nie o siebie.

— Nie o siebie, zapewne, masz bowiem matkę, brata, dziada, którzy ciebie obchodzą, których kochasz.

Westchnęła z zacięciem takim, jakby coś powiedzieć chciała. Dziadek ciągnął dalej:

— Bądź spokojna jednak, Bóg miłosierny.

Przetrzymaliśmy burz tyle, więc i tę, jeżeli na nas łaskawie wejrzeć zechce, przetrzymamy. *Kutia* nasza na uboczu leży; będziemy się przytem na baczności mieli, spodziewać się więc można.

— Czy — podchwyciła — turezyn zawsze omija *kutie*, co na uboczu leżą?

— Nie zawsze, ale po największej części. Na domy odosobnione napadają *czety* hajduckie, przeciwko którym jesteśmy zaopatrzeni dostatecznie; wojsko drogi wielkiej się trzyma.

— Spodziewać się więc można, że nie zagładnie ani do nas, ani do Brłoga, ani do Nawrcha, ani do Klimowaca?

— Spodziewać się można, — odrzekł, nie zważając na akcent, z jakim nazwa wsi ostatniej wymówioną była, ale nie można liczyć na to.

— O Boże!... — westchnęła.

— Idźże do matki, — upomnienia tonem odezwał się starzec, — ona zapewne potrzebuje pomocy twojej. I ja się zakrzętnąć muszę.

Marta, za próg wyszedłszy, zatrzymała się i na Ostry Wrch spojrzenie zwróciła. Na Oстрыm Wrchu dym się kłębił; widocznem było, że ci, co takowy podsycali, mieli powody słuszne do utrzymywania ogniska alarmowego, powody odnoszące się nie tylko do mieszkańców okolicz-

nych, ale i do krainy całej. Na znak z Ostrego Wrchu dany, zapaliły się wzgórza na południu, na zachodzie i na północy, niosąc wiadomość o wkroczeniu nieprzyjaciela przedewszystkiem do Petrini, twierdzy najbliższej, obsadzonej przez załogę niemiecką, następnie do grodów, w których konsystowały komendy wojskowe. Telegraf ten pierwotny sięgał Zagrzebia. Z Dubrowaca widnym był jeno sygnał na Oстрыm Wrchu i w sygnał ten dziewczyna się wpatrywała, wyęzając wzrok w sposób taki, jakby w dymie tym czegoś jeszcze dojrzeć chciała. — Dym się kłębił, w górę szedł, na boki się słał i wytwarzał obłok szary, czyniący plamę ruchomą w powietrzu jasnym, wobec słońca, które się znajdowało na drugiej dziennej drogi swojej połowie. Dziewczyna śledziła okiem kierunku dymu, jakby w kierunku tym skazówki jakiejś szukała; spoglądała na słońce, jakby ze skazówką co do miejsca, połączyć chciała skazówkę co do czasu i ucho nastawiała, jakby dosłyszeć usiłowała trzasku płomienia. Trzasku płomienia nie słyszała, lecz do słuchu jej dochodziło coś nakształt rozterki w powietrzu, co było zapewne wytworem imaginacyi jej własnej, nastrojonej do zgiełku wojennego. Wydawało się jej, że coś słyszy w dali,

a nie słyszała tego, co się blisko niej działo. Ludzie orężni przybywali; Deszicz im rozporządzenia dawał: kazał przy bramie czuwać, palisadę opatrywać, do strzelnic broń palną wynosić; warty na zewnątrz, podsłuchy i zwiady wyprawiał. Dokoła dworu zapanował ruch przyspieszony, zupełnie taki, jaki w tejże chwili panna w Klimowacu. Marta jednak słyszała coś więcej, — chyba do niej przemawiało powietrze, albo... przeczucie.

Niepokój, jaki ją opanował, nie opuszczał jej. Matce pomagała z roztargnieniem, od roboty się co moment odrywała, na Ostry Wrech spoglądała i nasłuchiwała. Słońce się ku zachodowi chyliło; na górze dym rozbijał się wciąż, a coraz to obficie, jakby na znak, że się niebezpieczeństwo wzmaga. Dziewczyna niekiedy drżączki dostawała i tak rozstrojoną była, że ją matka od czasu do czasu upominać musiała.

— Co tobie Marto!... — powtarzała. Boisz się?... a patrz jeno, my się nie boimy.

Kobiety służebne dodawały sobie serca, śpiewając; gdy zaś nie śpiewały, opowiadały o turczynie, który według nich, niewiast nie kaleczy, ani ścina.

— Stare bardzo rzuca, żeny zabiera, a która

młoda i *liepa*, tej... hej! trafić się może szczęście takie, o jakim się tylko w bajkach rozpowiada. Dla niewiast od tureczyna *brigi* niema.

Marty to nie pocieszało, ani uspokajało. Nie przestawała, celem popatrzenia się na dym i słońce, wybiegać na podwórze, na którym, nad wieczorem, ruch się uregulował. Wartownicy znajdowali się na miejscach swoich; w ogrodzie, pod tym samym platanem, pod którym dziewczyna z robotą siadywać lubiła, graniczary biwak założyli; Deszicz na środku podwórza stał i miał minę taką, jakby na coś lub na kogoś oczekiwał. Mina ta zwróciła na siebie uwagę dziewczyny. Popatrzyła na dziadka pilnie, następnie do niego podeszła i zapytała:.

— Czemu dziadku do izby nie wejdiesz, nie usiądziesz i nie spocznieś?

— Wyglądam Tomy z powrotem.

— Czyż Tomy niema?

— Na wywiady poszedł.

— Byle go jeno co złego nie spotkało.

— O! ostrożny on; zna przechody wszystkie.

Gdy słów tych domawiał, furtka się otworzyła i Toma, człek nie o wiele od Deszicza młodszy wszedł.

— Jakże?... — zapytał ten ostatni. Jest co?...

— Jest, siła znaczna.

— Naprzykład?

— Hm?... tak: secin pięć, sześć... Ali-aga.

— Którędy pociągnęli?

— Stoją tam, w dolinie... — palcem na dzie-  
lącą Dubrowac od Klimowaca górę wskazał.

Starzec powieki podniósł, głową pokiwał i ode-  
zwał się:

— Bre... bre... lud pieszy?

— Jest i konianików trochę i *topów* (armat)  
dwa przyciągnęli.

— Bre... bre... — powtórzył.

— Ale, — dodał, — ani wozów, ani koni  
jucznych: wyszli, niby na łowy, a tam, — tu  
znów na górę wskazał, — plemiczów się zebra-  
ło dziesiątków kilka.

Starzec brwi sfałdował i pod nosem mruknął:

— Budały, licho spało: obudzili... nawołali.

Toma nazwy wsi, ani nazwiska właściciela  
onej nie wymówił, przez wzgląd zapewne na  
stosunki, w jakich Deszcz względem tamtej  
strony góry pozostawał. Tak się zwykle mówiło.  
Język ten zrozumiałym był dla domowników du-  
browackich. Zrozumiała też Marta o co chodzi i,  
na starego Tomę szeroko otwartymi oczyma pa-  
trząc, zapytanie mu rzuciła:

— I cóż?

— No... cóż!... — odparł stary ramionami ścisnąc.

— Po co turczyn przyciągnął?

— Po cóżby przyciągnąć miał!... z pewnością nie na sławę.

Z Tomy przeniosła wejrzenie na dziadka. Starzec był poważnie zamyślony. Przemówić do niego nie chciała, — nie śmiała. Oblicze jej okryła bladość.

— O Boże!... — westchnęła.

Deszcz po chwili Tomy zapytał:

— Czy już topy ustawili?

— Nie, jeszcze.... Toczą się tam chyba układy jakieś, wychodził bowiem do turczyzna ktoś, zdaje się, jeżeli mnie oczy nie omyliły, Pawao Czolnicz i wrócił.

— Hm?... hm?... — mruknął starzec. Czolnicz to człek roztropny. Ih... — ramionami ścisnął. Może on biedę odwróci, ale się na to spuszczać nie można... Jednakże, zdaje się, — na słońce spojrzął, — dzień dzisiejszy zakończy się chyba spokojnie.

Rzekłszy to, poszedł powoli w stronę, w której graniczników gromadka biwak sobie przyrzędziała.

Marta na Ostry Wrch oczy podniosła. Wietrzyk, który w powietrzu ruch utrzymywał, ustał i dlatego dym strzelał w górę słupem prostym i w górze, wysoko, tworzył obłok czubiasty, podobny do kity na hełmie rycerskim. Dziewczyna się czas jakiś w słup ów wpatrywała; usta jej się zlekka ruszały, jakby znaczyły takt modlitwy w duszy odmawianej, oczy miały modlitewny wyraz; wreszcie się zwróciła i iść powoli zaczęła, nagle krzyknęła:

— *Pucają!*

Trzeba było posiadać słuch nadzwyczajnie delikatny i przenikliwy, ażeby usłyszeć wystrzał, który okrzyk ten wywołał. Był to wystrzał pojedynczy i daleki. Na okrzyk dziewczyny, który się po całym rozległ obejściu, kobiety powybiegały z wnętrza domu, mężczyźni powyteżali słuchy. Wysłuchanie się stało powszechnem. Po chwili jedna ze służebnic odezwała się:

— Nie słychać nic.

Jeden zaś ze służebników dodał:

— Ktoś zapewne drzwiami stuknął.

— *Pucają!*... — krzyknęła Marta powtórnie.

I tym razem jednak badanie słuchami ciszy nie doprowadziło do potwierdzenia okrzyku dziewczyny. Po chwili atoli wszyscy odezwali się głosem jednym:



— Ooo!....

Echo doniosło do słuchów palbę gęstą a ciągłą, klekocącą nakształt tego, jak klekoce źródło, wydobywające się zpod ziemi. Odgłos, zdawało się, zpod ziemi wychodził i kołysał się na fali echowej.

— A co! ..—krzyknęła po raz trzeci Marta,— pucają!

Wyprostowała się. Wzrok jej zapalił się niby. Dookoła się obejrzała i do dziadka, który, nasłuchując, nieopodal od gromadki graniczników stał, szybkim podeszła krokiem.

— Pucają!... — rzekła.

— Tak.. słyszę... — odrzekł.

— Biją się!

— A tak... wyraźnie.

— Giną!...

Starzec na nią oczy podniósł, w oczy jej popatrzył, powieki zlekka przymrószył, jak się czyni, gdy blask wzrok razi i, nadając wyrazom ton spokoju, w którym czuć się dawało wymuszenie, odparł:

— Gdzie się biją, tam giną.

— Nasi?... — odrzekła z przyciskiem.

— Ha!... — wytchnął i odpowiedź tę giestem odpowiednym poparł.

— Możnaż im tak ginąć dać?... -- zawołała głosem akcentem wyrzutów nabrzmiałym.

— Cicho!... starzec na to, rękę do wnuczki wyciągając. — Cicho. Pomyślmy o tem.

— Dziadku!... — krzyknęła, do starca się pogarnęła, rękami go objęła i do kolan się mu osunęła,

Deszcz się cofał, pochylał, wnuczkę podnieść próbował i powtarzał:

— No cóż?... cóż?... i cóż?...

— Myście, o! myście! ale prędko... — odrzekła, z klęczek się zrywając i przed dziadkiem stając.

— Prędko?... — odparł. — Myśleć trzeba długo a robić prędko. Bądź spokojna. Zrobi się wszystko, co można, ażeby... tych nieopatrznych z biedy wydobyć.

— Och! dziadku... gołąbku mój... drogi... złoty... — ręce złożyła i prosiła.

— Cóż ci tak na tem zależy?... — zapytał, zdziwiony trochę tem, że uczucie patryotyczne, w którego podnietach upatrywał powody niepokoju dziewczyny, w taki nagłący wyrażało się sposób.

— Co mi zależy!... — odparła. — Mnie serce pęknie, jeżeli... jeżeli... oni... zginą.

— Bądź-że spokojna!... — odrzekł tonem upomnienia. Wojny były, są i będą, ludzie ginęli, giną i ginąć będą. Rady na to niema innej, jeno zdanie się na miłosierdzie boże. Zrobimy wszystko, co do nas należy... reszta w rękę Boga. No, — dodał w końcu, — idź z Bogiem i nie przeszkadzaj.

Upomnienie, wypowiedziane tonem surowym, przyprowadziło niejako dziewczynę do równowagi, z której ją niepokój wytrącił. Usunęła się; nie zaprzestała jednak zwracać uwagi na to, co się działo. Mniej ją zajmować począł dym na górze, bardziej zaś ruch, jaki się na podwórzu odbywał. Widziała dziadka, jak rozporządzenia dawał i jak, w skutek rozporządzeń tych, ludzi kilku, jedni pieszo, drudzy konno, dokądeś wyruszyło. Widziały to i kobiety służebne, które się również wypadkami interesowały. Powstawały ztąd domysły różne, jak ten naprzykład, że Deszicz ściągnąć chce ze wsi pobliskich do Dubrowaca siły większe. Domysł ten, jako najracjonalniejszy, znajdował uznanie powszechne. Nie pozostawał wszelako jedynym. Którejś wydało się, że Deszicz wyprawił ludzi na tamtą stronę góry.

— Oni tam poszli... — odezwała się.

Na słowa te Marta drgnęła.

— Coby tam do czynienia mieli!... — odrzekła inna.

— Zobaczyc, co się dzieje... — odparła tamta.

— W Klimowacu? . . . — zapytała pierwsza z akcentem, oznaczającym, że to rzecz niewłaściwa, ażeby się stary Deszicz Klimowacem interesował.

Echo tymczasem przyświadczało ustawicznie o trwaniu walki. W powietrzu panował rodzaj wrzenia, podobnego do odgłosu, jaki wydaje przewracanie w worku orzechów. Odgłos ten, jak się zdawało, powiększał się w miarę, jak słońce się ku zachodowi zbliżało. Marta nasłuchiwała; niekiedy przejmowało ją drżenie; znów czuła w sobie gorąco. Obserwowała przygotowania, jakie się w obrębie dworu dubrowackiego odbywały i spostrzegła, że wszystko, jakby zasnęło. Granicznicy spali, — słyszeć się nawet wśród nich dawało chrapanie; dziadek do izby wszedł i położył się. Zapanował spokój, który ją dziwił i niecierpliwił, — bardziej niecierpliwił, aniżeli dziwił: cóż bowiem dziwnego w tem, że ludzie spoczynku potrzebują, że człowiek w wieku późnym stare kości wyciągnął? Ale z za góry echo walki dochodziło, tam za górę myśl jej leciała, —

tamby wszystkich tych graniczników pchnęła i chciałyby, ażeby śpieszyli, biegli, uskrzydłili się.

— Pójdą może, ale kiedy?... — w duchu sobie mówiła. — Pójdą i dojdą... zapóźno... A on tam zginie!

Do dziadka mówiła „oni“, do siebie — „on“, a wyraz „zginie“, wył jej w duszy, podnosił ją, szarpał nią; uczuwała potrzebę osłaniania kogoś ciałem własnem, jakby matka osłaniała dziecko swoje przed ciosami. Uczucie to nurtowało w niej. Czyniła na sobie wysiłki, celem opierania się onemu, wysiłki, które ją razy dziesięć przynajmniej zwróciły ze ścieżki, zbiegającej stromo zpoza ogrodu dworskiego w wądół i wspinającej się następnie do góry, mimo urwiska, coraz wyżej, coraz wyżej, aż do ścieżek tych, które przez górę z Dubrowaca do Klimowaca prowadziły. Ścieżyną tą, to się puszczała, to wracała. Kiedy tarcza słoneczna za górę zapadła, dziewczyna się puściła, zbiegać już w wądół poczęła, zwróciła się jeszcze jednak, stanęła, pierś sobie dłońmi nacisnęła, tchu w płuca nabrała i spokojna napozór, obeszła obejście całe dworu, jak to czynią w obozie wodzowie, gdy przekonać się chcą o porządku wśród żołnierzy i o czujności wart. Warty czuwały; sielacy, służba dworska i

graniczary spali; niewiasty się do snu układały; podeszła pod okno otwarte izby dziadka,—w izbie panowała cisza; ucho nastawiła, — o słuch jej obił się oddech równy człowieka śpiącego.

— Boże! o Boże... — westchnęła.

— W izbie słyszeć się dało chrząknięcie; od okna odskoczyła i w cieniu się trzymając, obiegnęła dom, wpadła do ogrodu, trafiła na ścieżynę. — na ścieżynie kroku zwolniła i poszła. Spuściła się w wądół, wspinać się poczęła do góry; nad urwiskiem śmiała i pewną przeszła stopą i zagłębiła się wśród zarośli. Gdy się raz na jedną ze ścieżek wydostała, już się nie oglądała poza siebie. Pośpieszała. Pod górę biegła, jakby uskrzydloną była. W cieniu wieczornym, polotna postać jej przesuwała się, niby duch, pomiędzy skały, wśród zarośli i ponad przepaściami. Polotności dodawał jej coraz to wyraźniejszy huk bitwy, który jednak chwilami urywał się, tak, że razy parę w biegu przystanęła i zastanowiła się, jakby jej cel, do którego podążała, z oczu nagle zniknął. Huk się nanowo wszczynał, ona znów dalej ruszała. W sposób ten na szczycie się znalazła w chwili zmierzchu. Dzień jeszcze nie zgasł całkowicie, noc nie nastała. w dolinie rozpościerały się cienie i w cieniach tych roily się na

dwóch półkolistych jedna do drugiej równoległych liniach ogniki, — które zdawało się, — zapalały się jedne od drugich. Złudzenie to uwagę jej do siebie przykuwało. Dziewczyna oczy wlepiła. Huk, który tu już wyraźnie dochodził, a potęgowany echemi, przybierał rozmiary olbrzymie, nie trwożył jej. Ogniki, niknące wprawdzie lecz powtarzające się ustawicznie, sprawiały w dolinie jasność przyćmioną, jakby zakopconą, w której rozpoznać się dawały dwór, palisady, nawet i postacie ludzkie wzdłuż palisad się snujące. Naprzeciwko widniały również postacie ludzkie, te ją atoli nie obchodziły zgoła. Zdała sobie z sytuacji sprawę. Przekonała się, że dwór klimowacki jak stał tak stoi, że zamknięci w nim bronią się, że — widać ich, słaniających się w blasku, oczerwienionych ogniem, otoczonych urokiem waleczności.

— Och!... — uniesienie pierś jej rozděło.

Wzrok wyteżyła, usiłując wśród wojowników, których postacie chwytala spojrzeniem, gdy wylatujące z panewek płomyki wykazywały oblicza ich do strzelb przyłożone, dojrzeć i rozpoznać oblicze jedno szczególnie. Jak dni temu kilka, Lajosz w podwórku dworu dubrowackiego wypatrywał ją, tak obecnie ona wypatrywała Lajosza. Wzrok w celu tym wyteżyła.

Kochała go przeto, zdaje się.

Lajosz tego był przekonania, że ona na niego czeka. Czekala na niego, w rzeczy samej; gdy zaś zrodziła się w niej obawa, że się nie doczeka, — poszła, poszła ku niemu sama, nie zdając sobie sprawy jasno, dokąd idzie i poco. Teraz dopiero w myśli się jej rozjaśniło. Poszła ona w tym celu, ażeby zobaczyć go. Wpatrywała się przeto we wszystkie do łóż ruszniczych przylgnione twarze, które oświecały błyskawice wystrzałów. Gdy w sposób ten spojrzeciami po linii palisad przebiegała, ujrzała jednego ze strzelających, walącego się na wznak.

— Jao!... — krzyknęła.

W myśli jej strzeliło: „Czy nie on to“?

Naprzód oslep ruszyła, kroków kilkadziesiąt z góry na dół ubiegła i nagle jej pod stopą gruntu zbrakło. Upadła. Szczęściem, ciało jej natrafiło nie na próżnię, ale na powierzchnię mocno pochyłą, po której się szybko toczyć ją. Toczenie się sprawiło jej zawrót głowy. Tłókla się, spadła wreszcie z wysokości, na szczęście nie wielkiej i straciła przytomność umysłu.

W stanie tym przeleżała godzin parę; gdy zaś przytomność odzyskała, podniosła się i usiadła, zadać sobie potrzebowała wysiłek niejaki, ażeby



uporządkować wspomnienia. Wspomnienia były takie świeże! Nitkę wnet uchwyciła i wskrzesło w umyśle jej wszystko, co z wieczora słyszała i widziała. Słyszała huk, widziała dwór klimowacki w girlandzie płomiennej. Wszystko to znikło. Dokoła panowała cisza głucha i ciemność—tylko w górze, gdy oczy podniosła, ujrzała smug nieba, jaśniejący tym blaskiem, jaki na niebo rzuca księżyc w pełni.

Wiedziała, że spadła; ale zdać sobie sprawy nie mogła, w jakim to nastąpiło miejscu. Rozpoznała jeno, że się znajduje w głębi jednego z parowów, wychodzących ku dolinie, w której Klimowac leży. To ją do pewnego stopnia oryentowało i uspokajało. Cóż bowiem? W razie najgorszym doczeka się dnia i po dniu wynajdzie sposób wydobycia się z parowu. Była to rzecz najmniejsza. Frasowało ją bardziej to, że podążała do celu i że ją z drogi zepchnął wypadek. A cel ten?

— Co się z nim dzieje?.. — zapytała siebie. Dlaczego huk, który z wieczora powietrzem wstrząsał, zastąpiła cisza głucha taka?

Zapytanie to z miejsca ją ruszyło. Wstała i po omacku iść poczęła, szukając ścieżyny jakiejś, któraby z parowu do góry wyprowadzała.

Poszukiwania jej długo, długo nadaremne były. Wynałazła sobie kija kawałek, który jej oddawał usługi wielkie i przy pomocy którego, powiodło się jej nareszcie trafić na ścieżynę ukośną, prowadzącą pomiędzy zarośla. Puściła się ścieżyną tą. Nie wiedząc, dokąd ją ona doprowadzi, zachowywać się starała ostrożność jak największą; posuwała się powoli, w końcu wydo stała się na wyżynę, z której się przed nią szerszy roztoczył widnokrąg. W głębi przed nią leżała dolina, utopiona w ciemnościach; księżyc zapadł za góry; w powietrzu słyszeć się dawało od czasu do czasu świegotanie ptasze; na górach pokazywało się coś, nakształt świtania dzionka o czem świadczył także ów chłód, który czuć się daje w porze przedporankowej. Dziewczyna sobie z tego sprawy nie zdawała. Mając w myśli cel w skutek wypadku chybiony, posuwała się naprzód i, zatrzymując się od czasu do czasu, szukała okiem w dolinie dworu. Poszukiwanie jej nadaremne było. Dolina przedstawiała otchłań mętną i w otchłani tej drzewa, łąki, wzgórze, mieszkania ludzkie rozróżnić się nie dawały. A cisza? — cisza ta była także nakształt otchłani, która ją nękała tak, iżby może wolała wrzawę walki.

Wtem o uszy jej uderzył odgłos chodu. Zatrzymała się i wsłuchiwała. Odgłos szedł z góry, składały się nań: stąpanie, szelest liści suchych i łomot gałązek pod stopami. Nie sposób jednak było rozpoznać, były li to stopy zwierzęce, czy ludzkie, — niedźwiedź może. Chód się zbliżał ścieżką tą samą, na której znajdowała się Marta: usunęła się więc za drzewo i czekała. Czekwała niedługo. Mimo niej przeszedł człowiek jakiś, za nim drugi, trzeci, czwarty i dalej. Szli gęsiego. Wychyliła głowę, wydali się jej uzbrojeni. W rękach nieśli strzelby, przy nich pobrzękiwał rynsztunek. Przesunęło się ich ze trzydziestu. Kiedy przeszli, usłyszała jednego z nich odchrząknięcie i kaszlnięcie.

— Dziadek!... — o mało że nie krzyknęła.

Stłumiła jednak okrzyk w sobie. Zkądżeby się tu dziadek wziąć mógł? człek taki stary, — po górach nie chodzi; zostawiła go przytem śpiącego.

Przesłyszało mi się... — pomyślała i na ścieżkę wyszła, chcąc pod górę znowu iść; po krótkim jednak namyśle zwróciła się i ciągniona snąć ciekawością, poszła śladem ludzi, co się mimo niej przesunęli. Ścieżka wyprowadziła ją niebawem na miejsce otwarte, z którego się widok

na dolinę otwierał i na którem kamienie omszone do siedzenia zapraszały. Usiadła, — postanowiła sobie dnia tu doczekać; siedziała, — dzień świtać poczynał, — nagle, u stóp jej, wzdłuż doliny, przebiegł łańcuch połysek błyskawicznych, po których wnet nastąpił grzechot huków wystrzałowych. Dziewczyna się z siedzenia zerwała, chwilę niby wkopana stała, następnie iść poczęła.

---

## VIII.

Plemicze, co się do Klimowaca na naradę byli zjechali, przez najście zaskoczeni, nie wiedzieli zrazu, wobec jakiego znajdują się nieprzyjaciela: czy to kupa zbójcka, czyniąca wyprawę dla łupu? czyli też jest to napad, pozostający w związku z toczącą się w skutek rozprawy wiedeńskiej wojną? W pierwszym razie byłoby to złapaniem się w samotrzask napastników; w drugim atoli rzecz postać zmieniała: złapanie się przechodziło na stronę i na niekorzyść plemiczów. Niepewność trwała czas jakiś. Z pokazujących się oddziałików orężnych, które niby pozycye zajmowały, a może rekonesanse czyniły, nie jeszcze wymiarkować nie było można. Jednym zdawało się, że to to, drugim, że owo. Odzywały się głosy, doradzające wycieczkę, celem przepłoszenia napastników.

— Poczekajmy jeszcze... — odpowiadali poważniejsi.

Ci ostatni mieli rację, albowiem rzecz się wyjaśniła sama. Przed bramą pokazało się jeźdźców kilku i człek jeden pieszo. Jeźdźcy zatrzymali się w oddaleniu półtory doniosłości strzału broni palnej; człek pieszy, sielak prosty, wyszedł naprzód i dając rękami znaki, ku bramie podchodził. Na kroków jakich sto, zatrzymał się i zawołał:

— Idę ze słowem!...

— Podejdz bliżej!... — odpowiedział mu Lajosz.

Człek do bramy samej podszedł i w takie odezwał się słowa:

— Sielak jestem z Kliszcza, tureczyn mnie przydybał i zabrał i oto kazał mi, ażebym was zapytał, czy się z nim rozmówić chcecie...

— Cóż to i zkąd ów tureczyn?... — zapytał Lajosz.

— Bóg jego wie?... — była odpowiedź.

— W jakiej sile?

— Siła *golema* (wielka), ino!... Kazał mi on, — tu na jeźdźców ręką wskazał, — powiedzieć, że gdyby kto do niego wyszedł, to... byłaby rozmowa...

— Ij, dobrze... — odrzekł Lajosz. Powiedz mu, że ktoś wyjdzie...

Lajosz chciał iść sam, lecz mu to Czolnicz i inni odradzili.

— Wódz nie oddaje się duszmaniowi w ręce... — była uwaga Czolnicza, — uwaga, która znamionowała kierowanie Lajosza na wodza.

Człowiek zręczny ze sposobności skorzystał i przykleił niejako do osoby młodego człowieka etykietę, z którą chciał szlachtę oswoić. Nikt przeciwko temu nie zaprotestował. Faktycznie Lajosz na śmieciach swoich wodzem był.

— Któż, — odezwał się z plemiczów jeden, — wyjdzie?

Nastąpiła narada krótka, wynikiem której było wysłanie jednego z domowników dworu klimowackiego, człowieka roztropnego i odważnego.

Rozmowa nie długo trwała. Wysłaniec wrócił z propozycją, pochodzącą od Ali-agi, znajdującego się osobiście na czele wojska, a polegającą na tem, ażeby, jeżeli pomiędzy zgromadzonymi w Klimowacu plemiczami jest przyjaciel jego, Pawao Czolnicz, Pawao do niego po przyjacielsku wyszedł. Jeźdźcy na odpowiedź czekali.

Wiadomość o obecności Ali-agi sprawiła wrażenie. Pokazało się, że to nie przelewki.

— *Bre bre!* — powtarzał ten i ów.

— Niech zakładnika da... — odezwał się jeden.

Zdanie to znalazło poparcie ogólne, z wyjątkiem głosu jednego, którym był głos Czolnicza samego.

— Nie... — rzekł. Kiedy ma być po przyjacielsku, to niechże po przyjacielsku będzie. Przyjmujemy w zakład słowo Ali-agi. Pójdę, zobaczymy.

— A jeżeli on cię przytrzyma?... — wtrącił któryś.

— To przytrzyma.

— I głowę zetnie?... — dorzucił inny.

— To zetnie.

— Uhm... — była konkluzya ogólna.

Stano na tem, że Czolnicz pójdzie i w razie, gdyby nie wrócił, zgromadzeni we dworze będą oczekiwali, w pogotowiu do obrony, na atak ze strony tureckiej. Wynikało to z samej natury położenia. Innego nie pozostawało nic w ostateczności, którą okazane w słowach wodza tureckiego zaufanie odwrócić mogło. Tego ostatniego, z wyjątkiem Lajosza i kilkunastu młodych, szlachta gorąco pragnęła. Dano więc jeźdźcom odpowiedź, że Czolnicz do Ali-agi wyjedzie. Jeźdźcy z koni posiadali, oczekując na Czolnicza, któremu tymczasem konia siodłano. Zabrało to czasu z pół godziny, tak dużo naumyślnie dla zyski-



wania na czasie, ze względu na wznoszący się na Oстрыm Wrchu dym, który, alarm po kraju roznosząc, tem samem możliwości odsieczy spodziewać się kazał. Wreszcie koń osiodłany został, bramę otworzono i Czolnicz, mając za sobą pacholka, wyruszył.

— *Sretan put!*... — wołali plemicze za nim.

Niejeden tego był przekonania, że go już więcej nie zobaczy. Jeźdźcy turecy, jak skoro go z bramy wyjeżdżającego ujrzeli, na koń powsiadał i przyjęli go pozdrowieniem uprzejmem.

— Ali-aga rad będzie tobie... — odezwał się jeden.

Czolnicz za uprzejmość uprzejmością się odwzajemnił i zapytał:

— Gdzież znajdę przyjaciela mego?

— Nie troszcz się o to, *dżanem*, doprowadzimy cię przed oblicze jego tak, że on tobie w oczy spojrzy, a ty jemu w oczy spojrzysz.

Nie pytał więcej. Jazda zabrała czasu z kwadrans i odbywała się drogą, przy której, ze strony jednej i drugiej widzieć się dawały spoczywające oddziały orężne, piesze i konne. Czolnicz zpod oka na nie spojrzenia rzucał i w myśli obliczał. Obliczanie było trudne z tej racyi, że krzaki maskowały wojowników, rojących się niby.

Czolnicz się uśmiechnął sam do siebie, domyślił się bowiem, że sposób ten wykazywania siły zbrojnej, jest swego rodzaju podstępem. Na co się jednak nie uśmiechnął, to na widok dział, które ujrzał na ostatku i od których nieopodal przewodnicy w bok zwrócili, kierując się ku zarostowi buków rozłożystych. Przed jednym z buków zatrzymali się. Na kobiercach rozesłanych, na poduszkach rozłożonych, siedziało tam turków kilku, ugrupowanych około jednego, zajmującego miejsce poczesne, człowieka lat czterdziestu z okładem, chudego, rudawego i zyzem patrzącego. Był to Ali-aga. Czolnicz, zeskoczywszy z konia w odległości jakich kroków trzydziestu od wodza tureckiego, pachołkowi cugle oddał i kłaniając się, a dłoń do piersi przykładając, do wodza podszedł.

— E?... — odezwał się ten ostatni, z uśmiechem na obliczu na gościa spoglądając.

— Stawiam się na przyjacielskie wezwanie twoje, effendim... — była odpowiedź Czolnicza.

— Dobrześ, dżanem uczynił, usiądźże.

Czolnicz naprzeciwno agi miejsce zajął i, stosując się do etykiety tureckiej, salamy każdemu z obecnych kolejno oddawał. Po ukończeniu ceremonii tej, aga zaczął:

— Widziałeś moc wojska, którem przyprowadził?

— Widziałem... — odrzekł Czolniez.

— E?... — zapytał.

— Moc wielka, *hiliady* (tysiące).

— Przyprowadziłem je nie na pokaz.

— Wolałbym, ażeby ono na pokaz tylko było.

— Wedle życzenia twego, dżanem, stać się może.

— O ago effendim!... — podchwycił Czolniez, nadając wykrzyknikowi swemu akcent uradowania.

— Widzisz co... — zaczął aga. Powiadałem: siedźcie cicho, będziemy sobie po sąsiedzku żyli i żyliśmy. Łopowych, co na stronę waszą chodzili, łapać i wieszać kazałem. Nad bezpieczeństwem kut' waszych ja czuwałem. W salamliku moim kroata każdy gościem był miłym. Czy nie tak?

— Tak, effendim... — odrzekł Czolniez, pochylając się i dłoń do piersi przyciskając.

— Alem na was zpod oka patrzył i nastawiałem w stronę waszą uszy moje. Tak trzeba, ja taki: nie dowierzam koniowi, na którym jeżdżę, nie siadam na niego bez wędzidła. I ty dżanem, nie siadasz?

— Słowo twoje każde, effendim, wchodzi do duszy, jak miód do ust... — zauważył Czolniez,

— O wszystkim, co się u was robiło i mówiło, wiem. Zrobiliście *szurum-burum* za sprawą młodego Erdödiego i zebraliście się w Klimowacu raz: myślałem, że się na tem skończy. Ale się nie skończyło. Przychodzę więc, ażeby was ochęlnać. . . . Ochętnam, do Sisaka powrócę i znów będziecie mieli *rahat*... Rozumiesz.

— Effendim... — odrzekł Czolnicz, palec podnosząc. Do tego, ażebym pełne mądrości słowa twoje dokładnie zrozumiał, albo ja za ciemny jestem, albo słowom twoim braknie słówka jednego.

— Mów: jakiego?

— Powiadasz, że nas ochęlnasz; nie mówisz jak?

— To od waszej dobrej woli zależy: inaczej się chełzna konia ujeżdżonego i łagodnego, inaczej narowistego. Niech zebrani w kuci młodego Erdödiego plemicze i Erdödi z nimi bez puszek wyjdą i tu przede mną gromadą staną, ja z pośród nich zakładników wybiorę, resztę wolno puszczyć i do Sisaka spokojnie powrócę.... E?... czy rozumiesz teraz?

— O! teraz każde słowo twoje patoką się mi w duszy rozpływa.

— Wracajże i plemiczom słowa moje powtórz.

— Dobrze, effendim. A jeżeli?

— Jeżeli co?

— Znarowią się oni?

— Powiedz im, żeś moc wojska i dwa topy widział. Nie powiadaj im więcej nic. Pókim dobry, tom dobry, ty wiesz to najlepiej. Giaura nawet głaszcę i mówię do niego: dżanem; ale jak się rozgniewam, mówię: dżanabet i każę na powrozie za szyję prowadzić. Jeżeli przeto plemicze słowo dżanabet i powróż wolą, niech się narowią. Zostawiam im do namysłu czas. Tu, pod tem drzewem czekać na nich będę godzin dwie. Rozumiesz?... rozumiesz wszystko co do słowa?...

— Wszystko, effendim.

— Wracajże teraz, dżanem.

Skinął. Jeźdźcy, co Czolnicza eskortowali, do koni poskoczyli. Czolnicz wstał, kłaniał się tyłem jak etykieta nakazywała, cofał się i, gdy konia dosiadł, usłyszał jeszcze za sobą agi wołanie:

— *Ur-alla!*

Wódz turecki wyprawił go z życzeniem drogi dobrej.

Powracając, znów Czolnicz czynił przegląd i obliczenie sił zbrojnych i dostrzegł braku jednego, a mianowicie: jaszczyków z amunicją przy

działach. Amunicyi przeto być musiało nie więcej, jak w skrzyniach przy przodkarach. Dodało mu to otuchy. Oddziały, wzdłuż drogi rozstawione, nie wydały mu się zbyt znaczne. Obliczał siłę na głów 500 do 600, to jest tak, jak Toma, którego stary Deszicz wyprawił był na wywiady. Siła ta, aż nadto dostateczna do zdobycia opalisanego dworu szturmem, nie była jednak tak znaczną, ażeby się przeciwko niej godzin dwadzieścia cztery, a nawet dwa razy dwadzieścia cztery, bronić nie było można. Obrona polegała na waleczności obrońców, których liczba nie wynosiła ani w części czwartej liczby napastników. Waleczność atoli rozwinąć należało w stopniu bardzo wysokim, napastników bowiem wartość potęgowała ta okoliczność, że hufce ich składały się przeważnie z albańczyków, ludu, idącego w ogień, jak się idzie na wesele. Reszta byli to zejбеки, którym, pod względem wartości bojowej, nie także do zarzucenia nie było. Plemicze przeto, w klimowackim zamknięci dworze, trudne przed sobą mieli do rozwiązania zadanie. Czolnicz to widział i, kiedy za powrotem do dworu z konia zsiadł i w otoczeniu plemiczów się ujrzał, nie omieszkał wrażeńami z nimi podzielić się otwarcie. Powiedział im, czego od

nich aga się domaga. Propozycya ta przyjętą została sarkaniem głośnem i klątwami.

— Majka niegowa :... Niedoczekanie jego !... tureczyn !... bisurman !...

— Macie przed sobą albańczyków i zejbeków.

— Ilu ich jest ?

— Setni pięć, sześć.

— A nas ?

— Obliczenie pobieżne plemiechów, ich pachółków, sielaków obecnych, domowników klimowackich, dało w rezultacie głów do stu dwudziestu.

— Aleśmy opalisadowani !... — odezwał się jeden.

— Liczyć nie na palisady, ale na serca, w których jeżeli zające siedzą w razie takim zaniechajmy próżnej obrony, a chodźmy raczej do agi, uprzedzając gniew jego.... Aga zakładników sobie wybierze i będziemy mieli spokój.... Na co to wroga gniewać ?... Spodlimy się trochę : co to szkodzi !... Człek podły i człek niepodły, człowiekiem jest koniec końców.

— Ja się podlić nie chcę.. — odezwał się ponuro Lajosz.

— Ani ja ! ani ja !... — podchwyciło głosów kilkanaście.

Czolnicz okiem powiódł i, poznawszy, że słowa

te przeważnie z ust ludzi młodszych wyszły, odrzekł :

— Młodzi jesteście, dzieci nie macie : nie macie komu imienia w spadku po sobie zostawić. Ale my, starzy, — zaczął, — cedząc wyrazy, — nam chodzi o to, ażeby nas dzieci nasze...

— Przeklinały!... wybuchnął plemicz jeden, siwiejącą okryty czupryną.

— Ażeby były, jak my, podłe... — poprawił Czolnicz.

— Nie! nie! *nie tiemo!*... — odkrzyknięto głosem stujęczynym razem.

— Wyginać możemy co do nogi... — reflektował.

— Wyginiemy!... to co?

— Zostanie po nas przykład, jak to się imienia uczciwego broni!... — ktoś się odezwał.

— Zostanie po nas pamiątka!

— Przynajmniej, — zawołał jeden głośniej, aniżeli inni, — grobów naszych swoi nie oplwają!

— Ale albańczyki, zejбеки?... — Czolnicz na to.

— Nie damy się!... — odpowiedział okrzyk jednogłośny.

— Kiedy tak, — odrzekł Czolnicz drżącym nieco od wzruszenia głosem, — to... niechże wam Pan Bóg dopomaga!



— A ty?... — zapytał go jeden!

— Ano... i ja się będę do puszkę przykładał.

Zwrócono się następnie do Lajosza, jako do gospodarza, domagając się wyznaczenia posterunków i zabrano się gorliwie do czynności, dotyczących się wzmocnienia obrony. Jedni ciągali dyle i zatarasowywali otwory, drudzy podsypywali okop, inni przysuwali pniaki i wynosili ze dworu stołki, celem ułatwienia sobie strzelania przez wierzech palisad w miejscach, w których strzelnice wydawały się niedogodne. Czynność wrzała. Lajosz ręki przykładał i dawał rozporządzenia.

Godzin dwie lotem upłynęło.

Z boku drogi, zpoza firanki zarośli, wysunął się oddział zbrojny i stanął. Z oddziału wyszedł wojownik jeden, chłop rosły, orężem obetkany i jął wymyślać kroatom:

— O wy, dżanabety, skernadżije, pezewenki! O wy bliźnięta szczeniąt i psy sami! Nie znajdzie się pomiędzy wami ani jeden, coby z dziury wyleżeć i ze mną deli-Musą, deli Achmeda synem zmierzyć się chciał!

Wyzywaniu temu towarzyszyła kołatka, która odzywając się w szeregach, znaczyła takt wyrazów, wygłaszanych z akcentem śpiewnym.

Deli-Musa gadał, powtarzał się, ręką wymachiwał, wreszcie strzelbę zza pleców schwycił, w kierunku palisad złożył się i dał ognia.

Był to strzał najpierwszy, który w powietrzu zabrzmiał, echa pobudził i w Dubrowacu do ucha niczyjego, jeno Marty się dostał.

Po drugiej stronie drogi pokazał się oddział drugi, pozycją zajął i, jak pierwszy, wyzywacza z szeregów swoich wysłał. Nastąpiło powtórzenie sceny poprzedniej bez odmiany najmniejszej. Kółka takt wybębniała, deli się wygadał, strzelił i do szeregów powrócił.

Wyzywy te nietylko wyzywanie na celu miały. Łączyły się z niemi praktyki czarodziejskie. Poprzedzały je wróżby, zamawiania i zaklinania. Kule, przez delich wystrzelone, zakłęte były i miały, w mniemaniu rycerzy Ałłacha, moc naprowadzania trwogi na giaurów. Gdy przeto trwoga naprowadzoną została, rozpoczął się atak na prawdę. Hufiec jeden, z toporami do wyrąbywania palisad w rękach, ruszył biegiem naprzód, gdy równocześnie rozwinięte na prawo i na lewo onego szeregi, ognia sypać poczęły. Obrońcy w punkt zagrożony się zbiegli i hufiec w topory zaopatrzony, salwą gęstą przyjęli. Kolumna atakująca wstecz się rzuciła, unosząc ze sobą za-

bitych i rannych, co stanowi regułę, od której albańczycy nie odstępują i która na waleczność ich rodzaj pęt wkłada. Cofnęli się. Linie rozwinięte wciąż strzelały. Kroaci odpowiadali. W sposób ten wytworzył się ów grzechot ustawiczny, który się echem głuchem w Dubrowacu odbijał.

W czas jakiś, — w godzinę może — po ataku pierwszym, nastąpił drugi, ze skutkiem takimże samym. Kolumna tym razem bliżej podszła, ale też większe straty poniosła. Unosić musiała ze dwudziestu zabitych i ze dwa razy tyle rannych.

Po drugiej tej próbie, zdawało się, jakby turcy na strzelaninie samej poprzestawać chcieli. Hufiec nowy atakujący nie pojawiał się, ogień nie ustawał i, mimo, że oblężonym szkodził niewiele, oznaczał jednak ze strony nieprzyjaciela zamiar jakiś, którego dokonanie strzelanina przysposabiała. Zamiar ów Lajosz, równie jak z plemiczów każdy, odgadnąć się starał. Odgadnięcie nie przedstawiało trudności wielkiej. Strzelanina miała na celu nużenie obrońców, ażeby znużeni czoła skutecznie stawić nie mogli, gdy nowy hufiec do szturm pójdzie. Dla zapobieżenia temu, Lajosz dwie trzecie ludzi od palisad odciągnął i spoczynek im dawał. Jedna trzecia ogień

utrzymywała. Trwało to do zmroku. O zmroku jednak, za widna jeszcze, na drodze pojawiło się działo jedno, obok niego stanęło drugie.

— Topy!... — rozległ się wśród obrońców okrzyk.

— Więcej to huku, jak szkody sprawia... — powtarzał Lajos, obiegając palisady.

Huku się tego spodziewano. Lecz czas mijał, zmrok gęstniał. Pierwsze działo strzeliło w tej właśnie chwili, w której Marta ścieżkę zmyliła i w parów wpadła. Oszczędziło to jej wrażenia silnego — przerażenia zbyt może gwałtownego. Wypadki się niekiedy w porę zdarzają. Po wystrzale pierwszym nastąpił wnet drugi, po drugim trzeci i czwarty, piąty i szósty — cztery pierwsze kulami, dwa ostatnie kartaczami i wnet słyszeć się dał okrzyk bojowy śpieszącej do szturm kolumny jednej i drugiej.

— Nie dajmy się! — rozległy się okrzyki za palisadami.

— Buławy! topory! ukrop!... — zabrzmiały wołania.

Obrońcy, palisad w innych częściach nie ogalając, skupili się w dwóch punktach: przy bramie i od bramy nieopodal. Tu i tam związał się niebawem bój ręczny. Napastnicy się darli,

dzidy nastawiając; broniący się odpychali, strącali, łby ludziom pojedynczym rozwalali, kipiátkiem w wiadrach i garnkach wynoszonym szeregi polewali. Okrzyk „*udri ga!*“ przez kroatów powtarzany, okrzyki wojenne tureckie, jęki chrzęsty, zgrzyty, stuki, piski, wystrzały, zlewały się w zgiełk mętny, którego do niczego w naturze przyrównać nie sposób. Ten krwią chluszczący tłum ludzi, w śmiertelnych zapasach zczepiony, wił się i drgał, niby węzowisko, na miejscu jednym i tem samem i byłby się wił, kto wie jak długo jeszcze — i byłby się może zakończył na niekorzyść plemiczów kroackich, gdyby Lajoszowi nie strzeliła do głowy myśl szczęśliwa zaatakowania napastników z boku i z tyłu. W ciągu największego walki natężenia, porwał ze sobą ludzi ze dwudziestu, wyprowadził ich krytem przejściem na zewnątrz palisad, zaszedł, ognia dać kazał i w momencie tym z krzykiem ogromnym na atakującą kupę z towarzyszami się rzucił. Niespodziana ta dywersya walkę rozstrzygnęła. W cieniu wieczornym albańczycy i zejбеки ocenić nie mogli siły, jaka ich z boku zaczepiła, od palisad odskoczyli i pośpiesznie cofać się poczęli, odprowadzani wystrzałami zza palisad, które ich tembardziej do pośpiechu nagliły.

Strzelanina trwała jeszcze czas jakiś, zmniejszała się jednak, rzadła, rzadła i ustała.

Nie ustała atoli praca tego nadzwyczajnie pracowitego dnia. Śród obrońców znalazło się zabitych, zwłaszcza zaś rannych sporo: tych osobno a ucziwie złożyć, tym opatrzanie dać należało. Za palisadami, na zewnątrz, zabici i ranni kupami leżeli. Zaczęto opatrywanie od swoich i na swoich skończono, a to dla racyi podwójnej: raz dla tego, że w kilku miejscach palisady reparacyi wymagały, powtóre dla tego, że ze strony tureckiej nadjechał, wkrótce po odparciu ataku ostatniego, parlamentarz z żądaniem zabrania trupów i rannych. Z parlamentarzem rozmówił się Czolnicz, który, przez wzgląd na nadzwyczajność położenia, żądaniu uczynił zadość pod warunkiem, że przez czas uprzątania pola bitwy w rękach kroackich pozostawać będzie bimbasza, jako zakładnik. Przybyli turecy z pochodniami, zabrali co do zabrania było, odeszli i około północy dopiero pomyśleć można było o spoczynku. Lajoszwarty porozstawiał, na spoczywanie miejsca powyznaczał; plemicze się porozkładali; przyległ i on, ale sen się powiek jego nie miał. Owładnęło nim znużenie i wzruszenie; to ostatnie jednak przeważało nad tamtem i zmróżyć mu powiek nie

dawało. Nie tylko spać, ale uleżeć nawet nie mógł. W godzinę, po północy, na nogach już był. Chodził, stawał, nasłuchiwał, rozglądał się. Słuch przynosił mu jeno do uszów chrapanie śpiącej szlachty; wzrok to błędził po niebiosach, na których się księżyc kołysał, to zatrzymywał się na Ostrym Wrechu, który świecił strzelającym ku niebu słupem płomienia.

— Nie wierzyć-że tu w sympatyę.

Podczas, kiedy Lajoszowi wzruszenie sen odbierało, w tej chwili Marta się z parowu wydostawała i wielkiem jest podobieństwo do prawdy, że śród nawału myśli, jakie się młodemu człowiekowi po głowie snuły, przewijała się myśl o tej, o której był przekonany, że na niego czeka. Zdziwiłby się, gdyby się dowiedział, że ona idzie do niego. Dowiedzieć się atoli o tem nie mógł, — od kogóż bowiem? od księżycy chyba, nie mającego zwyczaju udzielania ani tego rodzaju, ani żadnych innych wiadomości i dlatego zapewne przez kochanków chętnie za świadka branego. Księżyc spokojnie płynął i blaskiem srebrzystym świecił, przygaszając gwiazdy; po niebie się wałęsały chmurki białawe, w powietrzu panowała cisza: noc dobiegała ku końcowi, — uczuwać się to już dawało; Lajoszowi przychodziło na myśl

pobudzić towarzyszy i powołać ich do pogotowia bojowego, wiedział bowiem, że pora przedporankowa do napadów jest najsposobniejszą, gdy nagle:

— Co to?... — zawołał, drgnąwszy, jakby uderzony prądem elektrycznym.

Okrzyk ten i drgnięcie wywołał w nim traskot wystrzałów broni ręcznej.

Ku palisadom poskoczył, na zewnątrz wyjrzał i oczom jego odsłonił się na lewo widok łańcucha połysków, padających w tym kierunku, w którym turcy obozem stali.

— Do broni!... — krzyknął, zwracając się do plemiczów śpiących. Do broni!

Szlacheccie się zrywali, oczów nie przecierali, do palisad biegli.

— Nie tędy!... — wołał. — Do bramy! Za mną.

Do bramy poskoczył i sam ją co rychlej na ścieżaj otworzył.

Wojownicy się zbiegali. Za bramą się uszykowali.

— Naprzód!... *na jurisz!*

Hufiec biegiem ruszył i, ubiegłszy kroków kilkaset, zatrzymał się, dał ognia.

— *Na jurisz!* . . . — zagrzemiał głos z lewej strony.



— *Na jurisz!*... — Huknęli wraz z Lajoszem plemicze.

Biegli, biegli i ten z mieczem, ów z nożem, inny z toporem, inny znów z maczugą w rękę, skoczyli ławą na kupę mętą, która śpieszyła drogą do Sisaka.

— *Udri ga!*

Wojownicy kroaccy rąbali, tłukli, kłóli.

Kupa, zbita zrazu, rwać się i rozpryskać po-  
częła i strachem panicznym gnana, oślep przed  
siebie pędziła.

Nastąpiła gonitwa. Hufiec szlachecki' rozsypał się i znalazł w takim stanie, że, gdyby się turcy opamiętali i zwrócili, mogliby nad plemiczami łatwe odnieść zwycięstwo. Opamiętać się i zwrócić przeszkadzał im strach paniczny, — strach ów niewytłómaczony i niepowściągniony, który walecznych w tchórzów zmienia i ociężałych uskrzydla. Albańczycy i zejbecki oręż ciskali i zmykali; jazda koni odbiegła; niektórzy rzucali się w stronę i szukali schronienia w górach; o zwrocie zaczępnym ani myśleli.

Myśl o zwrocie zaczępnym nie na wieleby się turkom przydała, albowiem, luboć plemicze w rozsypkę poszli i zgnieść ich byłoby łatwo, hufiec ten jednak, który ich z objęć snu wydarł,

i wypadnięcie ich ze dworu klimowackiego spowodował, zachowywał porządek ściśle wojskowy. Kiedy oni przez obóz turecki nakształt huraganu się przesunęli, hufiec ów niewielki, setki głów nieliczący, na drodze się uszykował i posuwał się za ścigającymi tak, że gdyby się ścigający w uciekających zmienili, znaleźliby w nim osłonę.

Ścigający nie w uciekających, ale w powracających niebawem się zmienili. Tryumfatorowie, jedni pojedynczo, inni po kilku, zziajani i zasałani, ścigali się do gromady, która się formowała opodal trochę od hufca owego i przedstawiała kupę ludzi leżących. Jak skoro który przychodził, wnet przysiadał, pochylał się, wyciągał i oddech sobie regulował, sapał a dmuchał. Nic innego słychać nie było, jak wydymane z płuc silnie odgłosy:

— Auh... uf... phu... itp.

Rzekłbyś, miechy kowalskie pracują.

Wreszcie jeden z plemiczów głowę podniósł i, oglądając się, tonem zapytania rzucił:

— Lajosz?

— Inny odrzucił:

— Lajosz... Aha!

— Ależ junak!... — ktoś się odezwał.

— Junak rzetelny... — rzekło głosów kilka.

Lajosza nie było. Nieobecność jego atoli nie-  
długo trwała. Nadszedł, — i on także zaspany  
i zziajany. Gdy do gromady leżącej dotarł, ple-  
micze, jeden po drugim dźwigać się i otaczać go  
poczęli, wypowiadając mu powinszowania i ad-  
miracyą.

— *Ty si prawy junak, prawy witeź.*

— *Vidisti et vicisti?*... Juliusz Cezar by się  
nie popisał lepiej.

— A jakieś ty to urządził!... — zaczął jeden.  
Spałem jak zabity. Budzę się i nie wiem, o co  
chodzi. Idę na *jurisz* ze snu jeszcze dobrze nie  
rozbudzony. Pokazuje się, — zakończył senten-  
cyonalnie, — że najlepiej do boju prowadzić lu-  
dzi zaspanych.

— O tak... — potwierdziło kilku, a jeden  
rzekł: — albo pijanych.

Lajosz półuchem jeno słuchał składanych so-  
bie powinszowań i pochwał. Uwaga jego cała  
zwróconą była na stojący w szyku bojowym hu-  
fiec, ku któremu szedł powoli, pociągając ze so-  
bą otaczającą go, a pośpieszać mu przeszkadza-  
jącą gromadę. Zatrzymać się nawet musiał i,  
dla uwolnienia się od pochwał, a zarazem dla  
przetorowania sobie drogi, zawołał:

— Nie mnie się to wszystko należy! nie mnie!

— Nie tobie? Komuż?... — odezwano się ze stron wszystkich.

— A o!... — palcem wskazał. — Im!

Słówkiem tem rum sobie otworzył, przodem poszedł i przed szeregiem się zatrzymawszy, rękę wyciągnął i wygłosił:

— Oto zbawcy nasi!

Okiem powiódł i z boku starca ujrzał. Widok ten sprawił na nim wrażenie takie, jakiego ludzie, poczuciem piękna artystycznego obdarzeni, doznają wobec arcydzieł. Wrażenie to nazywa się uniesieniem. Lajosz doznał tego na sobie. Uniesienie podniosło go niejako, porwało, naprzód pchnęło i do kolan starca rzuciło. Obejmując, broniącemu się od tego, nie mniej atoli wzruszonemu człowiekowi kolana, powtarzał:

— Ojczy, ojczy!...

Zerwał się wreszcie, wyprostował się i z podniesioną do góry ręką głośno a dobitnie mówił:

— Oto on, on... Gaspar Deszicz, on nas wybawił!... Gdyby nie on! on!...

— Żiwio Gaspar Deszicz!... — huknęli plemicze głosem jednym.

— On nas poprowadził!

— Żiwio nasz wódz, kapitan, wojewoda!

Jedni wołali „wódz“, drudzy „kapitan“, inni

„wojewoda“. Dobierali dla niego tytułów, jakie komu wydawały się najodpowiedniejsze. Byliby go obwołali banem, królem, gdyby to któremu na myśl przyszło — tak zapął, ów często zły doradca, wielkim był w tej chwili — tak wszystkimi razem i każdym z osobna owładnęło w momencie tym upojenie tryumfu.

Deszcz ze strony swojej uczuł się wzruszonym do głębi. Uczuł zapął i on, tembardziej, że do okrzyków, które go wodzem mianowały, dołączyły się wyrazy:

— Ojczyzna!... obrona!...

Coś on mówił, ale go słychać nie było. W oczach mu błyszczały łzy, które sobie rękawem obcierał. Razy kilka zaczynał: „Ojczyzna“, lecz mu wyrazy następne w gardle niejako ugrzęzały. I do ładu jakoś, z powodu wzruszenia i zapалу ogólnego, trafić nie można było.

Ach! te upojenia tryumfu. Są one rzeczą ludzką; przytrafiają się; sprowadzają momenty podniesionej do potęgi najwyższej rozkoszy, której kto nie zaznał, ten rozkoszy istotnej nie zna. Ludzie szukają jej i znajdują w walkach, takich lub innych, wśród których walka za ojczyznę bodaj czy nie najpierwsze zajmuje miejsce.

Do ładu tedy trafić nie można było. Ten pe-

rorował, ów krzyczał, inny opowiadał, inny znów płakał, a inny jeszcze śmiał się i byłoby się to dłużej ciągnęło, gdyby nie Czolnicz. Czolnicz się do Deszicza docisnął, słów parę z nim zamienił i, rękę, a wraz z ręką głos podnosząc, donośnie zawołał:

— *Tiutitie!*...

Wołanie „milczcie“! powtórzyć musiał razy kilka, zanim milczenie sprowadził. Gdy takowe nastąpiło, w następujące przemówił słowa:

— *Nobiles ac dignissimi!* Gaspar Deszicz dowództwo nad nami przyjmuje.

— *Ziwio!* — przerywać poczęto.

— Cicho!... krzyknął. — Gaspar Deszicz dowództwo przyjmuje, pod warunkiem jednak, że go tak będziemy słuchali, jakby przez niego sam Pan Bóg przemawiał.

— *Otiemo!*... — przerwano

— Cicho!... — powtórzył i dalej ciągnął: — pod warunkiem oraz, że będziemy języki na wozdy trzymali.

— *Otiemo!*...

— No... teraz on nasz, a my jego, jako prawie i wierne tej skołatanej ojczyzny naszej dzieci. *Zywio Kroacja!*...

Powszechny. potężny, grzmotowy okrzyk w do-

linie zabrzmiał, jakby na powitanie słońca, które w chwili tej zpoza góry się wychyliło i blaskiem dolinę zalało. Od łamiących się w kropkach rosy promieni słonecznych dolina brylantami się osypała. Kwiaty pachnęły; skowronek pieśnią dzwonił; Deszcz rozporządzenia dawał.

Rozporządzenie jego jedno z najpierwszych dotyczyło się zdobyczy wojennej, — zdobyczy bardzo cennej, polegającej przeważnie na orężu, koniach i dwóch działach. Znalazły się artykuły i inne jeszcze, jak np. : namiot Ali-agi i w namiocie sprzęty różne; o to jednak wodzowi staremu mniej chodziło. Oręż zbierać i do dworu znosić kazał, a równocześnie pchnął gońców w różne strony z wezwaniem, ażeby wszyscy broń nosić zdolni, do Klimowacu śpieszyli. Plemicze obecni mieli konie; sformował z nich jazdę, część której wyprawił drogą do Sisaka po język; lud zaś pieszy porządkował, dzielił i nauczał, wyznaczając starszyznę w dziesiątkach, pięćdziesiątkach i setkach. Do dział przystawił obsługę i zarządził tymczasowo brakowi amunicyi, nakazawszy narąbać grubych siekańców do zastępowania niemi kartaczów. Rozporządzenia te wszystkie miały na celu wyprawę na Sisak, z której się nie zwierzał nikomu, z wyjątkiem Lajosza,

pełniącego przy nim funkcją podręcznego — adjutanta i szefa sztabu zarazem.

— Niebawem, — mówił, — dostaniemy języka, wyruszym w pochód z południa. Chciałbym jeno, — dodał, — dać znać do Dubrowaca, ażeby tam na mnie nie czekali.

Lajosz przypomniał sobie, że tam czekają na niego.

— Ja! — podchwycił.

— Co?... — zapytał starzec.

— Do Dubrowaca skoczę.

— Skocz... — odrzekł i ze śmiechem dodał: Zdziwią się tam trochę, gdy ciebie zobaczą, ale... tam ciebie wspominano. A nie masz potrzeby do Klimowaca wracać. Idź ztamtąd wprost na drogę sisacką.

Lajosz z pośpiechem wielkim wybrał się i ruszył ścieżką przez górę, zostawiając oddział w pogotowiu do wymarszu. Deszicz zalecił żołnierzom spoczynek.

— Nie będę was w pochodach i bojach oszczędzał, — powiadał, — kiedy więc się trafi wam godzinka do poleżenia, leżcie.

Okolo południa podjazd z wiadomościami wrócił. Wiadomości były pomyślne. W Sisaku panowało zamieszanie. Starzec kazał wnet stawać,



oddział do pochodu uszykował, ruszył i, jadąc obok kolumny, spotkał, w punkcie, gdzie się droga klimowacka z dubrowacką schodziła, Lajosa. Pozór młodego człowieka znamionował rozpacz.

— Niema... — rzekł przez zęby, z przyciskiem, gdy się ze starcem zrównał.

— Kogo?... — zapytał tenże.

— Jej....

— Jej?... kogo?

— Marty.

— Gdzież się ona podziała?

— Znikła w nocy i... niema... niema.

Starzec mu w oczy pilnie popatrzył. W oczach Deszicza zamigotał połysk, niepokój oznaczający. Popatrzył, westchnął, głowę wstrząsnął i rzekł:

— Na Sisak idziemy.

---

## IX.

Ali-aga, po ostatnim nieudalym szturmie, ściągnął setnie wszystkie i kazał im obozem stanąć. Jako muzułmanin rzetelny, nie zmartwił się niepowodzeniem. Ałłach tak chciał. Rozgniewało go to atoli i rozjątrzyło; zachodziła bowiem okoliczność jedna szczególna, która powodzenia w tym razie pragnąć nakazywała. Chodziło o karierę Ali-agi. Stanowisko, jakie zajmował, acz zaszczytne i dochodne, utrudniało mu przechodzenie w hierarchii służbowej ze szczebla niższego na wyższy, a to dla tej przyczyny, że za zbyt było oddalone od ołtarza głównego. Na granicy, do tego w zakątku takim, sto lat mógł pozostawać i agą zestarzyć się i umrzeć. Ze szczebla na szczebel przenosili się ci jeno, co w sposób taki lub inny łaskę uzyskać i uwagę na siebie zwrócić mogli. Faworyci szli w górę szybko; inni sobie dostojęństwa kupowali; trzecia, najgorzej nadzielona i

w najtrudniejszym znajdującą się położeniu kategoria obejmowała tych, których awans zależał od zasługi. Ci ostatni odznaczyć się musieli, jedynie bowiem czyn świetny a głośny, był w stanie nazwiska ich do uszów padyszacha zanosić. Nie było to jeszcze wszystko; było już jednak coś, — pozostawało bowiem rozgłos wesprzeć trafnie ulokowanemi upominkami i wówczas droga się otwierała do szczeblowania po stopniach hierarchicznych. Ali-aga do tej ostatniej należał kategorii. Nagromadził on upominki i czekał na sposobność odznaczenia się.

Sposobność mu się nastęczyła, — sama niejako w ręce wlażała, pod postacią zabrania i odesłania wielkiemu wezyrowi plemiczów kroackich, którzy zamierzali wszcząć ruch, ogromnie dla wysokiej Porty niebezpieczny. Ruch w zarodku zgnieciony! Kto to sprawił? — Ali-aga. Fakt tego rodzaju ujśćby nie mógł wiadomości padyszaha. Ali-aga widział już siebie paszą, — paszą najprzód zwyczajnym, następnie dwóchtulnym, dalej trzechtulnym, wezyrem w końcu, — kto wie. Więc też go w ogromne wprowadziło rozdrażnienie odparcie szturm pierwszego.

— *Czapki*!... — syknął przez zęby, gdy go o tem zawiadomiono.

Obelgę tę wyrzekł pod adresem albańczyków. Rozdrażnienie jego wzrosło po odparciu szturm drugiego.

— Im (t. j. albańczykom), kądziele, ale nie oręż w ręku trzymać!... Dżanabety!

Kazał wówczas działa na pozycyi ustawić i świeże setki wysłać. Gdy setki ruszały, sam do nich wyszedł i słów kilka przemówił:

— Nie bądźcie wy, — rzekł do żołnierzy, — czapki i dżanabety i przynieście mi łby tych małąp, co w kurniku tym siedzą.

Kurnikiem nazwał dwór klimowacki, małąpami — plemiczów. Przekonawszy się, że nie może tych ostatnich wezyrowi żywcem posłać, powziął zamiar dostawić mu głowy ich. Wydało mu się to nawet lepszem. Zyskiwała na tem głośność czynu.

— Idźcie!... — machnął ku żołnierzom ręką i bez łbów gjaurskich mi nie wracajcie.

Trzecie przeto odparcie szturm we wściekłość go wprowadziło — w tę wściekłość niemą, co to się nie miota, ale w sobie skupiona, tem jest silniejszą.

Posłał do Sisaka po amunicją do dział, odkładając szturm do dnia następnego. Uważał z góry sprawę tę za rozstrzygniętą. Dwór klimo-

wacki artyleryi stawić czoła nie mógł. Od paru wystrzałów trafnych palisady rozsypać się musiały; kartaczów nie wytrzymają obrońcy. Spokojnym więc był o następstwa, które mu się wydawały niechybne i dla których śpieszyć się zbytecznie nie potrzebował, aczkolwiek bowiem wiedział na Ostrym Wrchu, ogień alarmowy i wiedział znaczenie onego, nie przypuszczał wszakże, ażeby odsiecz wcześniej nadciągnąć mogła. Liczył na to dni parę przynajmniej; do uporania się zaś ze dworem, przy spóldziałaniu artyleryi potrzebował godzin paru. Z tego powodu ze spokojem całym oddał się spoczynkowi. Z wieczora suto powiecerzał, po wieczerzy rozebrał się i do snu się wygodnie ułożył. Spał w najlepsze, kiedy stary Deszicz obóz zaatakował. Tak mu się coś podobnego niemożliwem wydawało, że w pierwszej chwili wziął to za rojenie senne i spać dalej próbował. Zastanowił go zgiełk. Ucho nastawił i jeszcze sam sobie nie wierzył, gdy do namiotu wpadł służebnik z okrzykiem :

— Psy wściekłe w obozie!

Zerwał się i śpiesznie odziewać się począł; odział się jako tako; schwycił pistolety i handzar; wybiegł w zamiarze wskoczenia na koń i powierzenia ratunku osoby swojej nogom końskim,

— niestety, konia nie było. Obejrzał się. Oczy jego uderzył popłoch; ludzie się snuli, kręcili, a tuż obok niego kilku chyłkiem biegło w kierunku, z którego sobie sprawy nie zdawał. W pośpiechu schylił się i on i ruszył za innymi. Wydało mu się, że nie lepszego do czynienia nie pozostaje. Biegł, dokąd biegło kilku przed nim i kilku za nim, darł się przez krzaki i zarośla, utykał na kamieniach, podnosił się i pomykał, nie pytając o nic nikogo, — nie wiedział nawet kto są towarzysze jego i nie troszczył się o to. Złączył go z nimi instynkt samozachowawczy, szedł więc za popędem instynktu tego, który wywołał potrzebę uciekania i krycia się. Oni uciekali — i on z nimi; oni się kryli — i on z nimi. Trzymał się ich póki biegli gruntem równym; nie odstąpił od nich, gdy się pod górę wspinać zaczęli. Śpieszyli, — śpieszył i on. Pośpiech ich wówczas dopiero folgować począł, gdy ucichła strzelanina. Kroku zwolnili, czas jakiś jeszcze szli, wydostali się na miejsce skałami osłonięte i krzewami obrosłe. Poranek rozświtał zupełnie; człęk na czele idący stanął i z piersi, niby z miecha, wytchnął: „Uf!“

Zbiegowie w gromadkę się zeszli, — w oczy sobie spojrzeli.

Zrazu spoglądali jedni na drugich, robiąc pierściami, otwierając gęby i przyciskając sobie dłońmi w okolicy serca. Było ich siedmiu, wliczając w to agę, który w gronie tem poznał: dwóch służebników swoich, jednego bulukbaszę, imana i dwóch zejbeków. Dychali, wydychiwali się i, gdy już przemawiać mogli, odzywali się jeden po drugim:

— A, aga-effendim?

Zapytania tego znaczenie na tem polegało, że budził się w nich wyrzut sumienia, spowodowany uważaną powszechnie za występek ucieczką. Uciekli: to i występek i wstyd, dla muzułmanów zwłaszcza, u których tchórzostwo wobec wiary w przeznaczenie wytłómaczyć się logicznie nie daje. Jak tchórzycy może człowiek, gdy los jego jest z góry zapisany? chyba, że stchórze Alłach na rachunek, jak śmierć i wszystko inne zapisuje. Wytłómaczyć się da ono w sposób naciągany. W istocie rzeczy atoli, było to stchórze, które sumieniom muzułmanów potrosze dogryzać poczęło, jak skoro pędzące ich w pięty niebezpieczeństwo minęło. W chwili tej nagle, niby skarb na bitej drodze, znalazło się dla nich usprawiedliwienie. Stchórzył i aga! Dla tego to każdy zosobna z głębi piersi, z akcentem zapytania, wydychiwał:

— A? aga-effendim?

Agi położenie nie ciekawem, a przytem w stopniu wysokim drażliwem było. Czyż dużo upłynęło godzin od chwili, w której on, chroniących się przed śmiercią pewną wojowników wymyślał od czapkinów i dżanabetów i lżył ich odsyłaniem do kądzieli? Na zapytanie przeto nie odpowiadał, udając, że mu oddech mowę tamuje. Za niego odpowiedział służebnik ten sam, co pół godziny temu oznajmił mu, w namiocie napisać na obóz. Odpowiedział wyrazami temi samemi, któremi oznajmienie wygłosił:

— Psy wściekłe... — rzekł.

Wyrazy te zawierały w sobie tłumaczenie i usprawiedliwienie, nie wobec koranu wprawdzie, który psów wściekłych od reguły ogólnej nie wyjmuje, ale wobec sumienia własnego zbiegów.

— Zaiste... psy wściekłe!... — potwierdził iman.

— Psy wściekłe!... — potwierdził bulibasza.

Aga oczy świdrem ustawił i po towarzyszach niemi powiódł.

— Milczkiem, z ogonami zwieszonemi podeszły... — słowa bulibaszy.

— Bez szczekania... — dodał iman, przysiadając.

Za przykładem imana poszli wszyscy. Gromad-



ka zbiegów zasiadła w kółko i siedziała tak w milczeniu przez czas jakiś, wydychując z płuc powietrze w ilości coraz się zmniejszającej. Wreszcie się oddechy uregulowały. Gdy to nastąpiło, iman się trochę podniósł, chustkę z kieszeni wyjął, przed sobą ją na ziemi rozesał, powstał, obuwie z nóg zrzucił i, na chustkę wstąpiwszy, dłonie do uszów podniósł, ruszając ustami i przybierając postawę pokory uniżonej. Po chwili ręce na brzuchu złożył i oczy od czasu do czasu do góry wznosił; niekiedy zaś powieki zamykał i zdawało się, jakby nasłuchiwał. Niebawem też samo uczynił aga, bulukbasza, zejбеки i służebnicy. Gromadka rozbitków pogrążyła się w modlitwie, która nie była, jak modlitwa chrześcijańska, ani dziękczynieniem, ani prośbą, ale sławieniem Allaha i proroka jego, wyznawaniem go, powtarzaniem, jako on jest bogiem, a Mahomet prorokiem i przyjmowanie z góry, w pokorze, wyroków jego. „On wie, co czyni“. Na to rady niema.

Na podstawie tej zbiegowie, pokrzepiwszy sobie ducha myślą o zależności od woli Allaha, powinni by byli, po modlitwie, pójść dalej swobodnie. Nie uczynili wszakże tego. Przeciwnie— okazali o los swój troskliwość i niepokój, które-

go wyraz znalazł się w następującem agi zapytaniu :

— Gdzieśmy też to tu zaleźli?

— Ph... — odparł bulukbasza, człek najbardziej w gronie tem rozgarnięty. Wleźliśmy trochę pod górę.

— A tak, — odezwał się iman, — byliśmy na dole, a teraz już na dole nie jesteśmy.

— Prawda... — odrzekł aga, na imana wejście zwróciwszy. — Prawda, dżanem... wielka prawda.

Zdaje się, że aga żartował z męża, który był tłómaczem zakonu.

— Jesteśmy na górze.. — dodał tenże.

— Możemy wyjść wyżej jeszcze... — wtrącił bulukbasza.

— Na co?... — zapytał iman.

— Bośmy, zdaje się, wleźli tu nie na to, ażeby ztąd nie wylazić.

— Prawda twoja, dżanem, —odezwał się aga, — ztądby wyleźć potrzeba, ale... jak?

— Wyszukawszy wyjście jakieś...

— Jakie?

— Takie, na któremby nas psy wściekłe nie dopatrzyły.

— Tyś człek roztargnięty. Wyjście takie któż

wyszuka?... e?... — zapytał aga, głową w stronę bulukbaszy rzucając.

Bulukbasza głową pokręcił.

— Bądź nam, dżanem, przewodnikiem. Będziemy za tobą szli zdaleka, a ty, idąc przed nami ostrożnie, rozglądaj się na strony wszystkie i nam znaki dawaj.

— *Maszala...* — tonem uznania odezwał się iman, — mądrze powiedziano...

— Tylko że ja, — zaczął bulukbasza, — góry tej nie znam zgoła, nie wiem, zkad się ona zaczyna, dokąd idzie.

— Toć ta, co nad doliną... — aga na to.

— E... tak.. ale — bąkać począł i zawołał: — A! co będzie, to będzie. Trzeba, żebyśmy wyszli wyżej i ztamtąd się rozglądnęli, tędy bowiem, — ukazał w kierunku doliny, — schodzić nie możemy: trafilibyśmy na tych psów wściekłych, którzy...

Ucho nastawił; toż samo uczynili inni. Z doliny dochodził zgiełk uniesienia tryumfalnego.

— Dżanabety!... — syknął aga i dodał: — Bylibyśmy na nich gdzie na górze nie natrafili.

— Będziemy się pilnowali.

Trochę jeszcze posiedzieli i ruszyli. Bulukbasza wysworował się naprzód. Za nim, w oddale-

niu kroków kilkadziesiąt, pociągnęli inni i chyłkiem, kocim chodem, zatrzymując się a oglądając, pięli się ku szczytowi. Raz bulukbaszego widzieli, znów im z oczu zniknął, pokazywał się i znaki dawał. Zdarzało się, że wracać, naradzać się i kierunek brać inny musiał. Zdarzało się oraz, że się płoszyli, — coś się im przywidywało lub przysłuchiwało. Spłoszył ich szczególnie wypadek, który im się zdarzył w półgodziny, w godzinę może po rozpoczęciu poszukiwania wyjścia. O słuchy ich uderzył nagle krzyk, wydany tonem przerażenia. W stronę się wnet rzucili i w zarośla się wszyli.

— Aman... aman... — szepnął ze służebników jeden.

— Cicho!... — syknął aga.

Krzyk się urwał, następnie znów odezwał, ale przerywany; w końcu zmienił się w głośne, prędkie gadanie, co chwila się urywające i znów wszczynające.

Zbiegowie spoglądali po sobie wzrokami, w których się malowało zapytanie z zadziwieniem połączone. Zadziwienie pochodziło ztąd, że dostający się do słuchu ich głos, był głosem niewieścim, — brzmiał dźwięcznie i srebrzyście, mimo, że go akcent strwożonego gniewu cechował.

Z zadziwienia nie wyszli jeszcze, gdy usłyszel głos męski.

— *Gel burda!*... Co rychlej bywajcie!

— Achmet bulukbaszi!... — odezwał się z zej-  
beków jeden.

W rzeczy samej, był to głos jego.

— Chodźcież co prędzej!... — powtórzyło się  
wołanie.

— E!... — aga na zejbeków skinął.

Zejbeki poskoczyli, biegiem ruszyli i w ślad za nimi, niby w rezerwie, poszli: aga, iman i słu-  
żebnicy. Idąc w kierunku, z kąd głos dochodził,  
odkryli wkrótce istotę zdarzenia. Przedstawiła  
się ona oczom ich pod postacią dziewczyny, za-  
perzonej i zmęczonej, stojącej w otoczeniu bu-  
lukbaszy i dwóch zejbeków, wpatrujących się  
w nią z wyrazem łakomstwa i złościwości w oczach,  
jak się pantery w zdobycz wpatrują.

— Ot i zdobycz się trafiła!... — odezwał się  
bulukbasza, jak skoro aga stanął przed nim.

Aga dziewczynę od stóp do głowy zmierzył i  
spojrzenie na niej zatrzymał. Zatrzymał na niej  
spojrzenie iman i słuźebnik jeden i drugi. W po-  
stać jej wbiło się siedem par ocz. Chwilkę pano-  
wało milczenie, które przerwał bulukbasza.

— Idę, rozglądam się, — jął się opowiadać —

i spostrzegam ją. Stała tu, — miejsce palcem wskazał, — sama jedna. Gdym się przekonał, że przy niej nie ma nikogo, podszedłem, skoczyłem i pojąłem ją, jak kot ptaka. Zdobyć, no!...

— *Czok giuzel!*... — rzekł iman półgłosem.

— Choćby dla wielkiego wezyra samego... — odrzekł bulukbasza.

Na słowa te, aga na bulukbaszę spojrział, — oczy mu świdrem poszły.

— Zdobyć, — powtórzył bulukbasza i dodał: — moja.

— Hm?... — mruknął aga. — Tobie synu ona na nic.

— Sprzedam ją.

— Sprzedasz... mnie, jeżeli ją szczęśliwie do Sisaku doprowadzimy.

— I!... niech tak będzie... — rzekł bulukbasza. Wszystko jedno, sprzedać tobie, czy innemu: nie mam konaku, ani domu własnego, ażebym mógł ją zachować dla siebie. Niech tobie, ago-effendim, służy.

— Co ona mówi?... — zapytał aga.

— *Bilmem*... — odparł bulukbasza. — Coś wrzeszczała po swojemu.

Ali-aga, dzięki długiemu w Bośni, Serbii i na

pograniezu kroackiem przebywaniu, znał język miejscowy, więc do dziewczyny przemówił:

— Coś ty za jedna, gołąbko?

Dziewczyna oczy na niego podniosła.

— Zkądś się tu wzięła?

Przemawiał łagodnie. Tonem mowy jego śnać ośmielona, na powtórne zapytanie odrzekła:

— Ja... ja... zaszłam tu tylko i wracać już chciałam.

-- Dokąd?

— Do kuti.

— Gdzież kutia twoja?

— Ztąd niedaleko... za górą.

— Uhm? za górą?

— Puść mnie, — zaczęła tonem prośby, — mnie śpieszno... na mnie w domu czekają.

— Uhm... na ciebie czekają... — powtórzył. — Niech czekają. Ty, córko, pójdiesz ze mną i nie pożałujesz tego.

— Ja?... z tobą?... — podchwyciła trwożnej rozpaczę głosem.

— Cicho, synogarliczko... — upominał głosem słodkim. — Gdybyś krzycheć chciała, gębę ci zawiążemy; gdybyś iść nie chciała, poniosą ciebie. Chodź-że, dżanem, z nami i bądź powolna.

Dziewczyna obie dłonie na głowę sobie zarzu-

ciła, oczy do nieba wzniosła i rozpaczy a łkania pełnym głosem zawołała :

— O Boże! Boże! nieszczęsnaż ja!

— Dosyć!... dalej w drogę!... — rzekł ali-aga z akcentem rozkazującym.

Położenie było tego rodzaju, że nieposłuszeństwo pogorszyć je jeno mogło. Snać zrozumiała to dziewczyna, na rozkaz bowiem ali-agi słówka nie rzekła, łzy jej się z ocz puściły, zajęła wskazane sobie w szeregu miejsce, — poszła. Szła i płakała. Gromadka zbiegów wy dostała się wkrótce potem na szczyt, z którego odkryła się dolina dubrowacka. Na widok dworu w głębi się wznoszącego, dziewczyna głośnym wybuchnęła płaczem i wśród łkań, rzucała wyrazy:

— Dziadku mój! Majko moja! Jau, jau! Jaż niesretna! Byłóż mi z progów waszych wychodzić! Jau, jau!... Nie byłóż mi kogo zapytać?... Nie byłóż mi się komu opowiedzieć?... Przepadliście dla mnie i wy i on!... Kuku meni... kuku!... Przepadłam dla was ja! nie obmyjecie mnie i nie włożycie do trumny.

Skargi te wymawiała oderwanie, w długich jeden po drugim odstępach; głużył je płacz, zatem Ali-aga domyśleć się nie mógł, że pojmaną dziewczyną była wnuczka Deszicza starego.



Pojmało się biedactwo. Sama w samotrzask poszła. Tego, co ją spotkało, ani się spodziewała, ani przewidzieć mogła. Spadł na nią piorun— upamiętać się jeszcze w stanie nie była i dlatego zapewne uważała się z góry za umarłą, nie przypuszczała bowiem, ażeby cios, jaki ją dotknął, przeżyć miała. Uspokajało ją to do pewnego stopnia. Szła więc machinalnie, drepcąc za turkami, którzy, rozpatrzywszy się z wyżyny w położeniu, drogę odnaleźli i kroku przyśpieszali. Mieli jedno niebezpieczne do przebycia przejście. Była niem dolina dubrowacka, a nie tyle jeszcze dolina, co droga, która w punkcie tym łączyła się z traktem sisowackim. Turcy dostrzegli na trakcie wysłany przez Deszicza podjazd.

— Psom wściekłym bodajby oczy powyłaziły!... — odezwał się bulukbasza.

— Im ktoś chyba drogę pokazuje; powiedziałbym, Deszicz stary, — zauważył iman.

Ali-aga z giestem przeczenie oznaczającym, emoknął i odrzekł:

— *Jok* (nie). Stary się do nich nie miesza; ale jest tam jakiś kapetan niemski, o którym pomiędzy plemiczami gadanina była.

Powiedzieć należy, że gadanina owa jego była dziełem. On sam wiadomość fałszywą o kapeta-

nie puścił, ażeby za pomocą wiadomości tej plemiczów na sejmik spędzić, jak myśliwi stado kurapatw do kupy spędzają i zabrać ich wszystkich odrazu. Zapomniał o tem i w kłamstwo własne uwierzył, a to dla tego zapewne, że kłamstwo to, pod postacią doniesienia agentów, którzy mu raporty zdawali, do wiadomości jego doszło. Zrobił się z tego rodzaj refleksu. Kłamstwo w skutek odbicia zmieniło się w prawdę, w przekonaniu agi, potrzebującego jakiegoś dla klęski, której doznał, usprawiedliwienia.

— Podjazd ten wyprawił kapetan niemski...— powiedział z akcentem przekonania.

Chodziło o to, ażeby się przez drogę niepostrzeżenie przemknąć.

Marta im zawadzała.

Poradzili jednak sobie.

Iman zdjął z siebie odzież wierzchnią. Odzież tę dziewczynie na głowę znienacka rzucono i, zanim się ona upamiętać zdołała, służebnicy agi pochwycili ją, nogi jej i ręce związali, jeden ją na plecy wziął i biegiem z nią ruszył. W chwilę później znów, z więzów wyswobodzona, na własnych stała nogach, a Ali-aga łagodnie i słodko do niej przemawiał:

— To nic, gołąbko, nic, córko. Nie byłabyś

z nami zdążyć zdołała, więc przenieść ciebie kazałem. Pośpieszaj jeno teraz, jeżeli nie chcesz, ażebym cię nieść kazał.

Druga ta drogi połowa odbywała się z pośpiechem wielkim, polami i zaroślami, równoległe do traktu, na który zbiegowie mieli ustawicznie uwagę zwróconą. W godziny półtorej może po przemknięciu się przez przejście niebezpieczne, jeden z nich, rękę wyciągając, zawołał:

— Nasi ludzie!

Okrzyk ten wywołała podążająca traktem ludzi kupa.

Z zejbeków jeden ruszył wnet ku kupie tej i, rękami ku niej wymachując, krzyczeń się jął:

— *Banabak! banabak! dur!*

Ludzie się zatrzymali. Aga z Martą i towarzyszami do nich doszli. Albańczycy i zejбеки, rozbitki z pogromu pod Klimowacem, którzy kupę tę składali, nie małe, na widok agi, okazali uradowanie i zdziwienie.

— Żyjesz, effendim?... — zawołał jeden.

— A nam mówili, że ciebie rozsiekali!... — mówił drugi.

— Że ci głowę ucieli i na żerdź wbili!... — powiedział trzeci.

— A ty, oto, ze zdobyczą przychodzisz!... —

odezwał się któryś, oczami na branke piękną wskazując.

— Tć... tć... — emokali.

Aga się nie zatrzymywał, a tylko pochód dalszy odbywał już traktem, wysforowawszy się na czoło kupy i nie zachowując tych środków ostrożności, jakie zachowywał dotychczas. Zresztą, droga nie była już daleką. Niebawem ukazało się miasteczko, do którego zbiegowie weszli po moście, prowadzącym przez rów do bramy, umieszczonej w murze, który po jednej i po drugiej stronie opierał się o nasyp ziemny, opasujący miasto. Brama miała pozory forteczne, ale ani rów, ani nasyp nie posiadały rozmiarów, do obrony skutecznej potrzebnych.

Marta jęknęła i zajaukała, gdy przez bramę przeszła. Wydało się jej, jakby przekroczyła próg piekła.

— Jau... jau!... — niesretna ja?

Aga nie upominał jej, ażeby milczała. Nie odzywał się do niej. W chwil kilka po wkroczeniu do miasteczka, wszedł z nią na podwórzec domostwa dużego i, zatrzymawszy się w sieni obszernej, słów parę rzucił wybiegającym na spotkanie jego ludziom służebnym. Wnet potem zjawił się przed nim człek czarny. Aga mu pal-

cem Martę wskazał, po turecku do niego przemówił i, do niej się zwracając, po serbsku dodał:

— Idź z nim, córko, nie płacz, umyj się, posil i spocznij. Pomogą ci tam i usłużą.

Marta się domyśliła, że ją aga do haremu odsyła. Natura jej cała oburzyła się. Mimo to, nieposłuchać — sposobu nie było. Za czarnym poszła; drzwi dwoje przed nią się otworzyło i za nią zamknęło i znalazła się w izbie obszernej, z oknami, okratkowaniem drewnianem zasłoniętemi, w której na spotkanie jej wyszła stara i gruba kobieta, podczas, kiedy kilka młodych, na dywanach pod ścianami siedząc, z ciekawością się jej przypatrywały. Stara, z murzynem kilka jej niezrozumiałych wyrazów zamieniwszy, do niej następującą, uprzejmie i z przymileniem wygłoszoną przemowę wystosowała:

— Dobrze, koteczko, witaj nam. Będziemy ciębie pieściami, głaskaniem i wygodami otaczały, kiedyś ty dla wielkiego wezyra.

Wyrazy ostatnie silne na kobiety na sofach wywarły wrażenie. Oczy szeroko pootwierały i aż się na siedzeniach popodnosiły nieco, oblewając Martę spojrzeniami, badającemi postać jej we wszystkich szczegółach. Jedna, tłuściutka blondynka, cmoknęła, inna słówko postrzeżenia

wyrzekła, inna głowę na bok przechyliła, stara zaś tak do Marty przemawiała:

— Kurz cię osypał, podrapana i obdarta jesteś; pójdź, ptaszyno śliczna ze mną; chłodną wodą się oblejesz, odzież czystą na siebie włożysz i będziesz taka, jak róża rosą splókana. Chodź, dżanem.

Za rękę ją ujęła, poprowadziła.

Marta się do wody ze skwapliwością pogarnęła. Pragnienie ją paliło. Stara jednak pić jej od razu nie dała; ale, przy pomocy dwóch innych kobiet, które na wołanie jej nadbiegły, rozebrała ją i myć poczęła. Myła wodą ciepłą, mydłem, kwaczem, oblewała, szorowała; wodę ciepłą na chłodną zmieniła, znów oblewała; wreszcie dziewczynę prześcieradłem szerokim okryła, dłonią jej wzdłuż kości pacierzowej tarcie lekkie sprawiła, jedna z kobiet ją w objęcia wzięła i na dywanie posadziła. Marta siedziała, a kobiety się koło niej krzątały: ta podała jej kawy czarnej w filiżance, — ona kawę odepchnęła; druga przyniosła konfitur (*tatly*) i wody w czaszce kryształowej; dziewczyna z łapczywością czaszkę ujęła, do ust przyłożyła, wypiła i, kiedy ją od ust odejmowała, kobieta przeciągle cmoknęła. Nastąpiło odziewanie. Z wprawą i szybkością wielką

kobiety włożyły na Martę bieliznę świeżą, włosy jej uczesały, warkocze zaplotły i ułożyły, ubrały ją w szalwary barwiste, w odzież zwierzezną w kształcie szlafrocza lekkiego, paskiem ujętego, w kaftanik z rękawami rozciętymi; dziewczyna się przeistoczyła w rodzaj motyla, otoczonego jasnością oczu zrywającą.

— Promyczku słońka porankowego — przemówiła do niej kobieta stara — nie chciałaś tatły do ust twoich włożyć, zechcesz włożyć pilafu odrobinę i baraniny kasek.

Marta westchnęła. Czuła w sobie znużenie i pociąg nieprzeparty do snu. Usposabiała ją do tego wzruszeń pełna, w trudach spędzona, wypadkami zaznaczona, nieprzespana noc. Natura się o prawa swoje upomniała. Dziewczyna, pomimo, że oczy jeszcze otwarte miała, nie słyszała, co do niej stara kobieta mówiła, nie zwracała uwagi na postawiony obok siebie na sofie stoliczek niziutki i nie widziała już jadła podanego. Pochyliła się, powieki się jej zwały, zasnęła — zasnęła tym twardym, jaki młodość, zdrowie i znużenie sprowadzają, snem. Kobiety się od niej usunęły, wychodząc z izby na palcach, pozamykały drzwi, pozasłaniały okna — ona spała w półcieniu, w spokoju, w ciszy, spała długo, od południa do

momentu nadwieczornego, w którym śnić się jej począł zgiełk jakiś.

Zgiełk ów snem nie był. Składał się on ze słów i nawoływań, z bieganiny, z trzaskania drzwiami, z okrzyków trwogi, ze śmiechów głośnych. Półsenna Marta sprawy sobie z tego zdać nie umiała. Razy parę powieki otwierała, rozbudzić się usiłowała i rozbudziła się dopiero, gdy do izby wpadła kobieta stara z wołaniem na ustach:

— Chodź, dżanem! chodź koteczko, prędko!

Marta się zerwała. Kobieta zasłonę jej muslinową na głowę zarzuciła, za rękę ją ujęła i, nim się ona upamiętać zdołała, za sobą pociągnęła. Pochód ten trwał niedługo, a zakończył się wobec woza zaprzężonego i budą z firankami całkowicie okrytego.

— Wsiadaj!... — rzekła kobieta stara, palcem dziewczynie wskazując.

— Wsiadaj!... — powtórzył człek czarny, z kijem w ręku obok stopnia stojący.

Marta się do wozu wsunęła. Znajdowała się sama, nie długo atoli. Obok niej zajęła miejsce blondynka owa, co na jej widok cmoknęła; następnie naprzeciwko usadowiła się brunetka; obok tej ostatniej usiadła druga brunetka. Do wozu



wkładano kobiałki, koszyki, pudełka, zawiniątka. Wóz wreszcie ruszył, odjechał kroków kilkadziesiąt, zatrzymał się; stał na miejscu nie dłużej jak kwadrans i potoczył się ruchem owym ciągłym, znamionującym podróż.

— Podróż, — dokąd?

Zapytanie to Marcie odrazu w głowie strzeliło i srodze ją zaniepokoiło. Próbowwała znaleźć na nie odpowiedź. W celu tym przez firankę wyglądała i oczom jej przedstawił się szereg wozów, posuwających się jeden za drugim po drodze, pod eskortą jeźdźców zbrojnych. Obok zajmowanego przez nią i towarzyszki woza, jechał człek czarny z kijem sękatym w rękę.

— Dokąd to wiozą mnie?... — w duchu siebie zapytała.

Zapytaćby mogła towarzyszek, ale nie śmiała, a przytem rozmawiały one pomiędzy sobą po turecku, więcby jej nie rozumiały. Na sercu zrobiło się jej smutno i żałośnie. Czuła się prowadzoną na śmierć niby, nie wyobrażała sobie bowiem, ażeby się to inaczej, jak śmiercią, skończyć mogło.

Konie w wozach szły raz stępem, znów kłusem, stosownie do tego, czy się po gruncie różnym, czyli też z góry w dół, lub z dołu pod

górze jechało. Po godzinach paru jazdy, zatrzymano się. Obok wozu jawiła się kobieta stara.

— Wsiądź, koteczko, — do Marty przemówiła, — przejdź się, członki swoje rozprostuj, nie zobaczy cię tu oko żadne.

Marta wysiadła.

Szereg wozów, który przez firanki oglądała, zredukował się do wozów trzech, stojących w odosobnieniu. Koni przy nich nie było. Pod stopami rozścielał się kobierzec trawy kwieciem haftowanej, a nieopodal widzieć się dawał las. Słońce zaszło, w powietrzu brzęczały muszki, odzywały się głosy ptasie, rozlegało się naszczekiwanie psów — wieczorzało. Towarzyszki podróży krzątały się, rozkładając na murawie kobiałki i koszyki i wydobywając z takowych jadło rozmaite.

— Usiądź duszeczko i pokosztuj czego i ty.. — odezwała się do Marty ochmistrzyni haremowa.

— Dokąd my jedziemy?... — zapytała dziewczyna, ze strony której słowa te były najpierwszem do kobiet tureckich przemówieniem.

— Do Osieku, kochaneczko, do Osieku perełeczko najdroższa... — była zapytanej odpowiedź. — Mamy przed sobą drogę daleką, ale ona zbliży ciebie do wrót szczęśliwości, w których zajaśniesz, jak słońko wschodzące.

— Szczęśliwość moja za mną została... — odrzekła.

— Oj nie, nie za tobą... nie za tobą... — zu śmiechem słodkim stara mówiła. — Wielki wezyr uwiadomionym będzie o tobie, zanim oczy jego wdzięki twoje zobaczą. Ali-aga gońca już wysłał.

— O dolo moja!... — westchnęła dziewczyna.

— Ale teraz ty przysiadź i pokosztuj czego. Nicsz od rana nie jadła, głodnaś.

Marta w rzeczy samej głodną i bardzo głodną była. Widok jadła pociągnął ją ku sobie. Zajęła pomiędzy dwiema niewiastami miejsce, sięgnęła ręką po chleb, podano jej jagnięciny pieczonej kawałek, — wzięła i spożywała dary boże w zamysleniu.

Ochmistrzyni oznajmiła, że niebawem woźnice z końmi powrócą, potrzeba więc, ażeby niewiasty do wozów powsiadały.

W chwilę później zpoza lasu wytoczył się na niebo księżyc i rozpoczął nocną wędrówkę swoją, oświecając drogę, po której znów wozy szeregiem długim się toczyły. Towarzyszki Marty się pospały; Marta oka zmróżyć nie mogła. Po głowie snuły się jej myśli różne; przez firankę kiedyniekiedy wyglądała i zawsze widzia-

ła obok czarnego, z kijem w rękę jeźdźca. Gdyby nie jeździec ten! Wydawało się jej, — że gdyby nie on, — z wozuby się wysunąć i na drodze zostaćby mogła.

Zatrzymano się powtórnie na spoczynek nad ranem. Po spoczynku ruszono w podróż dalszą. Podróż odbywała się dla Marty monotennie, ale nie nudnie, nie nudnie dla tego, że myślała, obmyślała, osnuwała pasemkami bez końca myśl środkową, ogniskową, która w głowie jej strzeliła, jak skoro uspokoiły się wrażenia po następujących szybko jeden po drugim wypadkach. Środkową tą, ogniskową myślą, była myśl ucieczki. Wyniknęła ona z natury położenia. Każda istota żyjąca, w niewolę ujęta, do odzyskania wolności ma popęd instynktowy, który się w ludziach z myśleniem kojarzy. Więc też Marta w kierunku popędu tego myśli swoje kupiła i wyteżała, skracając sobie w sposób ten czas podróży, która zajęła dni cztery i odbyła się bez wypadku. Razy kilka w taborze spostrzegać się dawał niepokój. Wozy z drogi zjeżdżały, — eskorta się szykowała. Alarmy te atoli przemijały i w dniu piątym podróży, harem Ali-agi, a z nim wnuczka starego Deszicza, dotarł do Osieka.

Do miasta wjeżdżając, zauważyła mury i wały

inaczej, aniżeli w Sisaku wyglądające. Wóz się przetoczył przez most zwodzony, przez bramę krytą, przez ulice brukowane i zatrzymał się przed domem obszernym, w którym na spotkaniu przyjezdnych wysunęło się kobiet dużo starych i młodych. Mówiły, szczebiały, okrzyki wydawały; język turecki w uszach Marty brzmiał. Nagle o słuch jej uderzyły wyrazy po serbsku wymówione. Obejrzała się. Obok niej stały dwie niewiasty młode, jedna o drugą oparte. Wyrazy, które ją o uszy potraściły, były:

— Zdaje się, że to harem agi z Pożegi.

— Z Sisowaca... — odrzekła Marta.

— Aż z Sisowaca?... — odezwała się jedna.

Bre, bre? Kiedyżeście wyjechały?

— Piąty dzień temu... — odpowiedziała, rada, że z kimś rozmówić się może.

— I nie zabrali was na drodze *pobuniacy* (powstańcy)?

— Jacy?... — zapytała.

— Nie wiesz chyba! Pobuniła się kraina cała. Cała Sławonia na tureczyna poszła.

— Majko moja!... — zawołała Marta, ręce załamując.

— Ale nam nie tu powstańcy nie zrobią... — rzekła niewiasta młoda, myśląc snąć, że dziew-

czynę wiadomością przeraziła. Agowie i bejlerbeje haremy swoje do Osieku odsyłają, a sami się za powstańcami uganiają. Prędko zaś z nimi do końca trafiają.

Domostwo było spólnem haremów kilku schronieniem. Zapełniały takowe kobiety i dzieci pod dozorem rzezańców, którzy straż zewnętrzną utrzymywali. Harem Ali-agi, znalazł pomieszczenie na piętrze, w izbach, z oknami wychodzącymi na wał i dającymi widok na wygon za miastem, na rzekę, słowiańską Drawę i na ukazujący się w lewo most na rzece.

---

## X.

Wiadomość, jaką Marta na wstępie do zamieszkania w Osieku odebrała, nastroiła ją na ton niepokoju żywego, potęgującego się w miarę, jak nadchodziły wiadomości coraz to nowe. A nadchodziły często. W kobiecym tym, od miasta oddzielonym przybytku, znajdowano sposoby komunikowania się ze światem. Kobiety stare na miasto wychodziły i języka dostawały. Od starych dowiadywały się młode. Wiadomościom, kanałami temi dochodzącym, nie brakło na ozdobach, czyniących je wielce zajmującemi. Ozdoby atoli odnosily się do zdarzeń pojedynczych, którym za tło ogólne służyło powstanie słowian, poddanych tureckich, szerzące się nakształt pożogi po stronie Drawy lewej i po stronie prawej precz aż do Sawy. Opowiadano rzeczy straszliwe, malujące okrucieństwo powstańców i heroizm turków. Marta dowiadywała się o tem za pośrednictwem

sturezonych serbek, z którymi się na wstępie spotkała i z którymi następnie zabrała znajomość bliższą. One udzielały jej faktów, które im w słuchy wpadały, uspokajając ją, że to potrwa nie długo.

— Bo siły tureckie wielkie, uuu... — powiadała raz ta, znów owa, głową kręcąc.

— Wiesz z kąd się ta pobuna wzięła?... — zapytała jej razu pewnego jedna.

— Nie wiem... — odpowiedziała.

— Nie wiesz?... — powtórzyła zdziwiona. — A ona przyszła przecie z tamtąd, od was... od Sisaku. Poszło o dziewczynę lepoticę...

Opowiedziała historią, w której Marta domyśleć się nie mogła rozprawy klimowackiej i losów własnych, — tak opowiadanie osłaniały dodatki fantastyczne. Wchodził do onego przede wszystkim wielki wezyr. Wielki wezyr, zasłyszawszy o dziewczynce krasie nadzwyczajnej, zapragnął jej, wojska po nią posłał; zamkniętą ona i strzeżoną była w warowni bardzo mocnej, leżącej w krainie kroackiej, nieopodal od Sisaku; pod warownią tą wojsko wszystko wyginęło; ale bulukbasza pewien dziewczynę podstępem dostał; pochwycił ją; uniósł i za nim to pościg poruszył do buntu ogołocony chwilowo z wojska kraj.



— I tyś w Sisaku o tem nie wiedziała?... — zapytała jej niewiasta młoda, skończywszy opowiadanie.

— Nie... — odpowiedziała Marta.

Powieść ją jednak zaciekawiła.

— Cóż, — odezwała się, — z dziewczką się stało?

— Bulukbasza ją wielkiemu wezyrowi do rąk oddał i wezyr mu kiesę złota pod nogi rzucić kazał.

W opowieści tej istota rzeczy, pominąwszy wymysł o warowni, w którą przeistoczony został dwór klimowacki, na tem polegała, że Ali aga, przewidując, zamiast nagrody spodziewanej, gniew wielkiego wezyra, umyślił gniew dostojnika tego ułagodzić, ofiarując mu branke, przypadkowo pojmaną. Myśl tę natchnął mu bulukbasza na górze, nad Klimowacem. Manipulacye tego rodzaju, niby nieć czerwona, przewijają się przez całą historią turecką, w której kobiety odgrywają niezmiernie ważną rolę zakulisową. Łakomstwo na nie wysokich dostojników państwa ottomańskiego równego sobie nie ma, chyba łakomstwo na tenże specyał baronów finansowych nowej doby. Śród upominków, za pomocą których podwładni zyskiwali względy zwierzchni-

ków, a na które szły klejnoty, kobierce, materye kosztowne, oręż, zegarki, konie, i t. p. przedmioty, kobieta zajmowała miejsce poczesne. Na największe święto religijne, na bajram, naród turecki sułtanowi kobietę ofiaruje; a zatem podobna ze strony Ali-agi ofiara, nie miała w sobie nic, coby zwyczaje, przyzwoitość i moralność muzułmańską obrażało. Był to upominek godny wysokiego, jakie wielki wezyr zajmował, stanowiska; był to oraz dowód, że z niepomysłnej na plemiczów kroackich wyprawy, aga z niezupełnie gołymi wyszedł rękami: nie mógł wprawdzie zwierzchnikowi swojemu wysokiemu posłać tuzina plemiczów żywych, ani kopy łbów szlacheckich, — posyła mu dziewczynę.

Tajemnic tej akcyi dyplomatycznej młoda niewiasta Marcie wytłómaczyć nie umiała. Opowiedziała jej historią zmyśloną, z której się ona nie domyśliła racyi częstych o wielkim wezyrze w odniesieniu do osoby jej wzmianek. Nie rozumiała i rozumieć zresztą nie chciała, dla czego jest dla wielkiego wezyra przeznaczoną. Przeznaczenie to dogadzało jej jednak pod względem jednym. Dzięki onemu, zajmowała wśród niewiast haremowych stanowisko wyosobnione i poczesne; służba na usługi jej była; nie nagabywano jej;

a nawet w domostwie, które służyło za mieszkanie tymczasowe, zajmowała izdebkę osobną. Okno było w niej jedno i to wychodziło w kierunku tym samym, co okna izb innych. Dziewczyna siadywała przy n'iem dniami całemi, ścigając okiem nurt podążającej ku Dunajowi Drawy i powodząc wzrokiem po rozlegającej się na brzegu przeciwnym szerokiej płaszczyźnie trzęsawisk. Niekiedy przenosiła spojrzenie na wygon, który się szerzył za murem fortecznym. Widywała ukazujące się jej tu i owdzie przedmioty, na których uwagę zatrzymywała. Zajmowały ją szczególnie ptaki. Skrzydeł im zazdrościła.

— Och!... — mawiała sama do siebie, — jakże bym polecieć... polecieć pragnęła!... polecieć tam, daleko, do Dubrowaca; zobaczyć, co porabia dziadek mój stareńki, majka moja miła... widzieć ich, słyszeć.... Ach! co tam porabiają oni?... Dopytują się ludzi o mnie... i nikt im nie powiedziec nie umie....

Wyrzuty sobie gorzkie czyniła za to, że ze dworu wyszła, ale nie za to, dla czego wyszła.

— Dla czego?

Zapytanie to naprowadzało jej na myśl Lajosza i potęgowało jej żal. Nie wiedziała, co się z nim stało: czy obronną wyszedł ręką? Z te-

go, co z góry widziała, jako też z tego, że przez rozbitków pojmaną została, urobiła sobie pojęcie o zwycięstwie kroatów. Pojęcie to atoli było ogólnikowe i radowało ją, jako takie. Lecz w radości tej tkwiła niepewność, która, nazwana imieniem własnem młodzieńca, przejmowała ją obawą, żalem, rozpaczą, przedstawiającą się dwójako.

— Zginął może, a może nie zginął. Jeżeli nie zginął, to... dla czego?

Nie umiała sobie zdać sprawy z powodu, dla którego zapytanie to ostatnie udręczało ją bardziej, aniżeli przypuszczenie śmierci Lajosza.

W razie, gdy nie zginął, pragnęła ona, ażeby był takim, jakim go sobie w wyobraźni przedstawiała: walecznym, heroicznym, obrońcą rzetelnym ziemi ojczyściej. Takim go sobie wyobrażała; wydawało się jej jednak, że mu do tego, ażeby rozwinął i wyteńczył całe bohaterstwo poświęcenia za ojczyznę, brak rzeczy jednej, — że mu brak jej słówka, jej skinienia, jej... błogosławieństwa. Wydawał się jej w tej, o której ją słuchy głuche dochodziły, walce, osamotnionym, osieroconym niby, — osieroconym dlatego wreszcie, że, gdy się walka zakończy:

— Któż go biednego przygarnie?

Nie przypuszczała, ażeby Lajosza przygarnąć mógł kto tak, jak ona.

Złorzeczyła też losowi, co ją oderwał od dziadka, od matki i od — niego.

Dnie jej upływały w smutku. Smutkiem się z nikim nie dzieliła, a gdy do niej przychodziła w odwiedziny która z dwóch młodych kobiet, po serbsku mówiących, przyjmowała je rada, udzielały jej one bowiem wiadomości z teatru zapasów wojennych. Wiadomości te nie przynosiły powstańcom zaszczytu: albo głosiły o jakiejś, zadanej im przez turków klęsce, albo też o dokonanej przez nich zbrodni zrabowania wsi, spalania miasta, wymordowania okolicy całej.

— Bóg-by ich pobił!... — powtarzała często opowiadaczka.

Marta jej nie przeczyła, z obawy, ażeby się nie zraziła i z wiadomościami do niej przychodzić nie zaprzestała.

Odwiedzała też ją często kobieta stara, ochmistrzy-ni haremu Ali-agi. Ta jej o czem innem mówiła: o panu, o wielkim wezyrze, — spodziewała się ustawicznie wieści od agi, który się znajdował na teatrze wojennym, w jaki się Sławonia zmieniła.

— Niema wieści od niego, powtarzała dzień po dniu, — niema, dżanem.

Razu pewnego oznajmiła :

— Wieść jest... jest przekaz o tobie.

Marta na słowa te zbladła.

— Dziwny przekaz... — prawiała stara. Nakazuje, ażeby ciebie nie wysyłać teraz. Któż o wysyłaniu ciebie myśli?

— Dokąd?... — zapytała dziewczyna.

— Dokąd-że, gołąbko jasna, jeżeli nie do wielkiego wezyra!... Aga powiedzieć kazał, że drogi wszystkie teraz niebezpieczne, że się wszędzie włóczą kroaci.

— Kroaci!... — podchwyciła ze wzruszeniem w głosie.

— Kroaci, dżanem. A któż to tę całą naprowadził zawieruchę? Kroaci... — odrzekła stara z westchnieniem. — Bóg-by ich *pobio!*

Westchnęła i Marta.

— Ot, — ciągnęła stara, — wczora, niedaleko ztąd, — wskazała palcem przez okno na przestrzeń zieloną, rozlegającą się na przeciwnym brzegu rzeki, napadli i zabrali harem Mohamedbeja, który niewiasty swoje tu, do Osieka, sam odwoził. Jego zamordowali, niewiasty uprowadzili.

— Ach! czemuż się coś podobnego nam nie przytrafiło... — pomyślała sobie Marta w duchu.

— Nam się to nie przytrafiło, — rzekła sta-

ra, jakby na myśl tajemną dziewczyny odpowiadając, — dla tego, że aga, oby mu Ałłach pobłogosławił! wyprawił nas w porę. Dzień jeden później, byłoby już zapóźno.

— Czemu?... — zapytała Marta.

— Kroaci, dżanem, na Sisak napadli. Była bitwa. Z topów pucali.

— Boże!... — odezwała się dziewczyna wzruszona.

— Opowiadał mi o tem goniec, który od Aliagi przekaz przyniósł. Była bitwa wielka, Sisak złoczyńcy z czterech rogów zapalili. Toż to dla tego aga posyłać ciebie zabronił; ale, któżby cię posyłał!... Chybaby wielki wezyr lektykę, wojsko i rzezańców swoich po ciebie przysłał.

— Czyżby to stać się mogło!... — zawołała Marta.

— Czemu nie?

— Z po-wo-du, — wybąkała, — niepewności na gościńcach.

— Ij... Ci złoczyńcy nie porwaliby się na wojsko wielkiego wezyra.

— Niby tam wielki wezyr o mnie myśli.

— O!... — zaprotestowała stara. Nie myślałby, gdyby o tobie nie wiedział; ale on o tobie, dżanem, wie i myśli, myśli, myśli we dnie i nocą-

mi. On taki mąż krzepki, oczy ma jak kułaki; jakżeby on, gołąbko, nie myślał o tobie?... Jemu już tam bez ciebie tęskno być musi?...

Jakkolwiek słowa te Marcie pochlebiać mogły, nie pocieszały jej jednak. Pocięgę znajdowała w zagrożeniu gościńców. i w tem, że zagrożenie to do Osieku się już zbliża. Wyrodziło to w niej pragnienie nowe, pozostające w związku logicznym z myślą ogniskową ucieczki.

— Gdyby też zagrożenie do murów Osieku dotarło!

Życzenie to sformowało się jej w myśli samo przez się i doprowadziło ją do pilniejszego, aniżeli dotąd, rozpatrywania się w widzianych z okna dalszych i bliższych okolicach. W oddaleniu przedstawiały się jej, jak zwykle: na lewo most, za rzeką okiem nieobejrzana płaszczyna zielona, na prawo, po tej stronie rzeki, wygon i wznoszących się na takowym mogił parę; bliżej zauważyła mur forteczny, ciągnący się równolegle do rzeki. Oddalenie muru od rzeki było takie, że brzeg jej urwisty z okna swego widziała i dostrzegła, że woda urwiska, nie wyższego jak na wysokość chłopca, nie podmywa. U stóp onego pozostawał pasek gruntu suchego. Szczegół ten w oko jej wpadł i zrodził w umyśle wniosek następujący:



— Gdyby się przez mur nazewnątrz miasta wydostać i z urwiska na brzeg rzeki spuścić, możnaby brzegiem niepostrzeżenie ujsć daleko.

Zachodziło pytanie: dokądby się tam, — „daleko“ — doszło? Marta wiedziała, że Drawa wpada do Dunaju, ale nie znała ani topografii, ani jeografii krainy, rozciągającej się pomiędzy Osiekim a ujściem Drawy. Z krainy tej całej, mały jeno okrawek obejmowała promieniem spojrzenia swego. Był to właśnie ów wygon, miejscowość tak odsłonięta, że jak na dłoni na niej widać było. Na wygonie pasły się często osły, przechodzili ludzie, — tych i owych ruch każdy widziała; na mogiłach siadały niekiedy wrony, — te policzyć mogła. Nie było więc rzeczy nad brzeg rzeki schodzić, ażeby w razie, gdy brzeg ów woda w odległości kroków paruset podmywa, na widok się na wygonie wystawiać. Postrzeżenie to wszakże nie przeszkodziło jej rozpatrywać się dalej i pilniej i odkryć w końcu szczegół jeden, który ją uderzył i mocno zastanowił. Polegał on na tem, że ludzie przez mur przechodzili i nie tylko przechodzili sami, ale konie przeprowadzali. Szli i drogą tą samą po niejakiś czasie wracali.

— Co to znaczy? . . . — zapytywała sama siebie.

Nad pytaniem tem zastanawiając się, tego w końcu doszła, że ludzie owi tędy konie do wody wodzili. Wywnioskowała ztąd, że gdzieś nieopodal w murze przejście być musi. Odkrycie to rzeczy nie zmieniało, zawsze bowiem pozostawał wygon i nieświadomość odległości, na jaką woda urwiska nie podmywa. Przybywało jeno ułatwienie we względzie możności przedostania się przez mur, połączone z trudnością wydostania się z domu, pozostającego pod strażą rzeźniców.

Postrzeżenia te wszystkie żadnego na razie praktycznego nie wskazywały rezultatu; świadczyły jeno, że w umyśle i sercu dziewczyny pokutowała myśl ucieczki, z którą się rozstać nie mogła.

Myśl ta prześladowała ją z dnia na dzień, z nią zasypiała, z nią się budziła, ona jej życie umilała i przy zdrowiu ją utrzymywała.

Dnie tymczasem mijały.

Dnia jednego wbiegła do niej stara z oznajmieniem:

— Aga przyjechał!...

Strach ją na wiadomość tę przejął.

— Ale — dodała ochmistrzyni — on ani tu przyjść, ani ztąd nas zabrać nie może... Niema

w mieście kuti na pomieszczenie harem... *Askiry* domy wszystkie pozajmowali... Strach, co tego się zeszło! ..

W istocie, Osiek zapchany był wojskiem, spędzonym przez powstańców, którzy kraj z załóg tureckich oczyścili. Turcy się, na spodziewane posiłki oczekując, do twierdz zbiegali. Do Osieku ściągęło się dwa do trzech tysięcy głów pochodzenia różnego: albańczycy, arabowie, anatolczycy, kurdowie, włóczęgi różne, piechota, jazda. Nie było pomiędzy nimi ładu wielkiego. Dzielili się na oddziały większe i mniejsze — w tym ludzi trzystu, w tym trzydziestu — uważające się za korpusy oddzielne. Lud to był waleczny, ale niesforny; wielbiący Allaha, czczący sułtana, lecz nieumiejący być posłusznym zwierzchnikom swoim. Komendant twierdzy, pasza, miał z nimi kłopot niemały; radził sobie jak mógł i spuszczał się na to, że kraj się jakoś oczyści i będzie można tych obrońców w pole wyprawić.

Pod względem tym ostatnim przeliczył się.

Kraj się oczyszczał, ale z turków, wyciskanych ze stanowisk wszystkich mniej więcej otwartych i gonionych, jak ogary grubego zwierzka gonią. Goniła ich zrazu ruchawka; następnie do ruchawki przyłączyło się działanie poważniejsze

pod dowództwem bana samego. Ban w pole na czele siły zbrojnej wystąpił. Zmieniało to postać rzeczy. Turkom pozostawało trzymać się twierdz, nie marnując sił na ucieranie się w polu, a oczekując posiłków, któreby w twierdzach punkty oparcia znajdowały i, dzięki onym, nie potrzebowały nowego czynić podboju, ale tylko bunt uśmierzać. Było to tem potrzebniejszym, że uśmierzenie buntu stanowiło jedną zadania stronę. Strona druga polegała na odparciu napadu ze strony bana, — napadu, który w odniesieniu do buntu był dolewaniem oliwy do ognia, a zarazem zagrożeniem turków po warowniach. Powstańcyby się na zdobywanie twierdz nie porywali. Milicje kroackie mogły przedsiębrać i dokonywać czynności poważniejsze.

Położenie przeto komendanta twierdzy w Osieku drażliwem było. Wojska miał podostatkiem, zawiele nawet, ale była to wolnica niesforna, wymagająca obchodzenia się z nią delikatnego, na sposób szczególny. Otuchy dodawało jedno tylko, a to specyalność turecka bronięcia się za wałami. Żaden inny naród w stopniu równym przymiotu tego nie posiada.

W domostwie, w którym haremy się przechowywały, poranku pewnego zrobił się popłoch. Izby obiegła wiadomość:

— Buntownicy nadeszli!..

„Buntownicy“, było to miano ogólne, które obejmowało tak sławońców, ustąpionych Wysokiej Porcie na mocy traktatu wasvarskiego, a więc poddanych jej, jakoteż kroatów, poddanych monarchy, mianującego się królem kroackim.

— Buntownicy!

Wrażenie najpierwsze, jakie wiadomość ta wśród niewiast sprawiła, było przekonanie, że buntownicy lada moment do domu wtargną. Powstał z racyi tej lament, który do takiego doszedł stopnia natężenia, że aż rzezańcy z kijami interweniować musieli, perswadując w sposób następujący:

— Cicho, wrony:

— Giaury... a-jaj-jaj-jaj!... — tłómaczyły się tureczynki.

— Cóż wam giaury zrobią?

Nastąpiło uspokojenie, a w uspokojeniu rozważanie położenia, w jakimby się każda zosobna i wszystkie razem wobec giaurów znalazły. Wszystkie razem, gdy głośno mówiły, położenie to uważały za okropne; dlatego też każda zosobna o uzbrojeniu się myślała i zbroiła się: oblicze sobie serwatką myła, odzież piękną wkładała, brwi czerniła, paznogie malowała, włosy so-

bie trefiła, maściami się wonnemi smarowała. Jedna z dwóch młodych kobiet, co po serbsku mówiły, odświętnie wystrojona, do Marty weszła i, zastawszy ją z klęczek się zrywającą, a zwykle odzianą, głosem zdziwienia zawołała :

— Cóż ty?... Nie wiesz, że giaury nadeszli?

— Wiem... Słyszałam o tem... — odpowiedziała, wzruszenie radośne w sobie tłumiąc.

— Czemuż nie odziewasz się i nie trefisz?

— A toż na co ?...

— Jakto na co! Rzecz wiadoma, giaury... Giaury, gołąbko, nie nie poszanują...

Ochmistrzynie haremowe, które po wieści na miasto wychodziły, przynosiły wiadomości uspokajające.

— Giaury nadeszli pod miasto, ale w mieście ich niema... Do miasta ich askiry nasi nie puszczą.

Marty to nie pocieszało. Ona właśnie wejścia ich do miasta pragnęła, pragnęła, gorąco je przyzywała, modlitwy o to do Boga słała i o ucieczkę bardziej aniżeli kiedy przemyśliwała. Z powodu tego obserwacye z okna stały się zajęciem jej ustawicznym, któremu nie oddawała się wówczas jeno, gdy bądź stara, bądź która z dwóch niewiast młodych w izdebce jej się znajdowała. Obserwacye te czyniła z drobiazgowością, któraby

statystyce zaszczyt przyniosła; nietylko bowiem patrzyła, ale i obrachowywała: obrachowywała czas, potrzebny ludziom, co z końmi do wodopoju chodzili, na przejście tam i z powrotem. Za miarę rachunku brała pacierz. „Potrzeba jest matką wynalazków“. Do zmierzenia przestrzeni pacierz odmawiała, po izbie chodziła i kroki liczyła. Ojeze nasz — kroków dwadzieścia. Liczbę Ojezenaszów na dwadzieścia mnożyła. Od tego potęcała czas prawdopodobny, jaki potrzebnym jest koniowi do napicia się. W sposób ten doszła, że otwór w murze, przez któryby się nad brzeg Drawy wydostać można, znajduje się na lewo gdzieś niedaleko.

— O, Boże!... o, Boże!... — wzdychała.

Wzdychała, zamyślała się, serce jej mocno biło.

O, jakże jej serce w piersi mocno zakołatało, gdy do słuchu jej doszedł pierwszy wystrzał działowy. Zdarzyło się to nad wieczorem. Do okna poskoczyła, okiem w jedną i drugą stronę powiodła, nie zrazu osobliwego nie zoczyła; przypatrując się atoli dłużej i pilniej, dostrzegła na moście ruch: wojownicy przez most śpieszyli i zatrzymywali się na przeciwnym brzegu rzeki w szańcu, na który poprzednio uwagi nie zwraca-

cała, wydawał się jej zdaleka zagrodą. Strzelanie z dział wciąż się powtarzało, ale na stronie innej. Jak okiem sięgała, niczego innego, z wyjątkiem ruchu na łożyskach, dojrzeć nie mogła. Rzeka płynęła, trzęsawiska się zieleniły, na wygonie osły się pasły.

Strzelanie niebawem ustało, — do domostwa nadeszła wiadomość, że buntownicy pokazali się, ale odpędzeni zostali i że od posłanych na nich kul, zginęło ich mnóstwo. Cyfra zginionych, szybko w górę rosła, — poczęła się od siedmiu, w godzinę niespełna doszła do tysiąca. Postać ostatnia, pod jaką się ona przedstawiła, wyglądała jak następuje:

— Zginęło perewenków tysiąc, askiry łby im poodcinali i łby te wystawione będą na żerdziach dokoła murów Osieka.

Ponieważ wiadomość ta nadeszła wieczorem, a zatem oglądanie łbów buntowniczych na żerdziach odłożyć należało do dnia następnego; tureczynki spać poszły w nadziei widowiska tego. Marta spać nie mogła. Zasnęła nad rankiem dopiero i nie długo spała. Obudził ją huk działowy. Zerwała się, do okna poskoczyła i wpatrzyła się. Uderzył ją widok szanca przedmostowego, ludem orężnym zapełnionego i z dział sześciu



strzelającego. Za wystrzałem każdym dym wyskakiwał, w kłęb się zwijał, do góry unosił i w obłok rozchodził. Zajął ją to żywo. Przypatrywała się i sprawy sobie zdać nie umiała ze znaczenia palby tej; wydawało się jej bowiem, że turcy strzelają do trzęsawisk, wśród których w oczy jej nie wpadał przedmiot żaden, ani ruch najmniejszy.

Nadeszła jedna z niewiast młodych, do okna podbiegła, Martę ramieniem wpół objęła i, przypatrując się, mówić poczęła:

— Buntownicy się w trawę pochowali, na drogę wyjść nie śmia, nos pokazać się boją. Nabijają ich, nabijają askiry nasi...

Gdy wyrazów ostatnich domawiała, z trzęsawisk wyskoczył dym i huknął wystrzał. Po jednym nastąpił drugi, trzeci i tak dalej. W powietrzu słyszeć się dawały gwizdy dziwne. Turczynka usta wpół otworzyła i zamilkła. Po chwili jednak odezwała się:

— A patrz jeno... — rzekła, palcem w prawo pokazując.

Marta w kierunku tym spojrzenie zwróciła. Na wygonie, jak się mogiły wznosiły, pokazały się dwie gromady ludzi, połyskujących orężem, odbijającym promienie słońca wschodzącego. W stroinie tej odezwały się wnet działa tureckie. Huki

następowały jedne po drugich, a po huku każdym, na wygon, padało coś nakształt piłki i szło dalej w podskokach. Gromady orężne wstecz się usunęły; ale z oczu nie zeszły, — zdawało się nawet, że nowe przybywają i to konne; wydało się następnie, że od gromad tych ku miastu idą wystrzały. Wystrzałów widać nie było, lecz słyszeć się dawały świsty, co się niby przez miasto przenosiły. Strzelano za rzeką, strzelano z tej strony rzeki, strzelano gdzieś z tyłu. Turczynka lamentować poczęła i z izdebki wybiegła. Lamentem wkrótce napełniło się domostwo, — znów rzezańcy z kijami i z perswazyą interweniować musieli.

Marta nie lamentowała. Dzień cały, w ciągu którego strzelanina działała to ustawała, to się wzmacniała, spędziła przy oknie, przypatrując się i modląc. Strzelanina umilkła całkowicie wieczorem. Nastąpiła cisza, tem zdawało się głębsza, że poprzedził ją hałas całodzienny. Domostwo pogrążyło się we śnie. Nie spała Marta jedna, — pociemku prześcieradło na pasy darła i pasy jeden do drugiego wiązała. Robiła to pospiesznie; robota ta jednak przeciągnęła się za północ i, po północy dopiero, wstała, do okna podeszła, koniec jeden pasów związanych do

przekładziny okiennej uwiązała, przeżegnała się i w chwilę później zsuwała się po ścianie zewnętrznej. Czynność ta poszła jej pomyślnie. Jak skoro na ziemi stanęła, wnet, wzorem turek, co ją na górze pojмали, chyłkiem przez ulicę pod mur i pod murem w lewo ruszyła. Pośpieszała. Niebawem otworu w murze dopadła. Poszczęściło się jej; gdyby się bowiem była o minut kilka spóźniła, natknęłaby się na ront, obchód czyniący i w ręce tureckie dostała. Gdy ront przechodził, ona się już u wodopoju znajdowała, w prawo się zwróciła i wzdłuż urwiska w dół rzeki, brzegiem biegła. Biegła, — pośpieszała. Brzeg suchy służył jej dość długo; nagle zabrakło takowego: dalejby płynąć chyba musiała, gdyby się brzegiem urwistym osłaniać chciała. W punkcie tym czekał ją trud ogromny. Potrzebowała wydostać się na niewysokie wprowadzie, ale prostopadłe urwisko. Ręce wyciągała, za krawędź się chwytała, — ziemia się urywała i osypywała. Próbowwała tu, tam, — nigdzie się na czemś i gdzieś oprzeć i wzniesć nie mogła. Rozpacz ją ogarniała i strach przejmował, — nie pozostawało jej, jak do wodopoju wracać i próbować przemknięcia się wierzchem brzegu, wzdłuż muru, obsadzonego przez sztyldwachów. Kiedy jej

w myśli ta bardziej aniżeli ryzykowna ostateczność stanęła, zwróciła się i zatrzymała. Chwilkę postąła, następnie się nachyliła; poczęła kamienie i ziemię rękami zbierać i pod ścianą brzegową gromadzić. Zbierała, składała, zbierała, składała; formował się z tego stopień, na który od czasu do czasu wchodziła i rękę do góry wyciągała; znów zbierała i składała. Pracowała póty, aż ramiona wyciągnąć, postać swoją łokciami udźwignąć i na brzeg się wydostać zdołała.

Wydostała się na wygon, gdzie się wznosiły mogiły, gdzie widziała z okna domostwa szyki orężne. Szyków tych oczami w ciemności szukała, — nie znajdowała. Otaczały ją dokoła ciemność i cisza, opanowała niepewność. A nuż ci, do których śpieszyła, odeszli. „Cóż w razie takim?“ — sama siebie zapytała i sama sobie odpowiedziała: „Iść dalej“. Wracać nie mogła i nie chciała. Wzdłuż rzeki poszła i; po jakimś czasie, za gruntu załomem ujrzała na poziomie punkty rozrzucone, blaskiem próchna niby świecące. Ku punktom tym się zwróciła.

— Stój! — nagle i niespodzianie głos jakiś silny w słuch ją uderzył.

— Jau!... — drgnęła i w przerażeniu krzyknęła.

— Ktoś ty?... — zapytał człowiek, którego w chwili tej ujrzała.

Zapytanie zabrzmiało po serbsku. Dźwięk mowy rodzinnej takim uradowaniem i takim rozrzwinięciem dziewczynę przejął, że się na odpowiedź odrazu zdobyć nie była w stanie. Cała istota jej niejako łzami nabrzmiała.

— Ja... ja... — bąkać poczęła.

— Zkąd przychodzisz?

— Z Osieka... — odrzekła.

Nadeszło ludzi kilku jeszcze. Jeden się odezwał:

— Niewiasta!... Cóż to za jedna?

— Z Osieka, powiada, przysła.

— Ij... toć ją do kapetana odprowadzić należy. Niewiasty się nie włóczą nocami.

— Do kapetana... do kapetana... — powtórzyło głosów parę.

Marta ze wzruszenia pierwotnego ochłoneła. Pewność, że się nakoniec do swoich dostała, uspokoiła ją. Dwaj wojnicy po dwóch jej stronach stanęli i rzekli do niej: — „Chodź“.—Poszła śmiało. Prowadzono ją wśród ognisk przygasających i ludzi uspiionych. Układała sobie w myśli, co i jak kapetanowi opowie i ułożyła sobie wszystko, gdy przewodnicy jej zatrzymali się obok

leżącego przy ognisku człowieka; jeden z nich wołać począł:

— Kapetanie! e! bre!... kapetanie!

— Co tam?.. — odrzekł człowiek leżący.

Zaledwie zapytania dźwięk pierwszy z ust jego wyszedł, Marta była już obok niego, na kolanach, pochyliła się, ramionami go otoczyła, płakała i wywoływała przez łzy:

— Dziadku mój! dziadku!

Z trudem niemałym, z powodu uścisków wnuczki, starzec usiąść zdołał. Wzruszenie mu mowę tamowało. Mógł jeno bąkać:

— Ty?... ty?... toś ty?..

Szarpnął się wreszcie, jakby wzruszenie chciał otrząsnąć z siebie, przykląkł, dźwignął się i wyprostował.

— Toś ty?... — wytchnął resztkami wzruszenia.

— Ja, dziadku... ja. Wybacz mi.

W chwili tej, tuż obok na ziemi leżąca postać zerwała się nogami równemi i stanęła.

Marta się zajęknęła i zamilkła.

— Widzisz, Lajosz, — odezwał się starzec, — ot... ona... odnalazła się. Ale zkądżeś się, — zapytał, — tu wzięła?

— Z Osieka... wprost z Osieka.

— Uciekłaś?

— Uciekłam.

— Którędy?

Dziewczyna w krótkich słowach przygody swoje nocne opowiedziała i gdy skończyła, starzec podchwycił i do Lajosza się zwracając, rzekł:

— O! toć to właśnie, czego trzeba! Droga kryta, mur rozwalony. Kiedy można było ztamtąd przyjść, to można tam pójść. A daleko od tej w murze dziury do mostu? . . . — wnuczki zapytał.

— Niedaleko.

— Weź-że, — do Lajosza się zwrócił, — dwie czety pieszackie i postaraj się, nim dzień zaświta, most zająć i na moście się zabarykadować. O świcie ban na szaniec huknie i weźmie go prędzej, jak się jemu zdaje. Chodzi tylko o to, ażeby odrazu na drogę trafić.

Lajosz odszedł, a Deszicz stary jął wnuczkę rozpytywać, jakim sposobem ona z domu zniknęła. Marta opowiadała. Opowiadanie jej ciągnęło się jeszcze, kiedy się na tle ciemności nocnej ukazał szereg długi, z którego odłamał się Lajosz i poszedł z oznajmieniem, że wojownicy już gotowi.

— Którędyż to? . . . — zapytał starzec dziewczyny.

— Pokażę... — odrzekła.

— E!... o!... — chciał Lajosz protestować.

Lecz ona nie słuchała. Szła, biegła przodem, młody człowiek za nią, za tym ostatnim czety węzem długim, gęsiego. Węza łeb miał postać dziewczyny w stroju tureckim. Łeb znikł nagle — z urwiska się zsunął i za nim poszło całe węza cielsko, które się brzegiem sunęło, sunęło, przy wodopoju w lewo skręciło, przez otwór w murze się przewaliło, w ulicę się wcisnęło i na most wpełzło. U wnijscia na most Lajosz stanął; żołnierze się w gromadę zbiegać poczęli; on się oglądał. Zoczył z boku kupę jakąś, — były to przez turków przysposobione faszyny.

— Bóg z nami!... — zawołał.

Z wojników każdy po faszyn kilka wziął i oddział na most się wcisnął. Niebawem, mniej więcej na środku mostu, stanął wał jeden i wał drugi, osłaniające żołnierzy z przodu i z tyłu. W czasie układania faszyn, wpadł im w ręce oficer turecki, wiozący rozkazy do szanca przedmostowego, — do wody go rzucili. Później trochę nawinał się patrol, ludzi ze dwunastu — i ten temuż uległ losowi. Gdy jutrzienka rumienić się na niebie poczyniała, pokazała się z miasta idąca kolumna, — ta ogniem przyjętą została.



Ogień ów stał się hasłem: dla Turków popłochu wielkiego, dla Kroatów akcji ogólnej. Zajęcie mostu przepoławiało siły tureckie i wystawiało obrońców szanca przedmostowego na ogień z tyłu. W pierwszej chwili Turcy się opamiętać nie mogli. Wodzowie głowy potracili. Ochłonęli jednak, w sytuacji się rozpatrzyli i poznali, że zbawienie ich zależy od wyrwania klinu, co się im na most wbił. Na Lajosza zwrócili usiłowanie całe, odstrzeliwując się z murów i wałów atakiem kroackim, prowadzonym z zewnątrz obwodu fortecznego.

Lajoszowi Marta zawadzała.

— Na Boga! poco ty tu?... — zawołał, gdy się zaznaczyły usiłowania tureckie najpierwsze.

— Jam ci drogę pokazała... — odrzekła.

Po chwili znów się do niej zwrócił.

— Marta!... — odezwał się głosem, obawą nabrzmiałym:

— Rób swoje, na mnie nie zważaj!... — odparła.

Gdy jednak kule gęsto iść i niby osy brzęczeć poczęły, rzucił się na nią, za ramię ją pochwycił, pod faszyny cisnął i groźnie, głosem rozkazującym krzyknął:

— Nie ruszaj się!

Marta się nie ruszała. Półkłęzcząc, z rękami jak do modlitwy złożonemi, z modlitewnym na obliczu wyrazem, wodziła oczami za młodym człowiekiem, który, niby bożek wojny, krzątał się w reducie zaimprovizowanej: tu wskazywał, tu rozkazywał, tam zachęcał, ówdzie przykład dawał. Odbijanie ataków tureckich następowało raz po raz. Ona się nie ruszała, aż skoczyła, gdy Lajos, zostawiwszy część wojowników zwróconych w stronę miasta, resztę do ataku na szaniec poprowadził. Biegł przodem z mieczem podniesionym, — ona go oczami ścigała: widziała, jak szanica dopadł i jak znikł w tłumie wdzierających się od strony trzęsawisk szeregów kroackich, podczas, kiedy turcy broń ciskali i do rzeki się rzucali.

W czas jakiś później przez most, z muzyką i rozwiniętymi sztandarami, z okrzykami „niech żyje Kroacya!“ przechodziły hufce kroackie. Defilowały przed Martą, która się do muru przytuliła i, co ze sobą począc, nie wiedziała. Żołnierze do niej mrógali i żarcikami ją zaczepiali. Przeciągnęła piechota, jazda, znów piechota, wreszcie pokazał się oddział jeźdźców, a na czele onego poważny, w bok ręką prawą ujęty, na koniu dzielny mąż, — obok niego Lajos piechotą.

Mąż się z konia pochylał i głową kiwał, słuchając, zdaje się, — zdawania sprawy Lajosza.

Lajosz Martę już mijał, gdy ją nagle zoczył— sprawozdanie więc urwał i od męża na koniu się odwrócił.

Mąż zdziwiony konia wstrzymał, brwi zmarszczył, — zapytał:

— Co to? tureczynka?

— To, *illustrissime!* — odrzekł Lajosz, — Gaspára Deszicza wnuczka... narzeczoną moja...

— Aaa!... — odezwał się mąż, głową wstrząsnął, konia trącił i dalej pojechał.

\* \* \*

Zbytecznem byłoby dodawać, że mężem owym był ban Kroacyi, Mikołaj Erdödi, Lajosza powinowaty.

Zbytecznem byłoby dodawać, że Lajosz i Marta związali się następnie węzłem małżeńskim.

Ale nie zbytecznem jest zaznaczyć, że w dobie owej zaświtało odrodzenie Kroacyi. Kroacya ożyła. Wątpili o niej ludzie, — ona nie wątpiła o sobie i dwa wieki temu była kanwą, na której haftowały się obrazy takie, jak ten powyżej skreślony, co się nam w przezroczy dziejowej ukazał.

K o n i e c.

INSTITUT  
BADAN I KULTURY  
Biblioteka  
ul. Nowa Świat 72  
00-100 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-62-81 w. 42



powazny, w bok  
dzielny mąż, —

IBYSZKI  
W WARSZAWIE

<http://rcin.org.pl>







F  
1250